LIBERTÉ!

numer 78/styczeń 2023

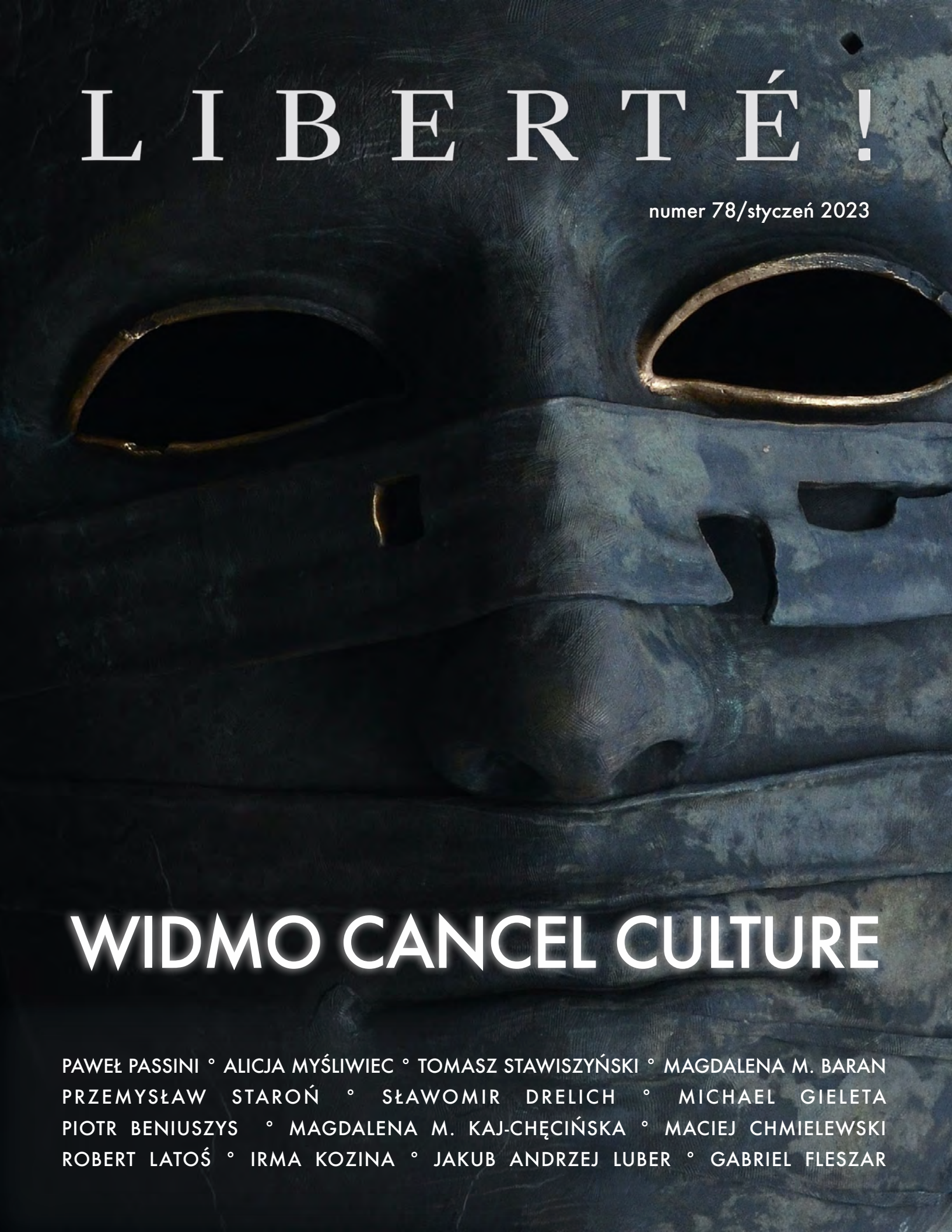

WIDMO CANCEL CULTURE

PAWEŁ PASSINI ° ALICJA MYŚLIWIEC ° TOMASZ STAWISZYŃSKI ° MAGDALENA M. BARAN
PRZEMYSŁAW STAROŃ ° SŁAWOMIR DRELICH ° MICHAEL GIELETA
PIOTR BENIUSZYS ° MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA ° MACIEJ CHMIELEWSKI
ROBERT LATOŚ ° IRMA KOZINA ° JAKUB ANDRZEJ LUBER ° GABRIEL FLESZAR

MAGDALENA M. BARAN
Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

KOGO WYRZUCIĆ Z PAŃSTWA? ALBO... NOWE ROZDANIE

Filozofia jest walką przeciw zaczarowaniu rozumu przez język.
Ludwig Wittgenstein

Życie jakby za mleczną szybą. Jesteś, ale cię nie widać, nie słychać. Stajesz się cieniem. Masz głos, co wcale nie więźnie w gardle, a zamiast tego trafia w próżnię. Brakuje woli, by poświęcić choć kilka chwil. Jesteś, a jakby cię nie było. Obrazy przewijają się przed oczami, życie toczy się obok. Izolacja, klatka, bojkot, wykluczenie, ostracyzm. Kolejne stopnie „wtajemniczenia" w unieważnienie człowieka. W próbę już nawet nie wykluczenia, ale wymazania w imię... No właśnie, w imię czego? Dookoła odwróceni plecami, a nawet tu, gdzie widać twarze, to patrzą z jakąś niepewnością, niedowierzaniem, czasem strachem, jakby rozmowa oznaczała spotkanie z trędowatym. Jakby klątwa unieważnienia przenosiła się metodą kropelkową. Wysoka zakaźność? Wcale nie, a przynajmniej nie musi taką być, gdy posłużymy się rozumem. Bo gdy jego użycie poprzedzają językowe potyczki, gmatwanina emocji, poczucia i odczucia... Gdy unosząc się gorącym gniewem, urażoną dumą, domniemaniem sprawiedliwości, przemocowym moralizmem, samoobronnym wybieganiem przed szereg, nie dopuszczamy nawet możliwości, że ktoś ma prawo do słowa we własnej obronie, to tak naprawdę przeczymy wartościom, jakie nosimy na wolnościowych sztandarach. Przeczymy rozumowi, tym samym czyniąc szkodę. Nie tylko innym, ale również sobie.

W cancel culture, kulturze – choć wciąż wzdragam się by określać to zjawisko mianem kultury – unieważnienia masz stać się niewidzialny. Nieważne czy „cancelujące" przewinienia są faktyczne, czy urojone; czy mają przełożenie na konkretne sytuacje, słowa, na jakieś „tu i teraz" czy „kiedyś i gdzieś". Wydarzyło się czy nie... czasem wystarczy domniemanie, jeden czy drugi gest, słowo skręcające nie w tę stronę, zdanie, co uderza w niepasujący do zastanego układu ton. Kiedy indziej błąd, przeinaczenie faktów, plotka, nieprecyzyjnie napisany tweet, przejęzyczenie i.. pozamiatane. Dookoła tylko plecy. Szukamy więc drogi wyjścia z sytuacji, za którą odpowiadamy/bądź nie. Szukamy drogi wyjścia, gdy powiedziało się za dużo, potknęło się w taki czy inny, świadomy czy półprzytomny sposób; a nawet wtedy, gdy rzeczywiście się pobłądziło. Bo nie może się „nie dać". Kiedy indziej szukamy miejsce na inną wersję świata, na inny pogląd, na nie-wygodność. Pytanie jak bardzo musimy dziś być ostrożni, by nie narazić się na unieważnienie, na przychodzące z zewnątrz skazanie bez procesu, bez udowodnienia winy. I jak to możliwe, gdy kilka minut później prawo do sądu i rzetelnego procesu wymieniamy w katalogu niezbywalnych praw człowieka? Moraliści?

Gdy wieki temu Platon chciał wyrzucić poetów z państwa, miał ku temu mocne powody. Poeta widzi. Poeta tworzy światy. Poeta narusza porządek, ład sztywny tak, jakby krochmalono go kilkanaście razy pod rząd. Rozkrusza to, co skamieniałe. Poeta stawia pytania. Świat barwi albo przekłada go na negatyw. Odczytuje słowa dawno zapomniane, albo tworzy nowe, których domaga się nowy dzień, nowy świat, nowi my. Poeta otwiera furtki – dróg, szlaków, znaczeń. Stoi na straży lub rozwala więzienia. Poeta... I właśnie dlatego poetów Platon chciał wyrzucić z państwa. Dziś słowo „poeta" można swobodnie zamieniać na „niewygodny"/ „wyrzutek"/ „inny"/ „nie nasz". I tak posuwamy się dalej i dalej, wchodząc w kolejne kręgi unieważnienia. Tyle, że dla Platona owo „wyrzucenie z państwa" nosiło znamiona racjonalności. Rozpędzona *cancel culture* traci ten walor.

Logos, myślenie, rozum, słowo mają działać przeciwko wykluczeniu. Przeciwko unieważnieniu. Przeciwko zaprzeczeniu naszym podstawowym prawom. Przeciwko wymaganiu, które kieruje się nie konkretem, nie faktem, ale domaga się rozczłonkowania na czynniki pierwsze (bo co też autor miał na myśli); przeciwko brakowi weryfikacji u źródła; przeciwko brakowi wysłuchania każdej z zaangażowanych w sprawę stron; przeciwko daniu nam szansy na racjonalną obronę. Logos, myślenie, rozum, słowo mają działać tak, byśmy wyciągali mądre wnioski, byśmy znajdowali w sobie siłę do dania kolejnej szansy. Bo świat jest tego wart. Bo świat jest wówczas ciekawszy. Bo jesteśmy mądrzejsi niż nasze błędy i nasze uprzedzenia. Bo – tak po prostu – My jesteśmy tego warci.

Photo by Clem Onojeghuo on Unsplash

ZAMKNIĘTY OBIEG

6 • **NO TO JA CIĘ SKREŚLAM!**
Magdalena M. Kaj-Chęcińska

10 • **TEATR (DO)TYKA**
Z Pawłem Passinim rozmawia Alicja Myśliwiec

24 • **SŁABE, UŁOMNE, BEZRADNE...**
Z Tomaszem Stawiszyńskim rozmawia Magdalena M. Baran

34 • ***THE QUALITY OF MERCY***
Michael Gieleta

42 • **WELL OF ART – REWOLUCJA NA RYNKU SZTUKI**
Z Robertem Latosiem rozmawia Alicja Myśliwiec

50 • **CO PO PRAWICOWYM POPULIZMIE?**
Piotr Beniuszys

ROZMOWY POLITYCZNE

62 • **ŻYĆ W SPOSÓB WOLNY I ODPOWIEDZIALNY**
Z Przemysławem Staroniem rozmawia Sławomir Drelich

EKONOMIA DZIŚ

102 • **PRAWO PRAWEM ALE SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NASZEJ STRONIE...**
Maciej Chmielewski

KULTURA DLA MYŚLENIA

106 • **EUROPA W OBLICZU PIĄTEJ WOLNOŚCI**
Irma Kozina

LEKTURY LIBERAŁA

116 • **LEKTURY LIBERAŁA 2022**
Sławomir Drelich

MŁODYM GŁOSEM

126 • **22 LEKCJE...**
Jakub Andrzej Luber

TRZY PO TRZY

136 • **„TO PRZECIEŻ FUTBOL"**
Piotr Beniuszys

COLD WAR LIBERALS

140 • **JEREMY THORPE**

WIERSZ WOLNY

146 • **HYDROPLAN – INTERFERENCJA**
Gabriel Fleszar

Photo by Markus Winkler on Unsplash

NO TO JA CIĘ SKREŚLAM!

MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Zjawisko tzw. „kultury unieważniania” (cancel culture), bardzo mocno związane z ruchem #MeToo, od dłuższego czasu funkcjonuje jako odrębny byt, a w zasadzie – metaforyczny straszak na każdego, kto ośmieli się myśleć lub mówić w sposób odbiegający od oczekiwań.

Photo by Ilyass SEDDOUG on Unsplash

Wraz z pojawieniem się ruchu #MeToo, coraz odważniej zaczęliśmy wyrażać nasze wątpliwości dotyczące zachowań innych i coraz głośniej zaczęliśmy piętnować te, które są naganne. W przestrzeni publicznej coraz mniej miejsca i akceptacji zostawiamy na wszelkiego rodzaju naganne zachowania, słowa i czyny i coraz częściej decydujemy się by je obnażać, piętnować i wyciągać konsekwencje.

To co, z założenia, jest godnym poklasku trendem – skreślenie, pomimo największego nawet dorobku, szybko wypaczyło się i stało swego rodzaju batem dla niepokornych. Ponieważ każdy z nas jest ekspertem w każdym temacie, szczególnie, jeśli panel ekspercki odbywa się w Internecie, unieważnionym można zostać w sposób szybki i nie do końca zrozumiały. Czy idea unieważniania tak szybko zaczęła zjadać swoje dzieci, stając się narzędziem w rękach hiperpoprawnosci politycznej?

Gen Z, czyli najmłodsze pokolenie, które obecnie rozdaje karty i bardzo głośno wypowiada się na temat co wolno i co wypada, przyjęło niezwykle wyśrubowane normy. Czy wynika to z faktu, ze urodzeni w dobrobycie, mogą skupiać się na kwestiach, na które nam – starszym – nie starczało czasu, czy jest to potrzeba znalezienia własnego definiującego i formacyjnego doświadczenia? Tak czy inaczej, należy być bardzo czujnym, bo o jedno słowo za dużo i zaraz można zostać skreślonym. A od bycia skreślonym do odzyskania pozycji droga jest długa i wyboista, a dodatkowo – najeżona przeprosinami, publicznym samobiczowaniem i jeszcze większa liczba przeprosin. Przekonało się o tym wielu komików, którzy opowiadając żarty, tak jak robili to przez lata, naraziło się temu czy tamtemu użytkownikowi Twittera (większość strażników poprawności działa głównie tam – w obliczu przejecia TT przez Elona Muska wydaje się to być szczególnie zabawne, tfu!, znamienne).

Znany jest przykład Kevina Harta – jednego z najpopularniejszych amerykańskich komediantów, który, po ogłoszeniu, ze ma poprowadzić ceremonie rozdania Oscarów, został prześwietlony przez użytkowników mediów społecznościowych. W rezultacie odnaleziono mocno podstarzały wpis, który, w ocenie poszukujących, był obraźliwy dla społeczności LGBT+. W konsekwencji rozpętał się istny Armagedon a Hart, nie dość, ze przeprosił wszystkich i w każdym programie emitowanym przez amerykańskie stacje telewizyjne, ostatecznie stracił role prowadzącego ceremonie.

Dzisiaj Hart nadal jest jednym z ulubieńców Ameryki, kręcącym filmy i wyprzedającym bilety na swoje występy, niemniej latka nietolerancyjnego buca została mu przypięta na tyle skutecznie, ze przez pewne środowiska był, jest i będzie bojkotowany. Natomiast piosenkarz R. Kelly, któremu udowodni, ze przez lata gwałcił, groomował i przetrzymywał kobiety bez ich zgody, pomimo wieloletniego wyroku skazującego, nadal poważany jest jako twórca a jego utwory, pomimo szeroko zakrojonych kampanii, nadal dumnie figurują w serwisach streamingowych czy na YouTubie.

Rodzi się wiec pytanie, czy kultura unieważniania wykorzystywana jest w sposób właściwy i czy jako adresatów bierze właściwe osoby, z odpowiednim stopniem przewinień?

Czy jest tylko wygodnym sposobem na chwilowe ucieszenie oponenta i wypaczeniem idei poprawności politycznej?..●

MAGDALENA M. KAJ-CHĘCIŃSKA

Poznanianka z urodzenia, warszawianka z wyboru. Z wykształcenia politolog, przez wiele lat pracowała w sektorze pozarządowym w Polsce i Wielkiej Brytanii. Aktywistka, od prawie 20 lat zaangażowana w działalność społeczno-polityczną oraz dialog międzykulturowy.

Photo by Allec Gomes on Unsplash

TEATR (DO)TYKA

Z PAWŁEM PASSINIM ROZMAWIA ALICJA MYŚLIWIEC

Wibracje, manewry, ciąg napędowy, ciśnienie i kolizje – to wszystko stoi za przeciążeniem. Praca na przeciążeniach jest wpisana w eksperymenty artystyczne. Weryfikuje i falsyfikuje nasze metody. Wystawia na próbę wrażliwość. Zmusza do stawiania pytań o granice. Odpowiada na nie, nawet jeśli nie jesteśmy na to gotowi. Praca na przeciążeniach z równie dużą siłą buduje, co niszczy. Wyklucza, kiedy wektor wymyka się spod kontroli.

„Sprawa Pawła Passiniego" została opisana na łamach prasy w roku 2021, w reportażu opublikowanym w „Dużym Formacie" (publikację nominowano do nagrody Grand Press). Studentki szkoły teatralnej postawiły reżyserowi zarzut „molestowania bez dotykania" i przymuszania do nagości.

Paweł Passini nie jest moim „kolegą ze świata kultury". Spotkanie przy okazji rozmowy było naszym pierwszym. Wcześniej znałam go tylko z jego twórczości. To jedyna relacja, która zgodnie z zasadami etyki dziennikarskiej, pozwala na stawianie pytań i wysłuchanie odpowiedzi, kiedy po dwóch latach Paweł Passini zdecydował się zabrać głos we własnej sprawie.

Alicja Myśliwiec: Czym jest dla pana kultura wykluczenia?

Paweł Passini: To bezwzględne narzędzie. W moim przypadku sprawiło, że podważone zostało wszystko, czym zajmowałem się wcześniej: relacje z ludźmi, którzy ze mną pracowali, spektakle. Nie robię wodewili. Wygrzebuję i opowiadam traumatyczne historie o śmierci, o ludziach, którzy cierpią, którzy są tłamszeni. Będąc w szkole, ciągle słyszałem pogardliwe opinie moich Profesorów, że robię „kobiecy teatr". Teraz nikt by już tak o mnie nie powiedział. Dzisiaj jestem zboczeńcem, lubieżnym Żydem, który zamyka i wykorzystuje aktorki na salach prób. Łatwo poszło.

Dlaczego?

Po prostu wszyscy przyjęli, że to jest właściwa diagnoza sytuacji i że to jest w ogóle super mieć kogoś, kto nam to polskie „me too" załatwi. No, załatwione i możemy jechać dalej. Więcej pracy dla nas.

W jakim momencie spotykamy się dzisiaj?

W takim, że żadne zarzuty do tej pory nie zostały mi postawione. Jak zakończyło się działanie komisji w szkole w Bytomiu, nie wiem do dziś. Nagrywano nasze spotkania, szperano w smsach. Działał też zespół w Centrum Kultury, który miał na celu wyjaśnienie sprawy i ten zespół zarekomendował przywrócenie mnie do pracy. Porządek prawny w Polsce taki, że jeżeli nie postawi się zarzutów i ktoś uczestniczy w postępowaniu jako świadek, nie może wiedzieć, jaki charakter ma zgłoszenie.

Skąd więc oskarżenie?

Dokonało się za pomocą artykułu Pani Igi Dzieciuchowicz i social mediów. Zostałem kompletnie odczłowieczony, jeśli chodzi o funkcjonowanie, funkcjonowanie również w przestrzeni teatralnej. To jest skuteczne pod tym względem, że zostałem praktycznie pozbawiony środków do życia. Niektóre teatry, wciąż grające moje spektakle, nie zapraszają mnie na próby, co jest w ogóle złamaniem umowy i brakiem dbałości o pracę, o jej wartość.

Podczas pracy nad artykułem redaktor Dzieciuchowicz kontaktowała się z panem. Miał pan prawo głosu…

Prowadziliśmy bardzo długie rozmowy. Sugerowała, że chodzi o to, by zrozumieć sytuację, wyjaśnić ją. Potem pojawił się ten paszkwil, w którym osoby pod pseudonimem tworzą odrażający, wypaczony obraz mojej pracy,. Znalazło się tam wiele ewidentnych kłamstw. Anonimowość osób, które je wypowiadają, sprawia, że bardzo ciężko jest się bronić. Dysponowałem nagraniami z prób. Zaproponowałem, że mogę je udostępnić. Redaktor Dzieciuchowicz chciała porozmawiać z osobami, które są na tych nagraniach, żeby uzyskać ich zgodę. Następnie w artykule pojawiła się sugestia, że miałbym realizować jakieś nagrania wbrew woli osób, które są na nich, co było oczywistą nieprawdą. Dochodzi do tego jeszcze grafika dołączona do artykułu. Ohydne łapsko, które filmuje iPhonem kulącą się, nagą postać. To jest totalna aberracja. Nigdy nie wykonywałem żadnych nagrań wbrew aktorom. Bardzo często natomiast nagrywam telefonem fragmenty prób i potem wspólnie o tym rozmawiamy.

Sytuacja, w której człowiek wobec kogoś obcego jest w stanie tak się uwolnić w swojej fizyczności, że jego ciało staje się przezroczyste, wymaga zaufania

Jeżeli ktokolwiek wie, na czym polega praca w teatrze, to także rozumie doskonale, że nie ma możliwości czegoś takiego, jak wielogodzinna indywidualna próba, która odbywa się wbrew woli aktora. Miałby być przetrzymywany w zamkniętej sali i szarpać klamkę? A potem przez następne dni, tygodnie nie tylko pracować dalej, ale wręcz umawiać się na kolejne wspólne przedsięwzięcia? To jest po prostu kłamstwo. Sytuacja, w której człowiek wobec kogoś obcego jest w stanie tak się uwolnić w swojej fizyczności, że jego ciało staje się przezroczyste, wymaga zaufania. Wymaga wyzbycia się kompleksów, lęków, czegoś, co zatrzymuje, co też ma aspekt fizyczny, który widać w ciele. To, nad czym ja pracuję, nad czym pracowałem czyli ruch intuicyjny, możliwy jest tylko wtedy, kiedy to samo ciało prowadzi. Jeżeli aktor jest spięty, czuje się do czegokolwiek zmuszony, osiągnięcie efektu o którym mówię jest kompletnie niemożliwe. W swoich spektaklach wielokrotnie posługiwałem się nagością. Nigdy jednak w sposób sugerujący kopulację czy inny aspekt seksualny. Nagie ciało jest mi potrzebne do czegoś innego.

Photo by Mark Thompson on Unsplash

Na przykład w spektaklu *Jedwabne. Zapominanie* półnaga tancerka przez niemal trzy godziny improwizuje na zgliszczach jako powracająca z zaświatów *Spalona*. W *Mistrzu i Małgorzacie* nagość głównej bohaterki jest znakiem opętania. W *Widmach* nagie ciała aktorów były atrybutem zbezczeszczonych ofiar wojny. W spektaklu *Morrison/Śmiercisyn*, za który dostałem Nagrodę Swinarskiego naga aktorka w masce gra Śmierć. *W Pannie Nikt* nagość jednej z głównych bohaterek pojawia się w momencie jej szaleństwa, bezbronności wobec śmierci. Używam

nagości. Nie odżegnuję się od tego. Nie uważam, żeby było w tym cokolwiek zdrożnego. Nie żyjemy w wiktoriańskiej Anglii. Pracujemy z dorosłymi ludźmi. I jeżeli ci ludzie podejmują potem decyzję, żeby jechać z drugiego końca kraju i startować w castingach do kolejnych moich spektakli, jeżeli proszą mnie o pomoc, o indywidualne konsultacje, to rozumiem, że praca ze mną stanowi dla nich wartość, a nie źródło traumy. Więc jeżeli nagle po czasie taki ktoś stwierdza, że był do czegoś zmuszany, nie dając w trakcie pracy żadnego sygnału, że cokolwiek odbywa się wbrew niemu, i jeżeli robi to za pośrednictwem prasy, pod pseudonimem - to jest w moim odczuciu niewiarygodny. Ale na tym właśnie bazuje tzw. kultura wykluczenia.

Już na samym początku pracy pojawił się problem. Jedna z aktorek przestała przychodzić na próby. Twierdziła, że ma problemy, że grupa ją mobbinguje. Wkrótce okazało się, że swoim kolegom opowiada lustrzane historie o realizatorach. Poprosiłem aby szkoła stworzyła jej możliwość pracy indywidualnej. Usłyszałem od Pani Dziekan, że ona zawsze robiła problemy, że notorycznie kłamie, że oskarżała już innych pedagogów. No i że „przecież nie może być tak, że jedna hipochondryczka rozwala spektakl". Jej koleżanka najpierw komentowała to, mówiąc, że „co ta idiotka odpierdala". Jednak już wiele miesięcy po zakończeniu pracy pod presją grupy nagle doszła do wniosku, że jednak ona też była przedmiotem manipulacji. Równocześnie ukrywała przed swoimi kolegami, że w pracy, którą kontynuowała indywidualnie, nagrała tego „zmanipulowanego" materiału strasznie dużo, i że to wzięło się z jej inicjatywy. Mimo że wiele kolejnych miesięcy pracujemy, tworzymy wspólnie różne elementy spektaklu w ścisłej współpracy, spędzamy razem wiele godzin, rozmawiamy na wiele osobistych tematów, to nagle w artykule zaczyna sugerować, że kiedyś tam rok wcześniej ją podrywałem.

Photo by Alberto Bigoni on Unsplash

Przegapiłem moment, kiedy trzeba było się wycofać. Zaczęła nam się walić na głowy medialna lawina

Czy tak było?

Aktorka działała kilka godzin w bezustannym ruchu. To była naprawdę świetna praca. Po zakończeniu próby wysłałem jej kilka screenów z nagrania, które oglądaliśmy wspólnie. Zalajkowała je. Kiedy zobaczyłem, że jest aktywna na Facebooku, napisałem: „Tęskno", „Nie idzie spać po tym". Bo często naprawdę – nie idzie. Endorfiny szaleją w ciele, pomysły szaleją w głowie. I tyle. I to miał być ten „podryw". Naprawdę, Ci ludzie nie mają piętnastu lat, że nie wiedzą, kim są i wiecznie podlegają manipulacji. Dla wielu z nich to nie są pierwsze studia. Ani też pierwsze doświadczenia z nagością na scenie. Dostałem takiego smsa dzień po artykule od jednej z osób, która została zwolniona ze szkoły, że red. Dzieciuchowicz już od jakiegoś czasu szukała tam tematu. Słyszę od osoby, która w ogóle nie została zacytowana w artykule, że Dzieciuchowicz jej powiedziała, że nie wie, czy nasza przyjaźń przetrwa próbę tego artykułu. Na etapie powstawania artykułu coś takiego? Zastanawiam się, w jakiej roli ten dziennikarz funkcjonuje? Co tu się dzieje? Jeżeli ona ma jakieś konkretne, poważne zarzuty, no to „bring it on"! Moja asystentka Aleksandra Konarska wydała bardzo szczegółowe oświadczenie, które kompletnie nie zostało zauważone. Opisuje sytuację wypaczoną w artykule, przy której była obecna. Redaktor Dzieciuchowicz stwierdziła, że ona nie będzie jej w ogóle zamieszczać, bo ona jest niewiarygodna jako „mój człowiek".

Skoro nie czuł się Pan winny oskarżeniom i tekst określa jako paszkwil, dlaczego przepraszał Pan później za swoje metody, wydając oświadczenie? Czytamy

tam: „Popełniłem w pracy poważne błędy, których sobie nie uświadamiałem”.

Nie chciałem milczeć. Wydarzyła się bowiem katastrofa. Mimo, że oskarżenia były nieprawdziwe – nie chciałem podważać ani lekceważyć emocji. I gdybyśmy mieli zastanowić się, kto popełnił błąd, to ewidentnie – błąd był mój. Polegał na tym, że podjąłem pracę z ludźmi, którzy nie byli kompetentni. Ważniejszy był dla nich udział w medialnej nagonce, niż praca nad spektaklem. Tak ich uformowała szkoła, środowisko, walka na castingach. Ale to ja namówiłem moją instytucję na współpracę z nimi, i mimo że pierwotnie to sami studenci zaprosili mnie do pracy – powinienem być bardziej krytyczny w swoich decyzjach. Przegapiłem moment, kiedy trzeba było się wycofać. Zaczęła nam się walić na głowy medialna lawina. Pracuję w Lublinie, gdzie się przeniosłem z Warszawy. To jest małe środowisko i ludzie, którzy nie zajmują się teatrem, zaczęli wykorzystywać sytuację do politycznych zagrywek przeciwko instytucji, która mnie zatrudnia.

Wystraszył się pan?

Oczywiście. Ale nie chodziło o strach. Musiałem zareagować klarownie aby nie ustawiano jako winnych ludzi, którzy pozwalają mi pracować. Przede wszystkim jednak nie chciałem poprzez milczenie sugerować, że dopuszczam sposób pracy opisany w artykule. Tak bowiem sam bym odebrał takie milczenie.

A dlaczego przyznaje pan, że „zatracił się w rozwibrowaniu”. Skąd to poczucie?

To była bardzo ciężka, mozolna praca zakończona wybuchem pandemii. Szkoła chciała zakończyć pracę zamkniętym pokazem. A ja uparłem się, że nie po to robimy dyplom, żeby nikt go nie obejrzał. Potem nastąpiły długie miesiące pracy on-line. A potem szkoła mnie odsunęła. Rok później ukazał się artykuł. Praca ze studentami z Bytomia była od początku bardzo złym pomysłem. Ale to nie ich wina. Wcześniej fantastycznie układała mi się współpraca ze studentami wydziału lalkarskiego we Wrocławiu. Ich dyplom pojechał na festiwal, dostał nagrody, a wielu z nich – pracę w teatrze. Mimo, że często lalkarze traktowani byli są w teatrze dramatycznym pogardliwie – zrobiliśmy wspólnie ważną rzecz, która została dostrzeżona. Za wszelką cenę chciałem doprowadzić do tego z aktorami-tancerzami z Bytomia. Myśląc, że mam poważnego partnera, poszedłem w intensywność. Pracowaliśmy dużo, po nocach. Wydawało mi się, że oni są ze mną. Coś przegapiłem. W pewnym momencie nie powiedziałem „dobra, zostawmy to”. To się nie składa. Odejdźmy. Wydawało mi się, że wymyślę jakiś nowy sposób funkcjonowania dla tych ludzi z Bytomia, że zrobimy ważny spektakl.

Teatr, do którego ja przychodziłem, to był teatr artystyczny, który był dla nas pierwszą i najważniejszą rzeczą na świecie

Co to znaczy nowy sposób funkcjonowania?

Namówiłem teatr w Gliwicach, żeby wziął na afisz dyplom szkoły z Bytomia. Chodziło o to, aby studenci mogli to gdzieś potem grać, żeby nie było tak, jak z innymi dyplomami. Wydział jest w dosyć trudnej sytuacji, ponieważ jego absolwenci mają problem ze znalezieniem pracy. Kiedy wydział miał bardziej taneczne nachylenie, to miało, wydaje mi się, jakiś sens. Do mnie się zwrócili sami studenci, żeby robić z nimi dyplom, namawiali mnie na to właśnie dlatego, że pracuję z ciałem. Ani to nie było jakoś super finansowo, ani terminowo atrakcyjne. Ale zdecydowałem, że dobra, będziemy się tym zajmować nie tak, jak się zazwyczaj zajmuje dyplomem, przez 2,5 miesiąca czy 1,5 miesiąca i „cześć”, tylko

Photo by Denise Jans on Unsplash

przez cały rok. Jednak kiedy stało się jasne, że będziemy w spektaklu poruszać wątek przemocy w teatrze – teatr się wycofał. Próbowaliśmy – wspólnie ze studentami – walczyć o utrzymanie tej produkcji w pierwotnym kształcie. Pisaliśmy oświadczenia, prosiliśmy o pomoc władze uczelni. I wybuchła pandemia. Pracowaliśmy parę miesięcy on-line, ale to bardziej odbierało energię niż pomagało w czymkolwiek. Dużo natomiast rozmawialiśmy o nadużyciach w pracy. Przez ten czas usłyszałem wiele okropnych historii, ale nikt podczas tych wielu godzin rozmów nie zająknął się nawet, że ma jakiekolwiek zastrzeżenia do pracy ze mną. A potem przeczytałem w artykule, jakim rzekomo jestem potworem.

Jak zareagowało środowisko po publikacji artykułu?

Dzień po ukazaniu się artykułu Gildia Reżyserów bez jednego telefonu, bez jakiejkolwiek próby wyjaśnienia sytuacji zawiesiła mnie w prawach członka i obwieściła to publicznie. Równolegle zniknęły inne sprawy. Wszyscy umyli ręce. Jedna reżyserka, która była oskarżana o przemoc, zrobiła bardzo niepoprawny politycznie spektakl, druga została dyrektorką teatru i jakby problem zniknął. Dziekan wydziału, której dotyczyła sprawa, dostała nagrodę za sukcesy pedagogiczne, rektor szkoły również dostała nagrodę. To wszystko zostało utopione w mojej sprawie, w sprawie jednego zboczeńca, który się zamyka i zmusza do czegoś aktorki. Nie mam takiej mocy. Nie prowadzę teatru, nie jestem dyrektorem, nie podpisuję z aktorami umów. Nie miałem i nie mam nad nimi żadnej mocy sprawczej, żeby móc im powiedzieć: musisz, nie musisz. To jest wierzchołek góry lodowej, bo wydaje mi się, że to dopiero zacznie być wykorzystywane. To daje pole do totalnych nadużyć, kiedy ktoś może o pracy, która się wydarzyła powiedzieć, co tylko chce i kiedy chce. Ja przeczytałem w mediach, że zostałem oskarżony o molestowanie. Nie wiem, kto mnie oskarżył. Nie mam pieniędzy na to, żeby zatrudnić sztab prawników i wykonać to, co powinno się zrobić, czyli każde kłamstwo po kolei wypunktować i żądać zadośćuczynienia. Mam piątkę dzieci, chorą na Alzheimera matkę, którą się opiekuję, a w moim warszawskim mieszkaniu mieszkają białoruscy uchodźcy.

Czy czuje się pan niewidzialny na scenie teatralnej?

To nie jest kwestia niewidzialności. To jest dla mnie strasznie rozczarowujące. Myślałem, że jesteśmy środowiskiem, że jednak to coś znaczy, że budujemy ten teatr od początku lat dwutysięcznych zupełnie inny. On się bardzo zmienił w tym czasie. Robiłem jedną z pierwszych projekcji wideo w teatrze, robiliśmy teatr w Internecie, ściągnęliśmy zupełnie innego widza. Ten teatr się odmłodził. Stał się dużo bardziej teatrem reżyserów. Zdumiewa mnie, że ludzie, z którymi pracowałem, wiedzą z relacji swoich aktorów, jak wygląda praca ze mną, nabrali wody w usta, a jak ktoś próbował

mnie bronić na Facebooku, to dostawał sygnał: „O, My na Ciebie mamy haki, będziesz następny, więc lepiej się zamknij. Myślałem, że ta praca ma większą wartość. Gdybym czuł się niewidzialny, to bym powiedział Pani, że jest takie wspaniałe gremium, do którego chciałbym należeć. Dzisiaj chciałbym zostawić za sobą ten cyrk na kółkach, ludzi, którzy nie mają odwagi cywilnej, żeby powiedzieć, że chwileczkę, coś jest nie tak. Nie chcę być niesprawiedliwy, bo ludzie z tego najbliższego otoczenia podejmowali takie próby. Natomiast aktorzy, którzy ze mną pracowali wcześniej, nie przyznawali się do tego i ogólnie pojawiło się takie przyzwolenie na to, że wyrok sądu jest niepotrzebny. Wystarczy kogoś oblać gnojem i załatwione. Miałem poczucie, że coś współtworzymy. Ktoś tam do mnie zadzwonił i powiedział: „Jesteśmy z tobą". To był ostatni telefon od dwóch lat, jaki odebrałem od tej osoby, która „jest ze mną". Więc nie do końca wiem, na czym polega to „bycie ze mną".

Głos w pana sprawie zabrała Marta Nieradkiewicz. Na swoim profilu na Facebooku opisała współpracę z panem w Teatrze Starym w Krakowie. Twierdziła, że krzyczał pan na nią, rzucał w nią scenariuszem, umniejszał jej jako osobie i jako aktorce.

To kuriozalne, że nawiązuje ona do pracy w Teatrze Starym. Ten stopień pogardy, jaki mnie i moich współpracowników spotykał na próbach, był niebywały. To, jak oni się zachowywali i udowadniali na każdym kroku, że dla Lupy to tak, a dla nas to nie i że kim ja w ogóle jestem, żeby cokolwiek od nich chcieć. Marta Nieradkiewicz twierdzi, że ja w nią rzucałem na próbie scenariuszem i że to jest przykład tego, że jestem przemocowcem... To jest jeden z elementów, które pokazują, że można jechać do końca. Ludzie, którzy byli zaangażowani w tę pracę, mieli całkowitą jasność, że w tej hierarchii to reżyser i ludzie, którzy z nim współpracują, są nikim w tym teatrze. A że osobami, które dyktują warunki i na każdym kroku okazują swoją wyższość, są aktorzy tego teatru. Ja nawet próbowałem w pewnym momencie wprowadzić zmiany w obsadzie, nie ukrywam, że dotyczące właśnie Marty Nieradkiewicz i zostało to uniemożliwione. Mimo, że się nie układa, że się źle pracuje, że to nie jest aktorka z zespołu, tylko aktorka, która została zaproponowana, żeby dołączyć do zespołu, jej miejsca nie mógł zająć nikt inny.

Krzyczał pan czy nie?

Faktycznie przychodzę z takiego teatru, w którym się dużo krzyczało, często aktorzy krzyczą, że coś jest bez sensu, że czegoś nie rozumieją. Bardzo wiele rzeczy, które myśmy robili w szkole, po szkole z punktu widzenia dzisiejszej percepcji tego, co wolno w teatrze, a czego nie wolno i jak ta praca powinna wyglądać, byłyby zdecydowanym nadużyciem. Ja też słyszałem takie rzeczy pod swoim adresem...

Ja również. Do wykonywania mojego zawodu „wychowało mnie" środowisko zbudowane na mobbingu. To przesuwa granice. Ale mam też świadomość, że one powinny być postawione w innym miejscu. Stawiam je na nowo.

Wydaje mi się, że to gnojenie w mediach jest dużo poważniejsze w stosunku do potencjalnego gnojenia w teatrze. Jerzy Jarocki, któremu asystowałem, bynajmniej nie gnoił nikogo. A aktorzy potwornie się go bali. Rzeczy, które robiliśmy wspólnie z moim zespołem, eksperymenty, szaleństwa nie wydarzały się w godzinach prób, tylko w nocy, po wielu godzinach gapienia się na scenografię, i potem powtarzania do trzeciej nad ranem czegoś, co na początku nie miało sensu, żeby nagle okazać odkryciem. Było to możliwe, to był zespół. Dla kogoś, kto jest cywilem, to jest kompletnie niezrozumiałe. Niemniej jednak ten teatr, do którego ja przychodziłem, to był teatr artystyczny, który był dla nas pierwszą i najważniejszą rzeczą na świecie. Chciałbym wierzyć, że on jest możliwy w sytuacji reżyserii kolektywnej i dziś.

Chciałby pan wierzyć, czy pan wierzy?

Podstawą w tej pracy jest wzajemność, szczerość relacji. A to wymaga, żeby mówić sobie o wątpliwościach w pracy. Ja nie pracuję w filmie, gdzie psychologicznie zmotywuję aktorkę czy aktora, żeby na chwilę znaleźli się w jakimś stanie, który uchwyci kamera. Ja buduję coś, co później zostawiam, co żyje swoim życiem. I jestem wymagający. Dlatego ludzie ze mną pracują. Słyszę, że to jest taka praca naprawdę, a nie na niby, głęboka, o poważnych tematach. Po ukazaniu się artykułu wydawało mi się, że za chwilę ktoś z moich kolegów powie: „Ale co Wy opowiadacie, przecież ten człowiek tak nie pracuje, zrobił u mnie spektakl, spektakl był grany, zrobił w nim sceny nagości, nikt nie zgłaszał żadnych problemów". Nic takiego się nie wydarzyło. Ten pozór, że ten teatr prezentuje szeroki głos a równocześnie taka ciągle hodowana w tym teatrze pogarda, klasizm, poczucie, że niby jesteśmy lewicowi, ale w sumie jesteśmy takim klubem dla gentelmanów i dam, bardzo ekskluzywnym, do którego nikogo nie wpuścimy. Myślę, że to nie rokuje specjalnie.

Teatr wydawał mi się przestrzenią, w której możemy brać na warsztat bardzo trudne tematy i robić odważną sztukę. Ja sam potrzebuję tego, jak powietrza. To jest to, kim jestem

Fot. Michał Jodczak

PAWEŁ PASSINI

Reżyser, kompozytor, eksperymentator; prekursor nurtu teatru interaktywnego, założyciel neTTheatre – Teatru w Sieci Powiązań, pierwszego na świecie ensamblu realizującego swoje spektakle w sieci z udziałem internautów. Założyciel Stowarzyszenia Artystów BLISKI WSCHÓD, zaangażowany we wspieranie działających w Polsce artystów z Białorusi i Ukrainy, pomysłodawca Festiwalu BLISKI WSCHÓD. Od ponad 10 lat związany z Centrum Kultury w Lublinie. Spektakle wystawiał m. in. w Starym Teatrze, Łaźni Nowej i Teatrze Ludowym w Krakowie, Teatrze Polskim, Teatrze Współczesnym, Teatrze Muzycznym Capitol, Narodowym Forum Muzyki, a także we Wrocławskim Teatrze Pantomimy, Teatrze im. J. Kochanowskiego i Teatrze Lalki i Aktora w Opolu, Teatrze Nowym i Teatrze Wielkim w Poznaniu, Teatrze Współczesnym w Szczecinie, Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie, Teatrze im. H. Modrzejewskiej w Legnicy jak również w Warszawie, Gdyni, Kaliszu, Bielsku-Białej i Łodzi. Realizował także spektakle z teatrami fizycznymi nurtu niezależnego, m.in. w OPT „Gardzienice", w Studium Teatralnym w Warszawie, w Stowarzyszeniu Teatralnym „CHOREA" w Łodzi, w Teatrze „Zar" w Ośrodku Grotowskiego we Wrocławiu oraz Center of Performing Arts „MITOS" na Cyprze. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, laureat Złotych Masek za *Ifigenię w Aulidzie*, *Słownik Chazarski - Dzieci Snów*, *Dziady* Nagrody Głównej XXIX Opolskiego Festiwalu Konfrontacje Klasyki za reżyserię *Klątwy* oraz Nagrody im. Konrada Swinarskiego za spektakl *Morrison/Śmiercisyn*. Spektakle *Turandot* oraz *Kukła. Księga Blasku* prezentował na FRINGE Festival w Edynburgu, gdzie otrzymał Herald Angel i Total Theater Award.

A co rokuje?

Teatr, który cały czas się nie zgadza, który jest w konflikcie. Teatr w ogóle po to jest. Zawsze wydawało mi się, że tworzymy bezpieczną przestrzeń właśnie z tego powodu. Że my się na coś umawiamy i to właśnie ta umowa powoduje, że każdy może powiedzieć, dobra, ja rezygnuję ze współpracy z Tobą, to nie dla mnie. Wydawało mi się, że na ten rodzaj pracy decydują się ludzie, którzy świadomie wchodzą w trudne, wymagające psychologicznie sytuacje i pasjonuje ich praca na przeciążeniu. Teatr wydawał mi się przestrzenią, w której możemy brać na warsztat bardzo trudne tematy i robić odważną sztukę. Ja sam potrzebuję tego, jak powietrza. To jest to, kim jestem. Zajmuję się działaniami na granicach awangardy teatralnej, muzyki i takich form w okolicach performance'u. Wydawało mi się, że to jest przestrzeń do eksperymentów. Cywil nie zrozumie tego, że ktoś na przykład w swoim życiu prywatnym wciela się w postać. Jak to wytłumaczyć, czemu on ma pracować po godzinach? A jednak, pracujemy nad tą postacią i aktor próbuje żyć tą postacią i wychodzą z tego niesamowite efekty. Mamy tego nie robić?

A można eksperymentować bezpiecznie(j)?

Trzeba. Na pewno byłoby też potrzebne, żeby ktoś powiedział, co w tym teatrze jest wartościowe i dlaczego. Natomiast moja praca została jednym ruchem przekreślona w całości. Dostaję nagrody i to jest doceniane, jestem hołubiony, mam możliwość pracy, po czym nagle z dnia na dzień, jakby nie było, jestem nieobecny. I to nie tak, że dzwoni do mnie dyrektor teatru, u którego w teatrze zrobiłem kilka nieźłych spektakli, który decyduje, że schodzi spektakl, ale informuje mnie o tym smsem ktoś, kto jest w jego gabinecie. A ów dyrektor jest osobą, z którą jestem na „ty" i mamy, zaryzykowałbym jeszcze wcześniej stwierdzenie, relacje przyjacielskie. I teraz on jest na tyle przerażony, że nie dzwoni do mnie, tylko informuje mnie przez kogoś smsem, że dobry, ważny spektakl schodzi.

Panie Pawle, a gdzie się pan dzisiaj widzi?

Mam tlącą się nadzieję, że prawda nas wyzwoli i że uda mi się zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, by stawić czoła wielkiej korporacji, dużemu wydawnictwu. Nic innego nie mogę zrobić. Kiedy to wszystko się wydarzyło, przeniosłem większość swojego zainteresowania teatralnego na współpracę z artystami niezależnego teatru białoruskiego i zrobiliśmy dużo różnych rzeczy i to jest coś, co obecnie wydaje mi się bardzo wartościowe. Pracuję dużo z aktorami stamtąd z tego względu, że trzeba będzie i w Białorusi i w Ukrainie budować trochę od nowa szkolnictwo artystyczne. Pracuję teraz ze studentami teatrologii nad przedsięwzięciem wokół wymiany postaci w tragedii antycznej. Mnie teatr jest potrzebny do badania czegoś. Ale jeżeli nie będę mógł go robić, będę robić coś innego. Doskwiera mi to, co się dzieje. Muszę wymyślić się na nowo. Myślałem że wyjazd z kraju będzie tym rozwiązaniem, niestety to był czas pandemii. Pracuję też w języku, więc to jest... No wiadomo. Posługuję się różnymi językami obcymi, ale wiadomo, że teatr to jest kwestia głębokich poziomów...

O czym pan marzy?

O czymś, co wydaje się niemożliwe. O sytuacji, żeby to odium zboczeńca w polskim teatrze zostało ze mnie zdjęte, przez ujawnienie kłamstw, które padły i ich charakteru. Ktoś z rozmysłem chciał mnie utopić, zakończyć moją działalność teatralną i to jest zupełnie dla mnie nie do przejścia. Szukam jakiegoś spokojnego miejsca, żeby wystartować gdzieś dalej. Jestem w narożniku. Po spektaklu „#chybanieja" miałem problem ze znalezieniem pracy. Sugerowano mi kilkakrotnie, że po spektaklu o pedofilii w kościele nie mam szans pracować. Nie jest to dla mnie nowa sytuacja, że się znajduję na lodzie. Natomiast to, co się wydarzyło tutaj, jest tak dewastujące, że chętnie wybrałbym się na Księżyc i tam robił teatr. Ale teatr to ludzie i dlatego muszę zrobić wszystko, żeby odzyskać przestrzeń twórczego spotkania z tymi, którzy chcą się ze mną spotykać. ●

ALICJA MYŚLIWIEC

Medioznawczymi z wyboru, zawodu i wykształcenia. Teoretyczka i praktyczka. Od lat pozostaje w sformalizowanym związku z Uniwersytetem Jagiellońskim i w związku otwartym z kinem niezależnym (Mastercard OFF CAMERA). Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, kulturoznawstwa międzynarodowego, gender studies, w końcu studiów doktoranckich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach. Dziennikarka radiowa (Antyradio, RMF Classic, Meloradio) i telewizyjna (TVN). Koneserka przyjemności. Wielbicielka jogi. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.

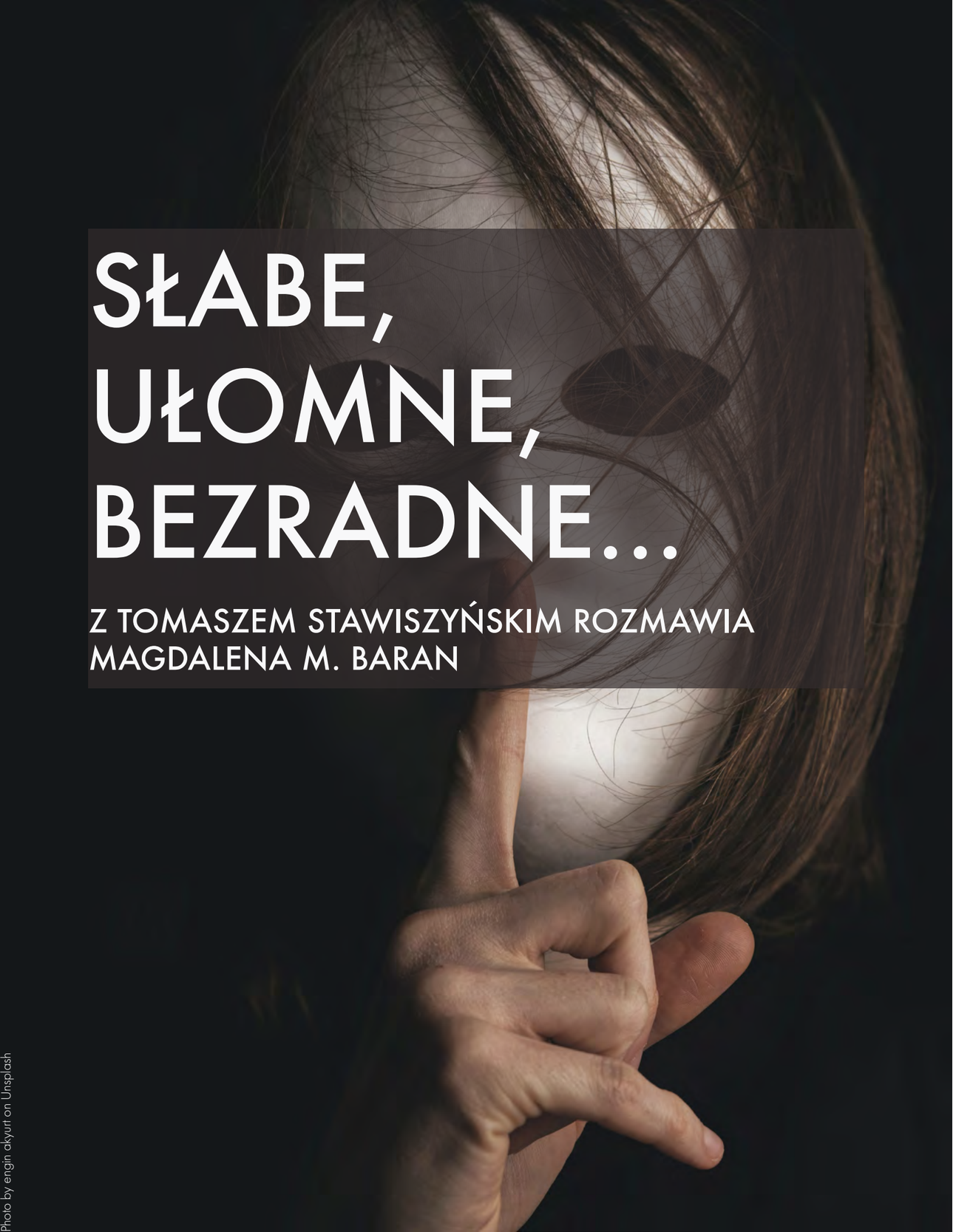

Photo by engin akyurt on Unsplash

SŁABE, UŁOMNE, BEZRADNE...

Z TOMASZEM STAWISZYŃSKIM ROZMAWIA MAGDALENA M. BARAN

Magdalena M. Baran „Nienawidzę *cancel culture* – mówiła niedawno Helena Bonham Carter. – To już zrobiło się histeryczne; to pewien rodzaj polowania na czarownice, a jednocześnie całkowity brak zrozumienia". I w zasadzie, gdy patrzymy na naszą codzienność, to przejawy *cancel culture* – kultury unieważnienia – są coraz częstsze. Jak ty to czytasz?

Tomasz Stawiszyński: Brak zrozumienia – to mi się wydaje kluczowe. Niezależnie od tego, czy się zgodzimy, czy nie, że mamy do czynienia ze zjawiskiem systemowym – a pojęcie „kultury" właśnie coś takiego zakłada – bez wątpienia możemy zaobserwować dookoła, zwłaszcza w mediach społecznościowych, ale nie tylko, erozję wzajemnego zrozumienia i wyrozumiałości. Niezależnie od tego, czy mówimy o oczywistych przykładach *cancel culture* – takich na przykład, jak historie Eriki i Nicholasa Christakisów czy Meg Smaker – czy też o toczonych codziennie w mediach społecznościowych sporach i wojnach, to jest chyba faktycznie wspólny mianownik. Odmowa rozumienia czy raczej należałoby powiedzieć – stosowanie w odniesieniu do ludzi, którzy znajdują się na celowniku, najgorszych możliwych interpretacji ich zachowań czy wypowiedzi. Które skądinąd czasami polegają wyłącznie na zakwestionowaniu dominującej w danym środowisku ortodoksji, czasami zaś na jakimś głupim błędzie czy pomyłce.

Równie dobrze mogłabym zapytać: Czy wolno nam dziś popełniać błędy? Potknąć się? Bez zastanowienia palnąć głupotę? Czy może stale musimy być już nie tylko uważni, ale wręcz czujni?

Jest coś bezlitosnego w tej obecnej dziś w mediach społecznościowych atmosferze wzmożenia, tropienia odstępstw od ortodoksji, gremialnego piętnowania tych, którzy mają odmienne przekonania albo wartości, szydzenia albo oburzania się w zastępstwie normalnej rozmowy, choćby i intensywnie polemicznej. Myślę, że mnóstwo ludzi ma poczucie, że musi bardzo starannie dobierać słowa i wystrzegać się najdrobniejszych dwuznaczności, bo kiedy już coś zostanie zinterpretowane jako występek, ruszy fala potępienia, której nie będą w stanie zatrzymać żadne tłumaczenia. Widzę to w mediach społecznościowych regularnie. Ktoś coś napisze w sposób niejasny albo niewprawny, ktoś inny uzna, że to jest atak na niego albo na jakieś wyznawane przez niego poglądy i niezależnie od tego, jak szczegółowo ten pierwszy będzie tłumaczył, że nic złego nie miał na myśli, histeria zataczać będzie coraz szersze kręgi. Oczywiście, jest tutaj także aspekt plemienny, to znaczy najbardziej oburzające i aktywujące są wypowiedzi albo zachowania tych osób, których nie postrzegamy jako „naszych". U „naszych" bowiem bardzo często toleruje się zachowania i wypowiedzi, które żywiołowo zwalcza się u innych.

Photo by engin akyurt on Unsplash

Najpewniej moglibyśmy tu wskazać szereg przykładów – zarówno tych indywidualnych, jak i osadzonych w szerszym kontekście. Bo wykluczamy jednostki, ale i – jak choćby ostatnio, ze względu na wojnę – całe kultury. Co tu dominuje: racjonalność czy emocje?

Zdecydowanie emocje. Racjonalność zostaje tu natomiast – jak to często bywa – wprzęgnięta w ich tryby, staje się więc racjonalizacją.

Jednocześnie środowiska łatwo „cancelujące"/ wykluczające ze względu na coraz dłuższy katalog faktycznych lub domniemanych przewinień, tak naprawdę same przekraczają granicę przemocy. Tu, gdzie rzeczywiście się ona wydarza, odpowiedzią na nią bywa przemoc; tu zaś, gdzie jest ona domniemana… sytuacja tak naprawdę nie ulega wielkiej zmianie, bo zapominając o zasadzie domniemania niewinności, często dochodzi do środowiskowego skazania bez sądu.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech mentalności fundamentalistycznej – a moim zdaniem taka właśnie mentalność cechuje najrozmaitsze wcielenia *cancel culture*, od prawa do lewa – jest głębokie przekonanie, że zło jest zawsze gdzieś indziej. „My" reprezentujemy wyłącznie światło, słuszność, dobro i szlachetność, i w sposób bezkompromisowy walczymy ze złem i złymi ludźmi, *ergo* nie mamy z nimi nic wspólnego. To jest właśnie charakterystyczny moment zaślepienia, który sprawia, że często w imię walki z przemocą usprawiedliwia się własną przemoc. Poczucie, że się dokonuje sprawiedliwość dziejowa, znosi w takim przypadku wszystkie reguły: domniemanie niewinności, wyrozumiałość, a nawet prawo do obrony, wypowiedzenia własnej perspektywy czy opinii.

Jest tutaj aspekt plemienny, to znaczy najbardziej oburzające i aktywujące są wypowiedzi albo zachowania tych osób, których nie postrzegamy jako „naszych"

To taki „cancelujący moralizm", prawda? Gdzie człowiek zostaje zredukowany de facto do swojego jednego błędu. Jakby cokolwiek zdziałał/stworzył wcześniej; jakąkolwiek osobą nie byłby wcześniej, zostało unieważnione. Pytanie czy można unieważnić drugiego człowieka i… kiedykolwiek czuć się z tym dobrze? Czy można żyć uczciwie/czuć się ze sobą dobrze/ patrzyć bez wstydu w lustro bez wysłuchania odpowiedzi?

Myślę, że niestety można, bo zaangażowane w to mechanizmy racjonalizacji są niezwykle silne. Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia ze zjawiskiem z poziomu psychologii zbiorowości. Włączają się wtedy nie tylko indywidualne, ale i społeczne procesy redukcji dysonansu poznawczego. Doskonale skądinąd znane i wielokrotnie opisane. Problem polega na tym, że nie odnosimy ich do siebie, wydaje się nam, że my tym mechanizmom nie podlegamy, bo kiedy im podlegamy – taka właśnie jest ich natura – zupełnie nie zdajemy sobie z tego sprawy. Tymczasem wszyscy są na nie podatni, na tym polega ich chytrość. No więc ofiarę takiego zbiorowego unieważnienia często jeszcze intensywniej się potępia i zohydza, wyszukuje się najróżniejsze – także ideologiczne – uzasadnienia dla potraktowania jej w ten sposób.

A może zapominamy, że w ogóle istnieje jakaś „druga strona"? Bo ani dystans, ani wyrozumiałość nie są dziś „w modzie"?

Bo tyle się u nas opowiada o wybaczeniu, a... łatwiej wydaje się nie-wybaczać?

Druga strona coraz częściej istnieje dzisiaj jako wyprojektowany na zewnątrz jungowski cień, czyli wszystko, z czym się nie utożsamiamy i co uważamy za reprezentację zła, słabości i głupoty. O społecznych niebezpieczeństwach takiej jednostronnej projekcji pisał Jung w eseju „Walka z cieniem" opublikowanym w 1946 roku. Jest to – najkrócej mówiąc – prosta droga do przemocy, ponieważ pogłębioną refleksję nad naszym, jako ludzi, uwikłaniem w przemoc, zastępuje skrajnie uproszczony binarny podział, w którym to tylko jacyś „inni" są do przemocy skłonni i za przemoc odpowiadają. *Ergo* – wszystkie nasze działania są od niej z definicji wolne, a nawet jeśli musimy się nią przeciwko tym złym posłużyć, robimy to zawsze i tylko w imię powszechnego dobra. Tego rodzaju sposób myślenia jest nie tylko niebezpieczny, ale także w szerokim sensie demoralizujący. Przy czym ja ani nie relatywizuję tutaj realnego zła, ani też nie głoszę naiwnego pacyfizmu. Oczywiście, zdarzają się jak najbardziej sytuacje, kiedy trzeba zastosować przemoc przeciwko agresorom i jest to coś etycznie jednoznacznego – *vide* choćby wojna w Ukrainie. Twarde przeciwstawienie się realnym opresorom jest naszym moralnym obowiązkiem. Nie zmienia to jednak faktu, że zawsze powinna temu towarzyszyć autorefleksja i świadomość, że – zwłaszcza w ferworze walki, zwłaszcza w stanie moralnego uniesienia – samemu bardzo łatwo przekracza się różne mniej lub bardziej subtelne granice. Właśnie dlatego, że nikt z nas nie jest wolny od dyspozycji do przemocy. Nieustanne poddawanie własnych emocji, odruchów, przekonań i wartościowań krytycznemu namysłowi, pamięć, że większości strasznych rzeczy w historii dokonywali ludzie całkiem pewni swoich racji i moralnej czystości – to jest, jak sądzę, najważniejsze.

Poczucie, że się dokonuje sprawiedliwość dziejowa, znosi w takim przypadku wszystkie reguły: domniemanie niewinności, wyrozumiałość, a nawet prawo do obrony, wypowiedzenia własnej perspektywy czy opinii

W kontekście, o którym rozmawiamy, wielu chętnie mówi o godności drugiego człowieka, a tymczasem cancel cutlure – co do której wciąż wzdragam się by w ogóle używać słowa „kultura"

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Filozof, eseista, autor bestsellerowych książek „Potyczki z Freudem. Mity, pokusy i pułapki psychoterapii", „Co robić przed końcem świata", „Ucieczka od bezradności", „Misja Sowy. Tosia, Franek i sekrety filozofii" oraz „Reguły na czas chaosu"; w radiu TOK FM prowadzi „Godzinę filozofów"; twórca podcastu „Skądinąd" (www.patronite.pl/skadinad) dostępnego m.in. na platformach Spotify, Apple Podcasts i Google Podcasts; stały felietonista „Tygodnika Powszechnego"; jego teksty i audycje można znaleźć na stronie www.stawiszynski.org.

Fot. Karol Paciorek

Photo by engin akyurt on Unsplash

– tak naprawdę nie ma na uwadze czyjejkolwiek godności…

Wydaje mi się, że główną stawką jest tutaj przede wszystkim momentalna gratyfikacja. Możliwość łatwego i szybkiego poczucia moralnej wyższości, a także samopotwierdzenia się w oczach grupy, do której się należy, albo do której się aspiruje.

Taki zbiorowy sąd dokonuje się na kolejnych jednostkach. Dziś można nawet zostać wykluczonym za coraz bardziej błahe sprawy. Nawet ze względu na plotkę, którą „jedna pani, drugiej pani powiedziała w maglu", za podsłuchane kawiarniane plotki, za post na fb… W sumie niemal ze względu na wszystko, co tylko akurat nie zagra w duszy danemu środowisku, można zostać „odsądzonym od czci i wiary". Oczywiście mówię tu już o skrajnościach, ale jednak. Czyż nie?

Oczywiście są różne stopnie takiego ostracyzmu. Negacjoniści, którzy twierdzą, że zjawisko, o którym rozmawiamy, tak naprawdę nie istnieje, podkreślają często, że osoby, które padły ofiarami tego rodzaju zachowań, w gruncie rzeczy nic nie straciły. Ot, spotkały się z ostrą krytyką, ot, spłynęła na nie fala intensywnych emocjonalnie komentarzy, ale przecież dalej funkcjonują, pracują, słowem, mają się dobrze – więc gdzie tutaj *cancel culture*? Abstrahując od tego, że często ci sami ludzie w odniesieniu do innych sytuacji potrafią być niebywale wyczuleni na kwestię przemocy i opresji obecnych w języku na wiele niezwykle subtelnych, niewidocznych na pierwszy rzut oka sposobów, tutaj natomiast wykazują się wobec jawnej przemocy zastanawiającym lekceważeniem – jest to przykład tego, o czym wcześniej już mówiliśmy. A mianowicie – podwójnych standardów, innych dla „swoich", innych dla tych, których traktuje się jak wrogów. Tym ostatnim nigdy nie dzieje się krzywda z powodu drastycznych, agresywnych komentarzy czy otwartych gróźb. A w ogóle to sami sobie na to zasłużyli. Poza tym, dopóki funkcjonują, dopóki całkowicie nie znikną, o żadnym „cancelingu" nie może być mowy. Tymczasem każdy, kto choćby w niewielkim stopniu doświadczył wirtualnej przemocy, wie doskonale jak niszczące, stresujące i bolesne jest to doświadczenie. Niestety, nie od dzisiaj wiadomo,

Każdy, kto choćby w niewielkim stopniu doświadczył wirtualnej przemocy, wie doskonale jak niszczące, stresujące i bolesne jest to doświadczenie

że empatia działa głównie wobec tych, których postrzegamy jako „naszych".

Bywamy ślepi na własną przemoc – wobec bliskich, ale też wobec dalekich.

Tak, zgadzam się tutaj całkowicie z René Girardem, moim zdaniem jednym z najprzenikliwszych współczesnych myślicieli, że najpilniej strzeżoną przez nas tajemnicą jest tajemnica o własnej skłonności do przemocy.

I tej skłonności, na poziomie nieświadomym, najtrudniej nam się wyrzec...

Co oczywiście sprzyja konserwowaniu się tego mechanizmu. Zarazem odnoszę jednak wrażenie, że to się powoli zaczyna zmieniać, i że coraz częściej mówi się dzisiaj głośno o niebezpieczeństwach tego rodzaju wzmożeń. Problem polega na tym, że zjawiska skrajne oraz ślepe na niuanse i niejednoznaczność ich promowania, spotyka się najczęściej z równie ślepym backlashem. I w jednym, i w drugim przypadku wylewa się dziecko z kąpielą.

Którędy prowadzi droga wyjścia z tego zaklętego kręgu? W relacjach indywidualnych jest może lepiej, bo jednak

Wyrozumiałość dla własnych oraz cudzych błędów i własnej oraz cudzej bezradności – to mi się wydaje fundamentalna dzisiaj potrzeba tak indywidualna, jak i społeczna

Inna sprawa, że po cichu wiele środowisk wcale nie czuje się z takim unieważnieniem dobrze, ale każdy boi się wyjść przed szereg. Ludzie obawiają się konsekwencji, tego, że pójdą z kimś na dno, że podobnie jak on/ona staną się persona non grata, że znikną... Czy jest aż tak źle?

Znam mnóstwo osób, które dostrzegają te zjawiska, widzą, że coś jest tutaj dalece nie w porządku, ale boją się o tym powiedzieć głośno.

potrafimy sobie wybaczać, czasem dopuszczając myśl, że „wina" wcale nie leżała wyłącznie po jednej ze stron. A jak wygląda sprawa/problem na bardziej „ogólnym planie"?

Szczerze powiedziawszy, nie widzę jakichś specjalnych strategii wyjścia poza ten zaklęty krąg. No może poza tym, o czym właściwie traktują całe Reguły na czas chaosu, to znaczy – powtórzę – nieustannym poddawaniem refleksji własnych impulsów, odruchów i przekonań, praktykowaniem swoistej czujności nie tylko wobec innych, ale także wobec siebie i swojej grupy czy wspólnoty. Stosowaniem jednolitych standardów wobec „naszych" i „nie-naszych". Porzuceniem iluzji, że się jest wyłącznie dobrym i słusznym, a ci, którzy mają inny światopogląd czy system wartości to barbarzyńcy oraz iluzji, że źródłem przemocy oraz problemów nigdy nie jesteśmy „my", lecz zawsze „oni". Uznaniem, że – jak powiadał Jung – „nieświadomość jest naprawdę nieświadoma", czyli że podlegamy jej wpływom, nie zdając sobie z tego sprawy. No i ograniczeniem używania mediów społecznościowych, oczywiście – nie do zera, nic z tych rzeczy, ale z pewnością w odniesieniu do wszelkich „inb", fal oburzenia, internetowych linczy i tak dalej.

Na koniec – czy możemy przyznać sobie prawo do popełnia błędów? Przyznać je sobie, bo przecież nie jesteśmy aniołami; ale też przyznać je innym tak, by wyrwanie się z zaklętego kręgu unieważnienia mogło stać się faktem?

Wyrozumiałość dla własnych oraz cudzych błędów i własnej oraz cudzej bezradności – to mi się wydaje fundamentalna dzisiaj potrzeba, tak indywidualna, jak i społeczna. Żyjemy w kulturze zafiksowanej na sprawności, doskonałości, w kulturze systemowo odwracającej się od tego, co w człowieku słabe, ułomne i bezradne. Zjawisko, o którym rozmawialiśmy, to tylko jedna z licznych konsekwencji tego stanu rzeczy. ●

Tomasz Stawiszyński,
Reguły na czas chaosu,
Znak Literanova, 2022

MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

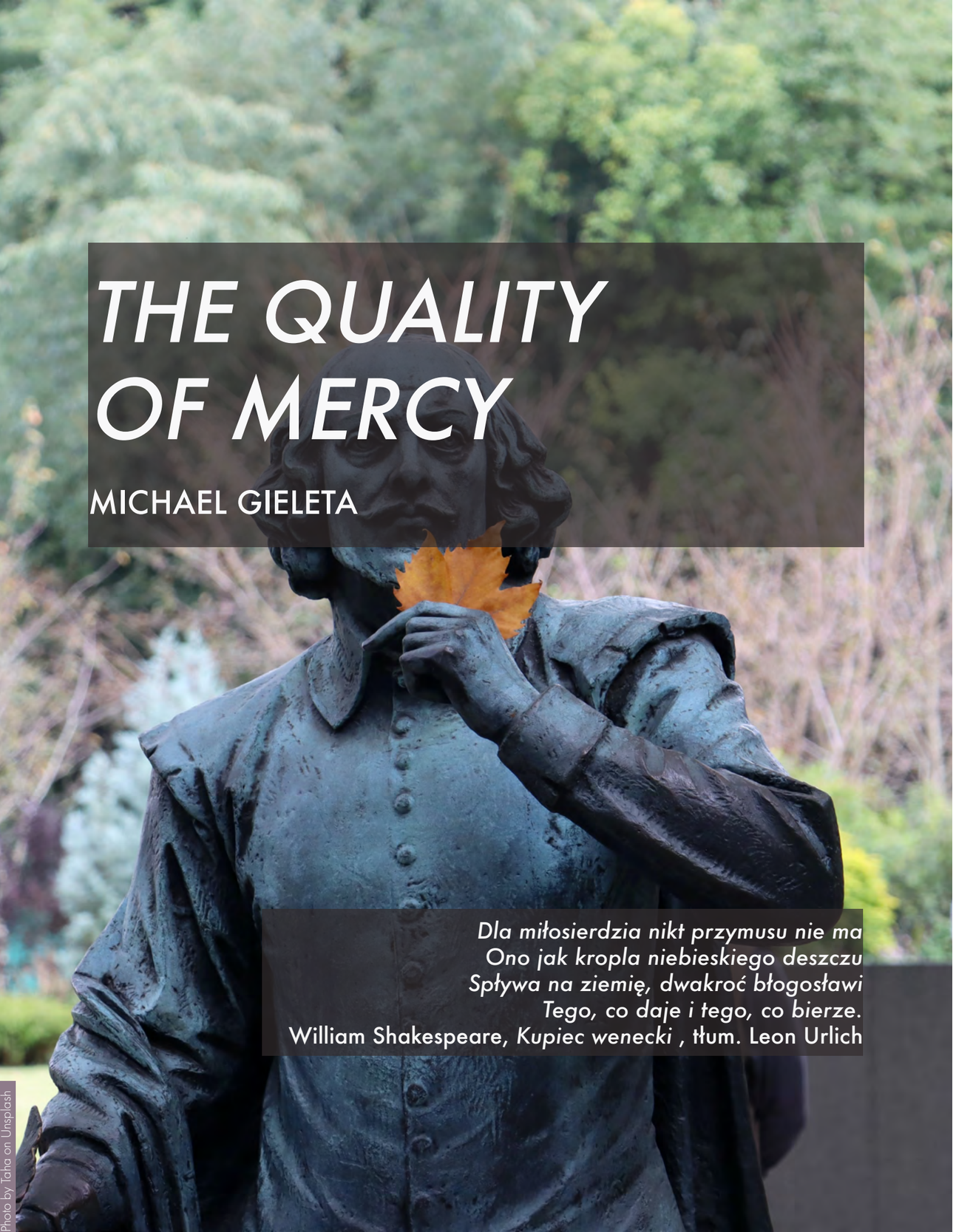

THE QUALITY OF MERCY

MICHAEL GIELETA

Dla miłosierdzia nikt przymusu nie ma
Ono jak kropla niebieskiego deszczu
Spływa na ziemię, dwakroć błogosławi
Tego, co daje i tego, co bierze.
William Shakespeare, *Kupiec wenecki* , tłum. Leon Urlich

Photo by Taha on Unsplash

Przynajmniej tak twierdzi Portia w *Kupcu weneckim* chwilę przed popełnieniem aktu rujnacji Shylocka, pozbawiającego go domu, majątku, statusu rezydenckiego, zwrotu długu i oszczędności, religii oraz prawa do obywatelstwa. Brzmi znajomo, hmm? Portia obwieszcza swój jurydyczny dyktat nie będąc nawet prawnikiem; nawet nie będąc sobą, bo przecież jej toga młodego doctora praw z Rzymu jest kolejną z machinacji, którymi posługuje się przez całą sztukę. O sędziowskiej bezstronności nie ma nawet mowy: prerogatywą Portii jest uratowanie zakochanego w jej przyszłym mężu weneckiego kupca Antonia, zadłużonego po uszy u Shylocka, a nie sprawiedliwość w jakimkolwiek wymiarze.

To, że Antonio jest bankrutem, od którego romansujący z nim Bassanio wyłudził na hulaszcze życie ostatni pożyczony grosz – nieważne. To, że Bassanio był lub nadal jest kochankiem Antonia – nieważne. To, że przyjaciel Portii i Bassania przy ich pomocy namawia córkę Shylocka do ucieczki z domu wraz ze zrabowanymi oszczędnościami ojca – nieważne. To, że córka Shylocka zmuszona zostaje do przejścia na chrześcijaństwo – nieważne. To, że Portia manipuluje testamentem ojca aby wyjść za Bassania – nieważne. To, że chwilę po destrukcji Shylocka, nadal w przebraniu asesora, Portia będzie emocjonalnie szantażować Bassania przy pomocy kolejnej machinacji – nieważne.

To, że Portia, nie będąc nawet fizycznie w Wenecji, całą historię Shylocka usłyszała z ust ponaglanego presją kredytową boyfrienda-antysemity – nieważne. To, że Portia kłamliwie podaje się w sądzie za protegowanego znanego prawnika – nieważne. Ważne, że z góry wymyśla sobie absurdalny prawny manewr: obiecany Shylockowi funt mięsa nie może zawierać w sobie ani uncji krwi Antonia (co, umówmy się, przeczy biologii). To, że Antonio wiedział co jest w umowie, którą podpisał jako kredytobiorca, nieważne. Nawet, wbrew protestacjom Portii, zasada *dura lex sed lex* nie ma dla nikogo oprócz Shylocka praktycznego znaczenia.

Nieważne więc, że podczas swojej mowy sądowej Portia przeczy idei prawa cywilnego, mieszając swój krypto-kruczek prawny z religią, której Shylock nawet nie wyznaje („Żydzie, choć prawo za tobą/ pomnij, że nikt z nas zbawienia nie znajdzie/ w sprawiedliwości sądzie nieugiętym"). Shylock chce sprawiedliwości, a nie zbawienia. Nieważne.

Najniższa z sądowych manipulacji Portii to „demonizacja Żyda" dobrze znana z późniejszych stuleci: umowa między Shylockiem a Antoniem mówi o funcie mięsa z dowolnej części ciała. Portia w sądzie każe Shylockowi ciąć Antonia tak blisko serca jak się da, zrównując domagającego się egzekucji prawa Shylocka z Żydem mordującym chrześcijanina

dla pieniędzy. Nieważne. A jeśli jedyną windykacją za lata upokorzeń i ograbienie jest dla Shylocka kastracja Antonia? Lub symboliczne obrzezanie? Shylock w żadnym momencie sztuki nie mówi o pozbawianiu Antonia życia. Do tego popycha Shylocka w swojej tendencyjnej argumentacji Portia. Nieważne.

Ważne, że Portia ograła „Żyda" jego własną grą (litera prawa) i „miłościwie" uratowała Antonia wraz z jego majątkiem. „Miłościwość" ta Żydów naturalnie nie dotyczy. Banicja, ograbienie, konwersja, publiczne upodlanie, naginanie prawa, przywłaszczanie majątku „Żyda" nie wchodzą w zakres chrześcijańskiej „miłosciwosci". Nie dla „Żyda" kropla niebieskiego deszczu. Też brzmi znajomo, hmm? Shylock zostaje „scancelowany", „sprawiedliwość" zostaje wymierzona, zło zostaje ukarane, a sprawca zła fizycznie pozbawiony prawa przebywania w tej samej przestrzeni, co radująca się „sprawiedliwością" złota (*nomen omen*) młodzież Wenecji.

Geniusz ambiwalencji Shakespeare'a leży naturalnie w tym, że każdy z bohaterów Kupca nosi w sobie ludzką niedoskonałość i wielowymiarowość. O ile bandę hedonistycznych hipokrytów da się wytłumaczyć, Shylocka się nie da. Dywagacje czy Shylock jest naprawdę zły, są tak samo jałowe jak te, czy Hamlet naprawdę stracił rozum. Shylock jest niewytłumaczalny, tak jak niewytłumaczalny jest Hamlet.

Sztuczne pozycjonowanie biegunów konstrukcji *Kupca weneckiego* jako starcia się judaizmu z chrześcijaństwem albo też „inności" z chrześcijaństwem jest intelektualnie leniwe. W Elżbietańskiej Anglii nie było nawet Żydów i Shakespeare tyle rozumiał z judaizmu, ile wyczytał w Starym Testamencie. Ale organiczne istnienie tych biegunów najlepiej określiła matka pisarza Howarda Jacobsona: tuż przed wydaniem „Shylock Is My Name", powieści pisanej z punktu widzenia Shylocka, matka poradziła mu, żeby tego nie robił, bo to temat-świętość. „Według kogo?", spytał Jacobson. „Według nich", odpowiedziała 92-letnia matka Jacobsona.

Społeczeństwu potrzeba ofiary zastępczej, uosabiającej brzydotę natury ludzkiej, którą kolektywnie w sobie nosimy. Paradygmat Żyda jako kozła ofiarnego ma długą i dobrze udokumentowaną tradycję w kulturze chrześcijańskiej. Ale przecież, o ironio ironii, koncept

Nie można przecież ich wszystkich „cancelować"

kozła ofiarnego pochodzi z żydowskiej biblii i nie potrzebuje „innego" do reprezentacji tego, co w nas najgorsze. Z przypowieści w Księdze Leviticusa *aza'lel* stał się łacińskim *caper emissarius*, francuskim *le bouc émissaire*, odmiennym znaczeniowo angielskim *scapegoat*, szczerym w swojej bezpośredniości niemieckim *Sündenbock* i polskim „kozłem ofiarnym". Proszę zwrócić uwagę na odmienność znaczeniową między różnymi językami – w polskim czy niemieckim najmniej odzwierciedlone jest to, że dany *caper* był wyrzucany, wysyłany czy zmuszony do ucieczki poza społeczność. „Cancelujemy" przez to własne grzechy, zrzucając je na wyostracyzowaną jednostkę i zaczynamy oddychać na nowo świeżym powietrzem niewinności.

„O ile można się było tego spodziewać po stronie radykalnej prawicy, cenzura również rozprzestrzenia się coraz szerzej w naszej kulturze: brak tolerancji dla innych poglądów, moda na publiczne upokarzanie i ostracyzm, oraz tendencja do pozornego rozwiązywania skomplikowanych problemów politycznych z oślepiającą moralną pewnością siebie"

Czy golone po wojnie we Francji kobiety, które utrzymywały stosunki miłosne czy seksualne z okupantami nie były substytutem o wiele poważniejszych aktów kolaboracji Francuzów? O ile trudno o przekonywującą apologię rządu Vichy, o tyle *collaboration sentimentale* opiera się nawet dzisiejszym osądom moralnym. I czy właśnie zamordowana w Auschwitz Sophie Némirovsky nie udowodniła tego w swojej *Suite Française*, że można było być zarówno aktywną członkinią La Résistance, jak i kochać się z wrogiem prawdziwą miłością? Ale to kobiety są łatwym celem, tak do stygmatyzowania, jak i do wyrzucania poza społeczność. Dla nich też nie było chrześcijańskiego miłosierdzia, o którym tyle mówi w *Kupcu weneckim* Portia. Włosy odrosły, młodość przeminęła, a zmiana miejsca zamieszkania oraz czas może pomogły zmyć z siebie hańbę przypisywaną *les femmes tondues*.

W kontekście „cancelowania" postaci historycznych i (anty-) bohaterów z przeszłości, jaki jest cel poddawania ich dzisiejszym osądom moralnym? Jak generacja woke ma zinterpretować platoniczne zafascynowanie Aschebacha pięknem młodego chłopca w *Śmierci w Wenecji*, czy to u Manna, Viscontiego czy Brittena? Co zrobić z *Budowniczym Solnessem* Ibsena (bohater romansujący z trzynastolatką), Gauginem i jego polinezyjskimi modelkami, z homoerotyczną obsesyjnością Oberona w *Śnie nocy letniej* hinduskim chłopczykiem-znajdą, co z efebofilią Fedry auto-destruktywnie pożądającej seksu z Hipolitem? Co robić z piętnastoletnią Cio-Cio San w *Madame Butterfly* jako seksualną rozrywką amerykańskiego marine? Co generacja woke pomyśli o dwunastoletniej prostytutce granej przez Jodie Foster w *Taksówkarzu*? Co z parafilicznymi fotografiami własnych dzieci autorstwa Sally Mann? Co z nagimi nastoletnimi chłopcami na płótnach Caravaggia? Nie można przecież ich wszystkich „cancelować".

Radykalność *cancel culture* wyzuwa proces publicznej debaty na temat moralności, wyzwań zrodzonych z tradycji obyczajowej czy atutów postępowości z niuansu i rozwagi

List o sprawiedliwości i otwartej debacie opublikowany został w *Harper's Magazine* w lipcu 2020 roku. Podpisali go liberalni luminarze anglo-amerykańskiego świata, łącznie z Margaret Atwood, Noamem Chomsky'm, Martinem Amisem, Salamanem Rushdiem, J.K.Rowling, Garym Kasparovem, Anne Appelbaum, Evą Hoffman i Glorią Steinem. Jedno zdanie w tym otwartym liście wydaje się być zarówno świetną diagnozą współczesność,i jak i nadzieją na to, że *cancel culture*, jak McCarthyism, przeminie: „O ile można się było tego spodziewać po stronie radykalnej prawicy, cenzura również rozprzestrzenia się coraz szerzej w naszej kulturze: brak tolerancji dla innych poglądów, moda na publiczne upokarzanie i ostracyzm, oraz tendencja do pozornego rozwiązywania skomplikowanych problemów politycznych z oślepiającą moralną pewnością siebie".

Brzydota konceptu *cancel culture* leży nawet na poziomie lingwistycznym. „Cancelowanie" odnosi się przecież do zaniechania transakcji przy kupnie produktu, wyrzucenia czegoś niepożądanego z internetowego kosza, niekontynuowania subskrypcji pisma, członkostwa w związku enologów, comiesięcznej dostawy

pigułek na odchudzanie czy też wpłaty datków na amatorski klub hippistów. Canceluje się coś, nie kogoś.

Etymologiczną ironią owiane też jest samo pochodzenie angielskiego słowa *cancel*: u źródła leży grecki καρκίνος czyli „krab". Ten stał się łacińskim *cancer* zarówno w sensie „rak", jak i „krata". Słowo to zrodziło *cancelli*, więzienne kraty. Z tych wyrósł czasownik cancellare, który to powiązany jest ze słowem *carcer*, znaczącym tyle co polski „karcer". Bez względu na to czy spojrzymy na „cancelowanie" jako „pożeranie przez raka", „wsadzanie za kraty" czy „wycofywanie się jak krab", pamiętajmy, że te pojęcia nie odnoszą się tylko do tych „scancelowanych". „Pożerane przez raka" czy „wsadzane za kraty" mogą być również horyzonty tych, którzy „cancelują". Do tego odnosi się właśnie *List o sprawiedliwości i otwartej debacie*.

Radykalność *cancel culture* wyzuwa proces publicznej debaty na temat moralności, wyzwań zrodzonych z tradycji obyczajowej czy atutów postępowości z niuansu i rozwagi. Tak, w Izraelu bez niuansu i bez rozwagi nie gra się Wagnera. Tyle, że jego kompozycje (czy, przede wszystkim, podszywająca je ideologia) są bojkotowane. A nie „cancelowane". Z kulturowego punktu widzenia Wagnera „scancelować" się nie da. Jako kompozytor może być ostracyzowany, poddany kulturowej banicji, jego dzieła i eseje mogą podlegać ekskomunikacji, mogą być ignorowane, cenzurowane, pomijane w repertuarze, odrzucane, marginalizowane, a ich wartość minimalizowana. Ale nie mogą zostać „cancelowane".

Gdy w 1981 Zubin Mehta zamierzał dyrygować z Filharmonią Izraelską *Liebestod*, jeden z Ocalałych na widowni wstał, podszedł do pulpitu Mehty i krzyknął „Zagrasz Wagnera po moim trupie". Naturalnie w kontekście Ocalałych z Zagłady oraz Wagnera te słowa brzmią makabrycznie na wielu poziomach. Współczesny widz krzyczący spod ekranu przed pokazem *Utalentowanego pana Ripley* w kinie „Pokażecie film Weinsteina po moim trupie" byłby przejawem żałosnego neofityzmu, pod prąd którego meandrują myślący niezależnie twórcy i intelektualiści w dobie *cancel culture*.

Ostratyzacja też nie ominęła w Izraelu Hanny Arendt, której dzieła nie były publikowane po hebrajsku od ukazania się *Eichmann in Jerusalem* do 2010 roku. Ale nie uwielbiany przez polskich antysemitów rozdział o Judenratach uderzył we wrażliwość izraelskiego społeczeństwa. Izrael sam przeprowadził do 1961 roku momentu procesy członków policji w gettach, obozowych kapo czy szefów Judenratów i nie potrzebował do tego Hanny Arendt. Wyższościowy ton chłodnej obserwatorki nie mógł nie zaboleć resztek pokolenia, które wojnę spędziło po europejskiej stronie Atlantyku. Ale nikt Arendt w Izraelu nie „cancelował"; była po prostu ignorowana.

Podczas gdy lotnisko Okęcie jest obwieszone żałosnymi plakatami „Jesteśmy dumni z Polski" prezentującymi podobiznę pewnego pianisty/kompozytora pół-Francuza pół-Polaka, przypomnijmy sobie fragmenty korespondencji tego pianisty/kompozytora ze swoim kopistą Julianem Fontaną: *Nie spodziewałem się żydowstwa (i.e. złodziejstwa) ze strony Pleyela. Kiedy już (mieć) z Żydami do czynienia, to przynajmniej z ortodoksami. Schlesinger (...) dosyć na mnie zarobił i nowego zarobku nie odmówi, tylko z nim grzecznie, bo Żyd chce za coś uchodzić*. Za „coś", nie za „kogoś".

Komercyjny sukces w Paryżu owego pół-Francuza opierał się w dużej mierze na żonglowaniu „polskością", nie mniej niż tą nacjonalistyczną narracją buchającą prawdziwą polską dumą z lotniskowego plakatu. Ale jak reszta z nas ma ze świadomością szowinizmu Chopina postrzegać jego talent i wpływ kulturowy? O ile można wyobrazić sobie, według nazistowskiej wizji, świat bez Meyerbeera, Offenbacha czy Wieniawskiego, pianistyka XIX-wieczna jest, nawet z technicznego punktu widzenia, niewyobrażalna bez Chopina. I co zrobić z rzekomym Wielkim Patriotą plującym pogardą wobec Żydów? „Cancelowanie" go z kanonu jest i niemożliwe i bezcelowe.

Co z kolei mają robić antysemiccy Polacy idąc do ślubu w rytm marsza skomponowanego przez berlińskiego syna pewnego Mendla; kompozycji dodatkowo pochodzącej z sekstualnie rozwiązłego i osadzonego w przed-chrześcijańskim świecie *Snu nocy letniej*? Cancelujmy więc i Mendelssohna, a prawdziwie patriotycznym polskim młodożeńcom zawsze zostaje Wagnerowski chór ślubny z *Lohengrina*. ●

MICHAEL GIELETA

Reżyser operowy i teatralny. Ukończył studia w zakresie literatury na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie jego mentorem był m.in. Cameron Macintosh. Ponadto ukończył program reżyserski w National Theatre w Londynie. Był asystentem Franco Zefirellego przy jego realizacji *Absolutely! (perhaps)* Pirandella na West Endzie. Asystował również w Royal Shakespeare Company. Reżyseruje głównie na deskach teatrów brytyjskich, amerykańskich, skandynawskich i południowoafrykańskich. Pełnił obowiązki dyrektora artystycznego awangardowej The Cherub Company London. Współpracował z Yale School of Opera, Royal College of Music oraz Birmingham Conservatoire. Jest także jednym z reżyserów Akademii Szekspirowskiej w Royal Academy of Dramatic Art.

WELL OF ART – REWOLUCJA NA RYNKU SZTUKI

Z ROBERTEM LATOSIEM ROZMAWIA ALICJA MYŚLIWIEC

Technologia idzie w takim kierunku, że malarstwo tradycyjne, na płótnie warsztatowym, z każdym rokiem oddala się od rzeczywistości, od percepcji. Zaczynamy inaczej postrzegać obraz, inaczej go konsumować – mówi Robert Latoś. Prezes Fundacji Well of Art i pomysłodawca aplikacji GLAZE. Wyznacza nowe ścieżki na rynku sztuki, uwalnia obrazy z ram i sprawia, że każdy może poznać proces malarski. Jak te zmiany mają się do kultury wykluczenia i inkluzywności sztuki?

Alicja Myśliwiec: Gdzie jest miejsce na wykluczenie, kiedy rozmawiamy o nim w kontekście rynku sztuki?

Robert Latoś: Wykluczenie jest esencją rynku sztuki, konstytuuje go. Jeden na dziesięć tysięcy artystów staje się tym rozpoznawalnym, pożądanym. Natomiast cała reszta buduje jego pozycję. Oczywiście starają się doskonalić warsztat, spełniać swoje marzenia, ale koniec końców są tymi, którzy nie zdążyli na właściwy pociąg.

Współczesny rynek sztuki jest rynkiem biznesu czy rynkiem talentów? A może rynkiem talentów biznesowych?

Talentu czy biznesu? Pytanie, gdzie sytuuje się biznes. Talent to de facto bardzo przecenione słowo. Jak działa? Pozwala nie poddać się zbyt szybko. Proces nauki, proces doskonalenia się jest na tyle długi, że jeżeli totalnie nie mamy zdolności w tym kierunku, prawdopodobnie się poddamy. Wtedy talent pomaga. Rynek sztuki działa czysto biznesowo. Galerie nie szukają artystów. Szukają kupujących, kolekcjonerów.

Jak twoim zdaniem się to ma do historii, która buduje mit romantyzujący talent?

Gdyby Caravaggio żył współcześnie, możliwe, że nie mówiłoby się o nim geniusz, tylko morderca. Jego prace by były zdejmowane ze ścian.

Zależy, gdzie by się urodził. Nie urodził się w Krakowie ani na północy Europy. W pewnym sensie żył w Nowym Jorku swoich czasów i to było kluczowe. Kiedy spojrzymy na historię sztuki, Ci wszyscy wielcy, których pamiętamy, żyli w centrum świata sztuki. Nie budowali swojej drogi artystycznej na peryferiach.

W centrum wolno więcej?

Tak! Centrum wybacza. Tam są pieniądze, tam są lobbyści... Wszyscy, którzy decydują o narracji. Jeżeli chcą promować, chcą cenić, chcą „mieć" danego artystę, zrobią bardzo wiele. W tamtych czasach papieże licytowali się z królami na temat artystów, a artyści podążali za zamawiającymi.

Kto licytuje/decyduje dzisiaj?

Bardzo dobre pytanie. Dominującą siłą są domy aukcyjne. Ale to, jak naprawdę działa ten system, jest skrzętnie ukryte. Mówimy o sieci galerii, domów aukcyjnych, o artystach.

Klienci rosną, rynki azjatyckie pod względem siły zakupowej rosną i to, aby ciężko było się w tym zorientować, jest celowym zabiegiem.

Przypomina to labirynt. Dodatkowo rozszyfrowanie tej struktury jest skazane na niepowodzenie, przez co struktura jest bezpieczna.

Tak. Klienci mają się w tym nigdy nie odnaleźć lub odnajdują się jedynie nieliczni. Galerie może rozumieją to zapewne lepiej, ale też świat się dynamiczniej zmienia, więc pojawiają się trendy, kierunki. Ten rodzaj dynamiki daje nowe możliwości.

Czy twoim zdaniem rynkowi sztuki jest potrzebna inkluzywność?

Porównajmy rynek sztuki do Hermesa. Bond Street, Londyn, najdroższa ulica. Czekamy w kolejce niezależnie od tego, ile mamy pieniędzy. Nie możemy tam po prostu wejść, zobaczyć. Jeśli chcemy coś kupić, to musimy być na liście. To są narzędzia sprzedażowe. To jest absurdalne w ciekawy sposób. Markę zbudowano na niedostępności torebek i szalików, podsycając szał oczekiwania. Ze sztuką działa to dokładnie tak samo. Jeśli mamy do czynienia z czołową galerią i czołowymi artystami, to nie jest tak, że możemy wejść do galerii i kupić obraz. Profil tego, kto może go kupić jest bardzo zdeterminowany przez odpowiedniego marszanda. Finalnie odpowiednie osoby są w posiadaniu dzieł sztuki właściwych artystów.

Kim jesteś dzisiaj na rynku sztuki? I gdzie jest ten rynek, który cię interesuje?

Pierwsza myśl jest taka, że mnie nie ma rynku sztuki, ponieważ wyszedłem z niego umyślnie, żeby tworzyć projekt Well of Art.

Co się dzieje, że artysta wychodzi z rynku?

Rynek sztuki jest bardzo brutalnym miejscem, szczególnie dla osoby wrażliwej, szczególnie dla osoby tworzącej. Świadomie postanowiłem, że nie chcę być w pozycji tej słabej strony w biznesie. To znaczy, że mamy bardzo mocne, bardzo stabilne finansowo galerie i tego wrażliwego artystę, którego zawsze można nagiąć, ponieważ to on de facto musi płacić swój czynsz. Chciałem zrobić projekt, który sprawi, że odwrócimy proporcje – to galerie przyjdą do mnie i ja będę decydował, z którą galerią będę współpracować.

Co zrobiłeś?

Przekułem fantazję w rzeczywistość, to znaczy stworzyłem projekt, który przenosi do świata cyfrowego malarstwo, którym ja pracuję. Malarstwo laserunkowe, malarstwo dawnych mis-

ROBERT LATOŚ

Malarz i przedsiębiorca. Współzałożyciel i CEO firmy Well of Art, pomysłodawca softwaru malarskiego Glaze i inicjator powstania Fundacji Well of Art. Studiował malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz kontynuował nieformalną edukację artystyczną w Wenecji i Cambridge. Swoje obrazy prezentował na solowych wystawach w Wenecji, Singapurze i Warszawie. Od 2017 roku koncentruje uwagę na analizie sposobu, w jaki procesy artystyczne wpływają na myślenie poza językiem wizualnym. Z powodzeniem angażuje technologię w doskonalenie umiejętności twórczych.

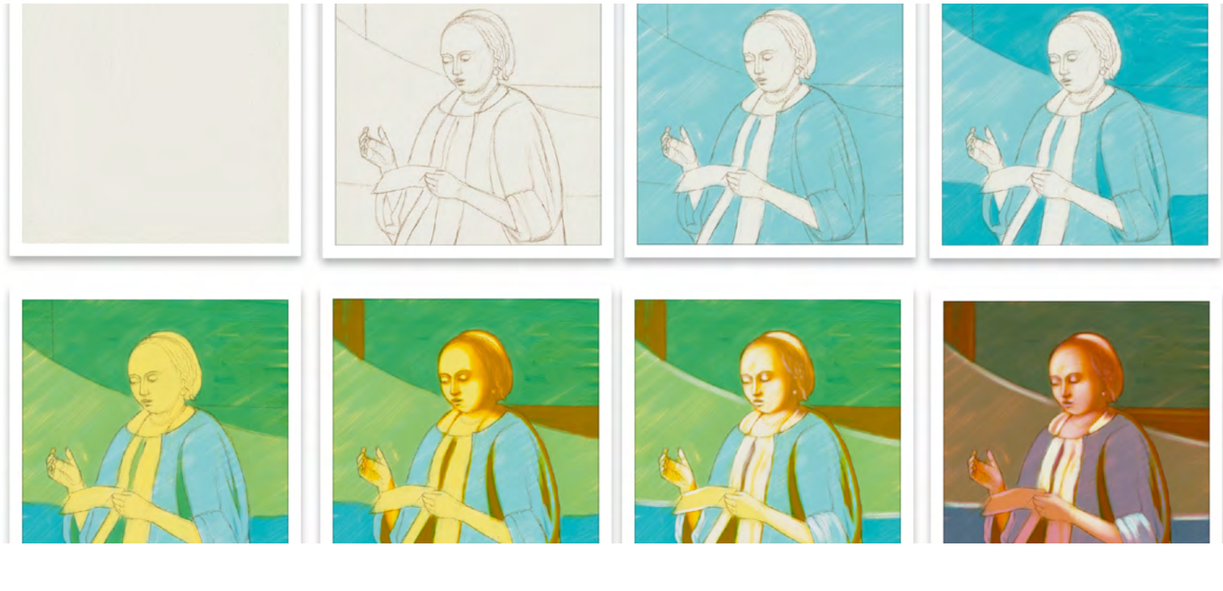

trzów, można dużo słów użyć, jak je opisać. Sprowadza się do mojego warsztatu, który był również używany w czasach renesansu. Tak powstała aplikacja GLAZE i projekty, które będą jej towarzyszyć.

Po co?

Z jednej strony, żeby się podzielić tym, jak przebiega proces malarski. Mnóstwo ludzi pytało mnie o co chodzi, dlaczego to wygląda inaczej, dlaczego im się to kojarzy z obrazami z Luwru. Nie dało się tego wytłumaczyć, trzeba to było pokazać i pozwolić innym doświadczyć tego procesu. Dopiero wówczas: po trzydziestu, sześćdziesięciu sekundach klika mu: „ok! O to chodzi". To trzeba zobaczyć, dotknąć, spróbować. Nie da się o tym opowiedzieć. Z drugiej strony technologia idzie w takim kierunku, że malarstwo tradycyjne na płótnie warsztatowym z każdym rokiem oddala się od rzeczywistości, od percepcji. Zaczynamy inaczej postrzegać obraz, inaczej go konsumować. Obrazek na komórce przedstawiający olejny obraz wielkości kilku centymetrów nie sprawdza się już.

Co się sprawdza?

Sprawdza się doświadczenie. Oglądanie obrazu z perspektywy twórcy, czyli odkrywanie tego, jak obraz mógł powstać:

animacja, film. Nie chodzi o sam obraz, który wisi w galerii, na ścianie i tylko nieliczni mogą podejść i go zobaczyć. Chodzi o zobaczenie czegoś, czego nie widzieliśmy wcześniej. Zrozumienie czegoś, połączenie klocków, spojrzenie na historię, na przykład malarstwa europejskiego inaczej, z perspektywą twórcy, który żyje teraz i opowiada o tej twórczości.

Co Cię pociąga w historii, którą opowiadasz?

Z jednej strony, że nie znam jej końca. Jak zaczynałem projekt, okazało się że zrozumienie technologii, którą wydawało mi się, że rozumiem, że tłumaczenie informatykom, naukowcom jest zupełnie inną historią. To również wpływa na to, jak maluję, jak myślę o obrazie, czym dla mnie jest. To warunkuje też współczesną definicję tego, czym jest sztuka. To poniekąd pojęcie, które zawsze jest nieaktualne. Redefiniujemy je za każdym razem, kiedy postanawiamy malować, tworzyć, pisać. Ten projekt sprawia, że również moja definicja sztuki cały czas się formułuje. Zaczyna się konstytuować i znowu się rozpada. Znając życie, przyjdzie siedmioletnia dziewczynka i zrobi coś, co wymyka się percepcji.

Co to jest Well of Art?

To idea, która skupia narzędzia, które pozwolą publiczności doświadczyć sztuki w nowy sposób. Nauczyć się czegoś, czego nie spodziewali się nauczyć.

Jak się ma Well of Art i ta filozofia procesu o której mówisz do definicji wykluczenia i włączenia w pewien obręb sztuki?

W nieoczywisty sposób. W Well of Art koncentrujemy się na edukacji dzieci, ponieważ one nawet nie znają tych pojęć wykluczenia. To ich nie dotyczy. Dopiero w toku socjalizacji doświadczają wykluczenia. Uczą się, czym jest. To pozwala zobaczyć proces, te wszystkie momenty, kiedy nasza kultura, społeczeństwo zaczyna nakładać ograniczenia.

Gdzie teraz widzisz największe ograniczenie dla siebie?

Ja generalnie nie widzę ograniczeń dla siebie. Muszę bardzo uważać na to, co jest de facto możliwe do zrealizowania, a co nie. Jest dużo niewiadomych. Technologia rozwija się w sposób nieprzewidywalny, więc czy rozwijam technologię w dobrym kierunku, zawsze jest niewiadomą. Kolejne pytanie, czy rozwijam ją dostatecznie szybko.

I to są dylematy Nowych Mistrzów, którzy sięgają po dorobek tych Dawnych. ●

Więcej informacji: www.wellofart.com

ALICJA MYŚLIWIEC

Medioznawczymi z wyboru, zawodu i wykształcenia. Teoretyczka i praktyczka. Od lat pozostaje w sformalizowanym związku z Uniwersytetem Jagiellońskim i w związku otwartym z kinem niezależnym (Mastercard OFF CAMERA). Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, kulturoznawstwa międzynarodowego, gender studies, w końcu studiów doktoranckich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach. Dziennikarka radiowa (Antyradio, RMF Classic, Meloradio) i telewizyjna (TVN). Koneserka przyjemności. Wielbicielka jogi. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.

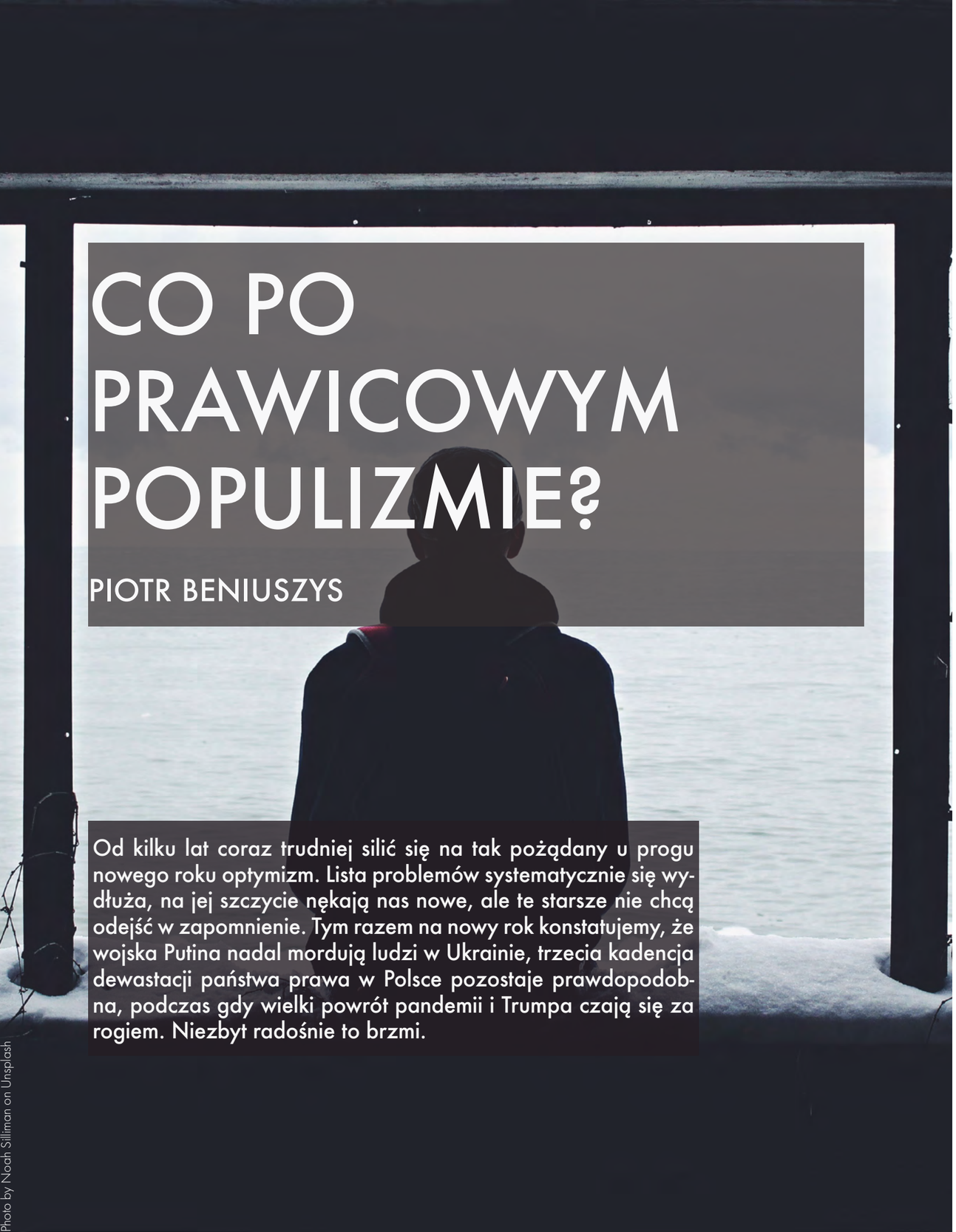

CO PO PRAWICOWYM POPULIZMIE?

PIOTR BENIUSZYS

Od kilku lat coraz trudniej silić się na tak pożądany u progu nowego roku optymizm. Lista problemów systematycznie się wydłuża, na jej szczycie nękają nas nowe, ale te starsze nie chcą odejść w zapomnienie. Tym razem na nowy rok konstatujemy, że wojska Putina nadal mordują ludzi w Ukrainie, trzecia kadencja dewastacji państwa prawa w Polsce pozostaje prawdopodobna, podczas gdy wielki powrót pandemii i Trumpa czają się za rogiem. Niezbyt radośnie to brzmi.

Photo by Noah Silliman on Unsplash

Widoczność nierówności, czyli era prawicowego populizmu

Idee liberalne – takie jak konstytucjonalizm i praworządność, wolność jednostki, słowa i prasy, tolerancja dla inności i otwartość na świat, wolna konkurencja i swoboda przedsiębiorczości – w dalszym ciągu pozostają uwikłane w bój z prawicowym populizmem o przyszłość duszy Zachodu. Rzucenie liberalizmowi realnego wyzwania przez ideologicznego konkurenta nie bezzasadnie obwieszczone zostało jako „kryzys" liberalizmu, który wcześniej przez wiele dekad wiódł prym niepodzielny w kształtowaniu naszego spojrzenia na świat. I podobnie jak na płaszczyźnie bieżących wydarzeń, tak również w świecie idei lista problemów nierozwiązanych domaga się uzupełnienia o problemy przyszłe, może już nie całkiem nowe, ale nabrzmiewające w szybkim tempie.

Jest o wiele za wcześnie, aby pozwalać sobie na optymistyczne założenie zwycięstwa liberalizmu nad prawicowym populizmem. Ten eklektyczny w gruncie rzeczy zestaw idei oparty jest na doskonałym odczytaniu znaków czasu i stanowi udaną próbę odpowiedzenia na realne potrzeby ludzi wyrosłych w kryzysowej, długiej „dekadzie" 2008-22. Potrzeby bezpieczeństwa, równości, zakorzenienia w swojskim/znanym oraz sprawczości (w sensie „odzyskiwania kontroli" i spychania na bok „elit") są napędzane lękiem. Lękiem zaszczepionym dużą dynamiką zmian w świecie globalizacji i nowoczesnych technologii, który następnie umiejętnie uwypuklili, zmanipulowali i zaprzęgli w swoje polityczne machiny prawicowi populiści. Wykorzystując te niezaspokojone psychologiczne potrzeby i lęk przed ich stałą deprywacją, populiści uwydatnili zjawisko „widoczności nierówności", które stanowi kompleksowy motor stany te napędzający. Przez wskazanie zjawiska kulturowej heterogeniczności społeczeństw i rosnących nierówności materialnych jako jednego splotu zjawisk, sformułowali ofertę polityczną, czerpiącą zarówno z ksenofobii (plus z nacjonalizmu, homofobii i klerykalizmu), jak i z socjalizmu, dzięki czemu potrafili odpowiedzieć na wszystkie te lęki równocześnie.

W roku początku wielkiego kryzysu na rynkach finansowych (lato-jesień 2008) lewica ogłosiła koniec „neoliberalizmu" i zapowiedziała wypracowanie nowego paradygmatu. Nie udało się jej. Jeśli jakikolwiek nowy paradygmat rzucił liberałom wyzwanie, to jest nim właśnie prawicowy populizm, wrogo i wybiórczo przejmujący jedynie niektóre hasła lewicy o redukcji nierówności materialnych. To dlatego dzisiaj bój nie toczy się już pomiędzy prawicą a lewicą, a pomiędzy dawną skrajną prawicą a resztą sił politycznych, dzisiaj zbiorczo określanych mianem „mainstreamu" i jednoczących się wokół obrony pozycji liberalnej demokracji. 15 lat po wejściu na szlak nieustannych kryzysów walka trwa. Każda ze stron może jeszcze wygrać – populiści okazali się bowiem mieć także sporo wad i słabych stron.

Co jest jednak pewne – kolejne kulturowe i ideowe wyzwanie dla liberałów już czeka. Nawet

w przypadku pokonania populistów nie wrócą czasy rodem z lat 90-tych. Liberalizm będzie zmuszony na poważnie wejść w spór z antywolnościowym ruchem woke i promowaną przezeń kulturą oraz modelem relacji społecznych. Przez ostatnie kilka lat zjawisko to traktowano jako ciekawostkę, a nawet jako fanaberię młodych ludzi, być może specyficznego pokolenia. Ono jednak nie rozpłynie się w mgle. Zamiast tego przyniesie ze sobą jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla wolności jednostki od czasu wyzwolenia się świata Zachodu od totalitaryzmów.

Woke, podobnie jak prawicowi populiści, „widoczność nierówności" czyni swoją receptą na sukces. Podczas gdy jednak tamci ową widoczność napiętnowują jako zjawisko negatywne i obiecują swoim zwolennikom je tłamsić poprzez wysiłki na rzecz promowania kulturowej homogeniczności (np. „tradycyjnych wartości") i ograniczającą nierówności materialne polityką socjalną, tak woke dąży do afirmacji i wręcz zwiększenia widoczności wszelakich różnic poprzez pozytywne uwypuklanie różnorakich tożsamości. Zamiast zróżnicowanie maskować, lepiej je oswoić tak, aby każdy członek społeczeństwa dostrzegł, że pod tym czy innym względem należy do jakiejś mniejszości i na zasadzie krzyżowania się różnych elementów jego tożsamości stanowi element zbioru ludzi, którzy winni bronić swoich praw poprzez „aktywne przeżywanie" swojego jestestwa w sferze publicznej. Paradoksalnie końcowy cel tego zabiegu społecznego może być podobny: wszechobecność i wręcz obowiązkowe uwypuklanie różnorodności tożsamości wraz z procesem ich multiplikowania może prowadzić do standaryzacji odróżniania się od siebie i upodobnienia jeśli nie w treści, to w formie.

No-platforming, safe spaces i _cancel culture_ to trzy ważne narzędzia z arsenału kultury woke, które uderzają w wolność jednostki

Intensywne przeżywanie tradycyjnych, zaczerpniętych od przodków tożsamości jest ważnym elementem prawicowego światopoglądu. Woke nawołuje do równie intensywnego przeżywania tożsamości, tyle że nietradycyjnych, tych które do niedawna były dyskryminowane. Obie wrażliwości różnią się więc zasadniczo sympatiami i antypatiami wobec poszczególnych, funkcjonujących realnie w społeczeństwie tożsamości. Co je jednak znowu łączy, to potrzeba stosowania ucisku wobec tych, którzy swoim stylem życia, pochodzeniem czy postawami nie pasują do idealnej wizji społeczeństwa. To właśnie w tym punkcie i jedni, i drudzy stają w opozycji do liberalizmu.

Photo by Izzy on Unsplash

Komu nie wolno mówić

No-platforming, safe spaces i *cancel culture* to trzy ważne narzędzia z arsenału kultury woke, które uderzają w wolność jednostki. *No-platforming* dotyczy w pierwszej kolejności kampusów uczelnianych i polega na blokowaniu, bojkotowaniu, w końcu na doprowadzeniu do odwołania lub zakazania wystąpienia konkretnej osoby w pomieszczeniach uniwersytetu. Zapraszanie na spotkania ze studentami lub na „gościnne wykłady" postaci z polityki zwykle było związane z pewnymi kontrowersjami (ze względu na dość płynną granicę pomiędzy uprawianiem propagandy a tworzeniem płaszczyzny do poznania poglądów danego polityka), lecz wyrastający z tego *no-platforming* idzie o wiele dalej, zakładając że pewne poglądy nie mają prawa wybrzmieć, a pewne osoby nie mają prawa zabierać głosu publicznie na uniwersytecie w ogóle. Początkowo wykluczenie to obejmowało głównie ludzi o skrajnych poglądach, którzy ponosili całość winy za znalezienie się w tym położeniu,

gdyż każdorazowo nadużywali wolności słowa (formułując np. poglądy ocierające się o lub stanowiące podżeganie do przemocy i nienawiści na tle np. rasowym), a swoje wystąpienia celowo wykorzystywali do rozsiewania konfliktu, całkowicie pozbawiając je walorów poznawczych.

Jednak wraz z pojawieniem się koncepcji woke, *no-platforming* zaczął zataczać coraz to szersze kręgi, aż po forsowanie zakazów występowania wobec osób, których poglądy budziły kontrowersje lub były sprzeczne z ideami tożsamościowymi ruchu woke. Zakazami okładano więc filozofów

Safe space miały być pomieszczeniami, w których osoby realnie czy w subiektywnym odczuciu dyskryminowane, nękane, agresywnie krytykowane, poddawane drwinom, mowie nienawiści czy po prostu zakrzykiwane w nazbyt emocjonalnych dyskusjach mogły zyskać wytchnienie i mieć pewność bycia otoczonym wyłącznie przez ludzi empatycznych, troskliwych, podzielających ich poglądy lub mających taką samą tożsamość etniczną, religijną, aksjologiczną, seksualną czy płciową

o konserwatywnych poglądach czy naukowców badających zjawiska przez woke wyklęte. Powstał katalog osób, które ze względu na konkretne poglądy lub ogólny światopogląd miały zostać wykluczone z debaty na uniwersytetach. Obok rasistów, faszystów czy homofobów poza nawias trafiali m.in. obrońcy polityki Izraela w konflikcie z Palestyńczykami, zwolennicy wolnorynkowego liberalizmu gospodarczego, zwolennicy rzekomo „przestarzałej" koncepcji walki z rasizmem poprzez neutralność instytucji wobec koloru skóry, osoby kwestionujące skalę kryzysu klimatycznego czy feministki niezgadzające się z całkowitym odejściem od biologicznego aspektu klasyfikacji płci, zwane odtąd „terfkami". Najgłośniejszy dotąd przykład *no-platforming*u w Polsce miał miejsce w Krakowie wobec kryminolożki Magdaleny Grzyb właśnie z tego ostatniego powodu. Co dość charakterystyczne dla wielu nowszych przykładów stosowania no-plaformingu, Grzyb miała zostać wykluczona z wygłoszenia wykładu, choć temat jej wystąpienia nie miał nic wspólnego z problematyką płci kulturowej i biologicznej czy z prawami osób niebinarnych. Miała zostać pozbawiona prawa głosu całkowicie i na każdy możliwy temat z powodu jej poglądów na te kwestie. Ten ostatni aspekt jasno ujawnia pokrewieństwo *no-platformingu* z szerszym problemem *cancel culture*, gdyż wyklucza osobę, a nie poglądy, a więc skazuje na swoistą „banicję" całego człowieka, obojętnie od okoliczności. Także i ja więc mógłbym zostać dziś z łatwością obłożony *no-platformingiem* na zdominowanej przez woke uczelni i nie móc wystąpić z referatem np. o znaczeniu państwa prawa, ponieważ nietrudno ustalić, że reprezentuję jaskrawo wolnorynkowe poglądy gospodarcze, a tacy mówcy należą do cenzurowanych kategorii.

Argumentem wysuwanym przez aktywistki, aktywistów oraz osoby aktywistyczne z ruchu woke na poparcie postulatu *no-platformingu* wobec danego mówcy jest bezpieczeństwo i komfort psychiczny. Twierdzą oni bowiem, że już sam fakt oddania głosu osobie znanej z posiadania budzących ich niechęć i niepokój poglądów, niesie ze sobą dla nich poczucie zagrożenia. Na bazie tak skonstruowanego toku myślenia ruch woke promuje także tworzenie tzw. *safe spaces*, czyli przestrzeni „bezpiecznych".

Gdzie nie wolno mówić

Podobnie jak w przypadku *no-platformingu*, u zarania tego pomysłu istniały racjonalne przesłanki, nim nastąpiła jego degeneracja poprzez ekspansywność. Otóż *safe space* na kampusie czy w szkole (ale w tym przypadku nie tylko, bo także w wielu innych miejscach można uzasadnić potrzebę takich miejsc) miały być pomieszczeniami, w których osoby realnie czy w subiektywnym odczuciu (to tutaj istotnie irrelewantne) dyskryminowane, nękane, agresywnie krytykowane, poddawane drwinom, mowie nienawiści czy po prostu zakrzykiwane w nazbyt emocjonalnych dyskusjach przez interlokutorów o innych światopoglądach mogły zyskać wytchnienie i mieć pewność bycia otoczonym wyłącznie przez ludzi empatycznych, troskliwych, podzielających ich poglądy lub – owszem – mających taką samą tożsamość etniczną, religijną, aksjologiczną, seksualną czy płciową. Byłoby to więc miejsce nieprzeznaczone do toczenia debat i sporów, a do udzielania wsparcia emocjonalnego. Rzeczywiście w takim miejscu wolność słowa nie jest najważniejsza i istnienie takich miejsc nie stanowi dla tej wolności też i żadnego zagrożenia. Problem z *safe spaces* jest od kilku lat jednak taki, że aktywiści woke oczekują ich radykalnego rozrastania się. W praktyce niejednego, już nie tylko anglosaskiego kampusu, cały taki kampus miałby stać się *safe spacem*. W efekcie wolność słowa i debaty zostałyby tam wykluczona całkowicie, gdyż katalog dopuszczalnych poglądów, które mogą być sformułowane, zostałby zawężony do treści niebudzących „niepokoju" aktywistów woke, a więc zapewne do głoszenia tez zgodnych z ich światopoglądem.

W idealnym, wyobrażonym stadium końcowym *safe space* powinien objąć nie tylko w całości

kampusy, ale całą debatę publiczną i całą przestrzeń w państwie (ilustracją tego jest woke'owski postulat zakazu publikowania artykułów zawierających krytykę osób trans, gdyż mogłyby one zostać przez takie osoby przeczytane i poprowadzić je ku targnięciu się na własne życie). To idea totalnej cenzury opartej o argumenty empatyczne – chyba pierwsza taka w dziejach. Woke stawia komfort niesłyszenia i wolności od niepokoju wyżej niż prawo do mówienia i intelektualny wysiłek. To przeniesienie do tzw. reala, do każdej sfery życia, ukształtowanej na razie tylko w wirtualnym świecie mediów społecznościowych logiki tworzenia baniek internetowych i komór pogłosowych, w których nie słyszymy i nie stykamy się z ludźmi o innych poglądach. To z jednej strony zakaz głoszenia kontrowersyjnych poglądów, opiłowanie idei wolności słowa z prawa do formułowania tez niepokojących, prowokujących, szokujących, a nawet także obraźliwych (tak – zadaniem liberalizmu jest to prawo bronić!), a z drugiej strony prosta droga do uwiądu całej debaty publicznej, a w efekcie do śmierci demokracji, która żyje tylko dzięki istnieniu obywatelskiego dyskursu, dzięki ucieraniu się stanowisk. Woke należy odrzucić z tego fundamentalnego powodu, iż uważa on dyskomfort w relacjach społecznych za coś niedobrego. Tymczasem dyskomfort jest może i nieprzyjemny, ale równocześnie dobry i potrzebny – jest konstruktywny, pobudzający, wspierający kreatywność i rozwój intelektualny. Dyskomfort należy generować, a nie go unikać. To dlatego *safe spaces* muszą pozostać niedużą niszą.

Już nic nie wolno

Cancel culture w końcu jest *no-platformingiem* podniesionym do entej potęgi i drogą ku realizacji idei totalnego *safe space'u*. To pojęcie już dość dobrze znane – oznacza wykluczenie z życia publicznego, towarzyskiego, zawodowego czy tego prowadzonego online w mediach społecznościowych danej osoby za najdrobniejsze nawet przewinienie z punktu widzenia nakazów i zakazów formułowanych przez ruch woke.

I po raz kolejny, także i *cancel culture* ma całkiem racjonalną genezę. Wiąże się ona z ruchem #MeToo, dzięki któremu wielu przestępców

Cancel culture to pojęcie już dość dobrze znane – oznacza wykluczenie z życia publicznego, towarzyskiego, zawodowego czy tego prowadzonego online w mediach społecznościowych danej osoby za najdrobniejsze nawet przewinienie

Photo by Izzy on Unsplash

seksualnych po latach bezkarności zostało zdemaskowanych i obłożonych infamią całkowitą, możliwą do realizacji w tej formie tylko w epoce nowoczesnych technologii informatycznych. Tym różni się *cancel culture* od jej poprzedniczki, czyli bojkotu towarzyskiego, że wieść o zbrodniach i przewinach delikwentów błyskawicznie dociera do wszystkich, a bojkot obejmuje rezygnację z ich zatrudniania, współpracy z nimi, pokazywania się razem publicznie czy nawet wchodzenia w interakcje online. To „scancellowanie", czyli utrata wszystkich perspektyw, wszędzie, łącznie z przekreśleniem przeszłego dorobku życiowego.

Bojkot obejmuje rezygnację z ich zatrudniania, współpracy z nimi, pokazywania się razem publicznie czy nawet wchodzenia w interakcje online. To „scancellowanie", czyli utrata wszystkich perspektyw, wszędzie, łącznie z przekreśleniem przeszłego dorobku życiowego

Bez wątpienia w najwcześniejszej fazie ostrze *cancel culture* dosięgało autentycznie świnie, którym trudno w jakikolwiek sposób współczuć. W dodatku ludzi z tzw. świecznika, posiadających niemały majątek, którzy (o ile nie szli także do więzienia) mogli uznać „scancellowanie" za przyspieszoną i wymuszoną, ale bardzo wygodną emeryturę z dala od oka opinii publicznej. Wkrótce jednak zaczęły się przewidywalne problemy. „Cancellowano" osoby pomówione fałszywie. „Cancellowano" z coraz bardziej błahych powodów. „Cancellowano" z coraz bardziej odległych w czasie i błahych powodów. Taka sama kara, jaka spotykała wielokrotnego gwałciciela lub skłonnego stosować przemoc rasistę, zaczynała dotykać faceta, który 20 lat wcześniej publicznie skomplementował czyjś dekolt, albo 10 lat wcześniej napisał tweeta używającego rasistowskiej kalki. Słowem zrobił coś, za co wystarczą zwyczajne przeprosiny. Dalej, „cancellowano" naukowców rzekomo naruszających zasady *safe space* na wykładach, publicystów i komików za ich teksty sprzed przemiany wrażliwości społecznej, redaktorów za opublikowanie tekstów wcześniej „scancellowanych" osób. W końcu poczęto naturalnie „cancellować" każdego, kto innego „scancellowanego" brał jakoś tam w obronę. To ostatnie było o tyle trudne, że lista „scancellowanych" rosła codziennie i trudno było za tym nadążyć, niczym za przypadkami korupcji wśród polityków PiS. Dodatkowo upadł „konsensus cancellowania", czyli nawet w ramach wspólnoty ludzi sympatyzujących z woke pojawiły się konflikty o to, kto zasługuje i kto już jest, nadal jest, albo już nie jest „scancellowany".

Cancel culture przez zwolenników lewicy jest często bagatelizowana. Podobno to igły, z których liberałowie i prawica robią widły. Jednak *cancel culture* szybko dotarła na poziom lokalny i zaczęła uderzać w zwykłych ludzi. Kogoś napiętnowano jako wyrodną matkę za pozostawienie dziecka w samochodzie pod sklepem na kwadrans, kogoś za zbyt odważne zdjęcie na Instagramie, kogoś innego za posłużenie się kontrowersyjnym słowem w rozmowie w kawiarni. Powstało wrażenie, że *cancel culture* przenosi nas w świat Orwella, tylko z rozproszonym Wielkim Bratem, którym może być człowiek na krześle obok. Towarzyszący temu zjawisku w oczywisty sposób efekt mrożący i autocenzura, początkowo obecne w redakcjach prasowych, studiach filmowych i programach rozrywkowych, dotarły pomiędzy ludzi i stopniowo erodują coś, co można po prostu nazwać „naturalnym zachowaniem". To wcale nie jest oczywiste, że świat ludzi nieustannie się skrupulatnie samokontrolujących i zestresowanych potencjalnie dewastującą reakcją otoczenia jest lepszy od świata, w którym od czasu do czasu ktoś chlapnie durną rasistowską czy mizoginistyczną uwagę.

Cancel culture ma też wersję *light*. Nie polega na eliminacji danej osoby poza obręb życia społecznego, ale na jej dyskredytowaniu. W Polsce szeroko rozpowszechnione wyrazy pogardy wobec dinozaurów słusznie rozdeptywanych przez pochód postępu – określenia takie jak „boomer", „dziaders" czy „paleo-liberał" – są właśnie przejawami *cancel culture light*. Z drugiej zaś strony są ci, którzy szermują „cancellowaniem" i niejednokrotnie krzywdzą interlokutorów podważając ich prawo do głosu, ale sami się stylizują na ofiary. Ubieranie się w szaty skrzywdzonych ofiar jest bowiem dla ruchu woke charakterystyczne. Niektórym kategoriom ludzi uprawnienie do bycia ofiarą jest przypisywane automatycznie, niezależnie od tego, czy dany jej reprezentant rzeczywiście doznał jakichkolwiek krzywd osobiście. Prowadzi to do istnej inflacji wyimaginowanych krzywd, która utrudnia walkę z realnymi problemami społecznymi. Te bowiem giną w tym natłoku.

Twoja kolej na bycie dyskryminowanym

Woke zrodził się z poczucia krzywdy, ale krzywdy realnej. Wiele dziesięcioleci bezdyskusyjnie prawdziwej i horrendalnej dyskryminacji kobiet, mniejszości rasowych i etnicznych, osób LGBT+, mniejszości religijnych, osób niepełnosprawnych czy ludzi w jakikolwiek inny sposób „niedopasowanych" doprowadziło do społecznego wrzenia, którego znakiem i ogniwem jest ta koncepcja radykalnej przebudowy relacji społecznych. Walka z wymienionymi powyżej i zapewne jeszcze i innymi dyskryminacjami powinna być celem wspólnym lewicy spod znaku woke oraz liberałów i lewicy klasycznej, socjaldemokratycznej. Jeśli tak jednak nie jest, to powód jest ten sam, który już nieraz w przeszłości generował rozchodzenie się dróg liberalnych reformistów i lewicowych rewolucjonistów.

Chodzi o dobór metod i tempo zmian. Liberalna droga – niestety – zapewnia mniejsze tempo. Ale tylko ona, dążąc do sprawiedliwości, unika stosowania niesprawiedliwych metod. W tym przypadku nie wylewa dziecka wolności słowa z kąpielą mowy nienawiści, rasizmu i homofobii.

Liberałowie jako panaceum na dyskryminację proponują dążenie do stanu braku dyskryminacji – najpierw formalnej (zapewnianej przez same instytucje publiczne), a potem, mozolnie i z czasem, realnej (dzięki wyprowadzeniu zachowań dyskryminacyjnych poza obręb kultury narodowej). Woke panaceum widzi w kontrdyskryminacji, której narzędziami są *no-platforming*, *cancel culture* i *safe spaces*. Otóż, skoro przez ponad sto lat większość dyskryminowała mniejszości, to sprawiedliwość wymaga, aby teraz mniejszości dyskryminowały większość. Niech wahadło wychyli się w drugą stronę. Niechaj więc przez pewien czas (albo i na zawsze, kto wie?) dyskryminowani będą biali, mężczyźni, heteroseksualiści, chrześcijanie/katolicy, tradycjonaliści, „neoliberałowie". To dlatego w USA nie dziwi film lub serial, w którym wszyscy główni bohaterowie są nie-biali, ale nie do pomyślenia byłaby już produkcja z samymi białymi postaciami. To dlatego dużo mniejszym ryzykiem jest obsadzić postać homoseksualną w roli bohatera pozytywnego niż szwarc-charaktera opowieści. To dlatego nie powinny odbywać się już nigdy panele dyskusyjne z udziałem samych mężczyzn, ale żadnych kontrowersji nie budzą panele dyskusyjne z udziałem samych kobiet. Mniej jest ważne, co się mówi w debacie publicznej. Ważniejsze jest, kto mówi. Osoba mówcy stała się ważniejszym komunikatem od treści wypowiedzi. Nie formułuje się już tez lub argumentów. Formułuje się tezy i argumenty jako czarnoskóra ateistyczna lesbijka lub jako biały protestancki ojciec rodziny. Pierwsze zostaną inaczej odebrane i ocenione przez publiczność aniżeli drugie, nawet jeśli będą dokładnie takimi samymi tezami i argumentami. Co więcej, istnieje cały szereg rzeczy, które wolno mówić przedstawicielom jednych tożsamości, ale już są zakazane w ustach przedstawicieli innych tożsamości. W np. show-biznesie gradacja jest jasna: biały komik może powiedzieć mniej niż czarnoskóry; czarnoskóry komik hetero mniej niż czarnoskóry gej; czarnoskóry gej mniej niż czarnoskóra lesbijka; a czarnoskóra lesbijska mniej niż czarnoskóra osoba niebinarna. Chrześcijanin może powiedzieć mniej niż ateista; ale ateista może powiedzieć mniej niż muzułmanin. Osoba wysportowana może powiedzieć mniej niż otyła. (...)

Powstało wrażenie, że *cancel culture* przenosi nas w świat Orwella, tylko z rozproszonym Wielkim Bratem, którym może być człowiek na krześle obok

***

U podłoża obecnych sukcesów prawicowego populizmu leżało porzucenie przez jego propagatorów części prawicowej tożsamości ideowej (akurat tej, którą prawica wcześniej dzieliła z liberałami, czyli wolnorynkowego podejścia do kwestii ekonomicznych) i sięgnięcie do arsenału socjalnej lewicy. Jednym ze scenariuszy dalszych bojów ideowych w świecie Zachodu jest – owszem – klęska prawicowego populizmu i wejście lewicy spod znaku woke w rolę głównego adwersarza liberałów. Jednak nie można wykluczyć, że i to pokolenie lewicy czeka podobny zawód, jaki stał się 15 lat temu udziałem lewicy obiecującej nowy paradygmat na zgliszczach banku Lehman Brothers. Otóż prawdziwie groźnie zrobi się, jak populistyczna prawica, aby zapobiec swojemu upadkowi, znów postanowi buszować w arsenale lewicy, ale w arsenale woke-lewicy. Bo – bądźmy szczerzy – *no-platforming*, *cancel culture* i *safe spaces* (wykluczające – dla odmiany – z debaty ludzi o nieprawicowych poglądach) to narzędzia, które do zbrojnych ramion prawicowców pasowałyby jak ulał. I ta konstatacja ostatecznie przesądza o pokrewieństwie dwóch najmocniejszych dzisiaj wrogów wolności po obu stronach polityczno-ideowego spektrum.x ●

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!", pisał także na łamach „Gazety Wyborczej", tygodnika „Polityka", „Dziennika Gazety Prawnej" oraz dla Instytutu Obywatelskiego.

Photo by MChe Lee on Unsplash

ŻYĆ W SPOSÓB WOLNY I ODPOWIEDZIALNY

Z PRZEMYSŁAWEM STARONIEM ROZMAWIA SŁAWOMIR DRELICH

Sławomir Drelich: Liberté! to pismo, które w centrum stawia hasło wolności. Przyglądam się twojej karierze zawodowej, odkąd zdobyłeś tytuł Nauczyciela Roku, i wydaje mi się cała ta kariera – w szczególności mam na myśli działalność nauczycielską – podporządkowana była i nadal jest promocji wolności. Postawiłeś sobie za cel uczyć wolności młodych ludzi, a teraz z tym przesłaniem trafiasz także do innych grup społecznych. Czy dobrze to widzę?

Przemysław Staroń: Jedną z podstawowych zasad, na których opieram swoją działalność, jest zasada *in dubio pro libertate* – „w razie wątpliwości – na korzyść wolności". Druga to myśl Alexisa de Tocqueville'a, podkreślająca, że moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się Twoja. Od lat to realizuję i w gruncie rzeczy każda moja aktywność jest *de facto* wprowadzaniem w życie tych zasad. Chodzi mi nie tylko o wykorzystywanie mojej własnej wolności, ale też o promowanie wolności jako wartości i zachęcanie ludzi do tego, by z własnej wolności korzystali. Oczywiście w każdym z jej wymiarów. Mam na myśli zarówno wolność negatywną – „wolność od" – czyli radzenie sobie z tym wszystkim, co nas w jakiś sposób ogranicza, jak i wolność pozytywną – „wolność do" – czyli całokształt narzędzi, które pozwalają nam rozwijać swój potencjał i realizować ideał samorządzenia.

I to serio dotyczyć może różnych aspektów działalności. Bo przykładowo mogę być postrzegany jako działacz społeczny, w tym aktywista LGBT+, który sprzeciwia się próbom ciemiężenia – czyli uskuteczniam wolność negatywną – oraz bierze sprawy w swoje ręce, bo na tym właśnie polega wolność pozytywna. Tak jak Szymon Hołownia, który w pewnym momencie stwierdził dokładnie to samo: dość, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce

Nierozumienie różnicy między tymi formami wolności oraz niewidzenie wielości możliwości zmiany często jest źródłem konfliktów. Pewnie pamiętasz, jak po poparciu decyzji Szymona o kandydowaniu na prezydenta niektórzy robili mi jakieś straszne burdy trzy lata temu. Co ciekawe, wielu z tych ludzi to osoby walczące o wolność. I właśnie te osoby próbowały za pomocą różnych mechanizmów manipulacyjnych i form hejtu wymusić na mnie, żebym ja nie walczył o wolność „od" i nie korzystał ze swojej wolności „do" w sposób, który uznałem za najsłuszniejszy i najskuteczniejszy.

Jeśli zaś chodzi o Liberté!, to jest to w ogóle zabawna sprawa, bo kiedy napisałem swój pierwszy oficjalny post uzasadniający wejście we współpracę z Szymonem, Leszek Jażdżewski udostępnił go właśnie za pośrednictwem kanałów Liberté!. To był jakby tekst założycielski mojego przystąpienia do drużyny Szymona. I znalazł się on właśnie na Liberté!. Co za symbol!

Rzeczywiście bardzo interesująca historia. Powiedz jednak, Przemku, czy dziś obawiasz się o swoją wolność? Czy masz przekonanie, że nasza wolność jest dziś realnie zagrożona? Czy mówienie o tym nie jest aby publicystyczną przesadą i zbiorowym hiperbolizowaniem?

Wiesz co, to znowu zależy od tego, o jakiej my wolności mówimy. Jeżeli chodzi o wolność w rozumieniu negatywnym, wolność od tych wszystkich kajdan i różnych form ciemiężenia, to trzeba przyznać, że tak, wolność jest zagrożona. Są nawet obiektywne wskaźniki, które tę diagnozę potwierdzają, jak np. ranking ILGA-Europe mierzący poziom równouprawnienia osób LGBT+ w Europie. Pokazują one dobitnie, jak pewne sfery naszych swobód są negowane, ograniczane i wręcz niszczone. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te działania wokół tzw. Lex Czarnek, także i przede wszystkim cios wymierzony np. w Szkołę w Chmurze (niestety, jak wiemy dzięki Alinie Czyżewskiej, cios nabudowany na tzw. Lex Kaznowska), zobaczysz bardzo konkretny dowód na to, jak próbuje się ograniczyć wolność negatywną, jak próbuje się bardziej nas kontrolować, a mniej zostawiać przestrzeni na własne, autonomiczne wybory i tworzenie świata, w którym przyszło nam żyć – a to z kolei jest ograniczaniem również naszej wolności pozytywnej. Paradoksalnie jednak w czasach tych wszystkich prób ograniczania naszej wolności negatywnej, niemal każdy(-a) z nas – osób ceniących sobie wolność – dostaje impuls do walki o wolność negatywną i do realizowania wolności pozytywnej. Patrząc na to na psychologicznym poziomie, „dzięki" próbom ograniczania naszej wolności negatywnej rodzi się aktywizm i działanie. Mówiąc krótko, pod wpływem tego całego zła, które dostajemy z politycznej góry, coraz bardziej uświadamiamy sobie tę przestrzeń wolności, poprzez którą możemy mieć wpływ na siebie i na świat. Podstawą tej wolności jest to, czego nauczali stoicy, a co Sartre nazwał wolnością kartezjańską: wolność moich myśli, wolność moich przekonań, a – co się z tym wiąże w takim egzystencjalnym rozumieniu – również wolność do podejmowania wyborów, do reagowania na to, co przynosi świat. Paradoksalnie żyjemy w czasach, kiedy ta wolność uzyskuje szczególną okazję, żeby na nowo się narodzić. Etycznie wścieka mnie to, że powodem są takie czynniki polityczne, z jakimi się obecnie borykamy, ale nie zmienia to faktu, że w tych właśnie realiach, kiedy tak bardzo ogranicza się naszą wolność „od" oraz próbuje się cały czas stosować różne

Żyjemy w czasach, kiedy ta wolność uzyskuje szczególną okazję, żeby na nowo się narodzić

formy presji i kontroli, a jednocześnie próbuje się dusić w zarodku wolność „do", wiele osób uzyskuje doskonałą trampolinę do uświadomienia sobie, jak wiele od nich zależy, począwszy od wolności w zakresie prawa reakcji na to wszystko, co nas spotyka.

Zaraz się okaże, że paradoksalnie zło niesie dobro...

To jedna z największych tajemnic życia, która zawsze rozpalała Zakon Feniksa (założony przeze mnie międzypokoleniowy olimpijski fakultet filozoficzny), i której złożoność pokazałem w drugim tomie mojej książki, *Szkoła bohaterek i bohaterów*, w tomie noszącym *nomen omen* podtytuł „Jak radzić sobie ze złem". Pragmatycznie rzecz ujmując: zło wymusza na nas reakcję. Tutaj bezpośrednio przechodzimy do tego, co wskazuje chociażby Frankl, który przeżył obóz koncentracyjny. Zrozumiał on, że nawet w sytuacji pozornie beznadziejnej człowiek ma wolność wyboru reakcji na to, co go spotyka. Dla mnie sednem są słowa *Modlitwy o pogodę ducha*: „Boże, użycz

mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić; odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić; i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego". Tak ten tekst brzmi w oryginalnym tłumaczeniu, ja często przeformułowuję go tak, żeby jego esencja trafiała do każdej osoby niezależnie od jej wyznania.

Podkreślam zawsze z całą mocą, że ta płytka narracja wszystkich przeciwników Prawa i Sprawiedliwości, którzy cały czas przekonują nas, jak jest strasznie źle w naszym społeczeństwie, jest prawdą, ale jest tylko i aż częścią prawdy. Potępiam z całą mocą to, co ta władza wyczynia. Etycznie i prawnie jest to zło w niewyobrażalnej postaci. Ale ono żyje. Natomiast dużo ważniejsze jest to, że żyjemy my. A skoro już żyjemy, może nie ma sensu karmić wilka bezradności i nieskutecznych metod działania, tylko nieustannie karmić wilka realnego sprawstwa. Zastanówmy się, jak możemy wykorzystać swoją wolność właśnie w tych czasach (a gdy komuś brakuje inspiracji, polecam chociażby zapoznać się z tym, co zrobiła i robi Wolna Szkoła, której jestem aktywistą). Ostatnio kupiłem w Książce dla Ciebie, mojej ukochanej księgarni w Krzywym Domku w Sopocie, świetną książkę *Rok z filozofami*. Autorki i autorzy wybrali na każdy dzień roku jakiś cytat myśliciela(-ki). Pomyślałem, że zacznę czytać tę książkę od cytatu, który jest przedstawiony przy dacie zakupu tej książki, czyli 18 listopada. I co znalazłem? Słowa Gabriela Marcela z *Homo viator. Wstęp do metafizyki nadziei*. Mogę je zacytować?

Pewnie!

„Czujesz, że ci ciasno. Marzysz o ucieczce. Wystrzegaj się jednak miraży. Nie biegnij, by uciec, nie uciekaj od siebie; raczej drąż to ciasne miejsce, które zostało ci dane: znajdziesz tu Boga i wszystko... Jeśli uciekasz od siebie, twoje więzienie biec będzie z tobą i na wietrze towarzyszącym twojemu biegowi będzie się stawało coraz ciaśniejsze. Jeśli zagłębisz się w sobie, rozszerzy się ono w raj".

Świetna puenta. W tym kontekście pytanie trochę bardziej osobiste.

Już się boję... *(śmiech)*

Nie, nie, nie! Bez obaw! Powiedz mi, czy kwestia związana z wolnością i jej nowe zagrożenia, które się w ostatnich latach objawiają, czy to miało wpływ na twoją pracę w szkole, a później na decyzję o odejściu ze szkoły? Bo przecież twoja skłonność do obrony wolności powinna skłaniać cię do tego, żeby właśnie w szkole właściwie i namacalnie ją zakorzeniać i budować. Ty to robiłeś przecież. Czy coś cię rozczarowało czy po prostu uznałeś, że to złe czasy na pracę w edukacji?

Poruszasz temat, który jest niezwykle istotny.

Oczywiście! Dlatego właśnie muszę go poruszyć.

Ujmę to tak: od momentu, kiedy zacząłem być świadomym wartości wolności, a to się w dużej mierze wiązało z odchodzeniem od – tak bardzo ograniczającego i zarazem manipulacyjnego – wpływu Kościoła katolickiego, kiedy to umocniłem swoje wewnętrzne poczucie samostanowienia jako osoba LGBT+, od tego właśnie momentu krok po kroku coraz bardziej zacząłem doceniać wartość wolności. We wszystkich swoich działaniach, kiedy nawet nie myślałem zbytnio o tym, że właśnie wcielam w życie swoją wolność, cały czas jednak ją realizowałem. Tą wolnością zacząłem tak realnie żyć, że ona po prostu ze mnie wypływa i ten proces jest już nie do zatrzymania.

Czułem, że im bardziej realizuję swoją wolność, tym bardziej czuję odpowiedzialność za to, co robię

Taki wulkan wolności?

Powiem szczerze: wtedy nie potrafiłem tego nazwać, ale teraz już potrafię. Co ciekawe – intuicyjnie czułem, że wolność jest jakby jedną stroną medalu. Drugą stroną jest odpowiedzialność. Potem przeczytałem u Frankla, że na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych stoi Statua Wolności i właśnie dlatego na zachodnim wybrzeżu stać powinna Statua Odpowiedzialności. Czułem, że im bardziej realizuję swoją wolność, tym bardziej czuję odpowiedzialność za to, co robię. Tak naprawdę to hasło, które mi przyświecało, *in dubio pro libertate*, bardzo mocno tę postawę umacniało. Potem jeszcze bardziej chciałem żyć tym hasłem, mając też przecież świadomość, że granicą wolności jest wolność innego człowieka, ba, innego żywego istnienia. Ja po prostu zacząłem tym żyć, nawet jeszcze nie umiejąc tego nazwać. Siłą rzeczy, pracując w szkole, starałem się zarówno samemu żyć w sposób wolny i odpowiedzialny, jak i zachęcać do tego każdą osobę. Przede wszystkim moich uczniów i moje uczennice. Wspólnie poszukiwaliśmy możliwości realizacji swojej wolności, ale jednocześnie zwracaliśmy uwagę na każdy możliwy obszar odpowiedzialności. U mnie wszystko świetnie grało do momentu, kiedy zostałem Nauczycielem Roku.

A to nie powinno sprawić, że będzie jeszcze lepiej?

Kiedy zostałem Nauczycielem Roku, wtedy ewidentnie zaczęły się problemy. Coraz bardziej od tego momentu zacząłem doświadczać, że jestem w mojej szkole *persona non grata*. Krok po

Photo by Anton Sukhinov on Unsplash

kroku, stopniowo. Działalność publiczna, w tym walka o równość, a potem zostanie doradcą Szymona Hołowni, coraz bardziej to wzmagały. Równolegle widziałem, że niektórzy w szkole mogą robić to, co w moim przypadku powodowało wręcz hejt na mnie. Te osoby zaczęły być wzmacniane, a ja – deprecjonowany. To, co jest kluczowe, to fakt, że coraz bardziej możliwość realizowania przeze mnie wolności i odpowiedzialności, także wraz z młodymi ludźmi, dla nich i w ich imieniu, po prostu zaczynała się zawężać. A ja zacząłem na różne sposoby, coraz bardziej, także niezwykle namacalnie, mieć okazywane, że jestem *persona non grata*.

Czyli tak naprawdę to, co powinno otwierać ci szereg nowych możliwości,- na dobrą sprawę doprowadziło do ograniczenia nawet tych możliwości, które dotychczas miałeś? Wybacz, że powiem wprost, ale to przecież paradoks, w który trudno uwierzyć. Wydawałoby się, że mieć w szkole Nauczyciela Roku to dla każdej szkoły zaszczyt i honor.

Tak, masz rację. I dlatego tak wiele osób, kiedy o tym opowiadam, nie może również we wszystko to uwierzyć. Mówią: „No właśnie, dla dyrektora to jest super sprawa". Rzeczywiście w – z braku lepszego słowa – normalnym świecie tak by to wyglądało. Gdy natomiast sięgniemy do aparatu pojęciowego psychologii, zwłaszcza do koncepcji potrzeb, to wówczas stanie się jasne, dlaczego coś takiego się zadziało i dlaczego ja jestem jednym z wielu (bardzo wielu) takich „wow" nauczycieli, czy to nagradzanych, czy też nienagradzanych, ale takich... no wiesz... wybijających się, którzy w pewnym momencie z potężnymi sukcesami odchodzą ze szkoły. Cała historia z Nauczycielem Roku 2021, Darkiem Martynowiczem – który wraz z nami współtworzył program naprawy edukacji „Edukacja dla przyszłości", powstały dzięki Instytutowi Strategie 2050, będącego częścią Polski 2050 – i z wieloma, wieloma innymi nauczyciel(k)ami jest przecież taka sama. Nie wiem szczerze mówiąc, na ile już jestem gotów o tym mówić, nie wiem, na ile różne osoby, które odeszły ze szkół, są w stanie o tym mówić, ale jedno jest pewne. O takich osobach i takich odejściach ze szkół słyszę nieustannie.

Wracając do kwestii potrzeb: przywołajmy ich hierarchię przedstawioną przez Maslowa. Niezależnie od różnych interpretacji i ocen tego ujęcia, cała podstawowa konstrukcja tego pomysłu jest bardzo sensowna. Chodzi o to, że jeżeli żyjemy w „normalnych" realiach, jeśli mamy zaspokojone wszystkie te fundamentalne potrzeby: fizjologiczne, bezpieczeństwa, afiliacji, akceptacji, miłości, to tak naprawdę możemy dopiero w takich warunkach spokojnie realizować potrzebę szacunku, samorealizacji i tak dalej. Mówiąc krótko, w takich normalnych okolicznościach mamy na przykład dyrektora szkoły, który w gronie pedagogicznym ma Nauczyciela Roku i dla niego to jest petarda. On myśli sobie: „Kurczę, w mojej szkole stworzyłem tak świetne warunki, że mój nauczyciel mógł coś takiego zdobyć. Wow!". Natomiast my niestety w naszym kraju od dawna, a zwłaszcza od kilku lat, żyjemy w warunkach, w których z samej góry, czyli z obszaru najpotężniejszego wpływu, płyną takie komunikaty i działania, które namacalnie uderzają w jedną z fundamentalnych potrzeb, czyli właśnie w potrzebę bezpieczeństwa.

Masz na myśli, że zagrożenie dla tej potrzeby bezpieczeństwa odczuwają tak samo szeregowi nauczyciele, jak i kadra zarządzająca szkołami?

Dokładnie tak. Bo przecież jeżeli mamy do czynienia z takimi realiami, kiedy sam dyrektor szkoły ma zagrożone poczucie bezpieczeństwa (a obecnie dyrektorzy szkół mają zagrożone to poczucie nieustannie), to w tym momencie – na

takim najprostszym poziomie – kluczowym będzie dla niego zaspokojenie właśnie tej potrzeby. Ta potrzeba będzie dominować jego organizm. Dla niego zaspokajanie tych wszystkich potrzeb wyższego rzędu, czyli na przykład potrzeby samorealizacji, staje się mniej czy bardziej, ale jednak drugorzędne. Zaznaczam jednak, że tak to wygląda w ogólnym zarysie, bo przecież to właśnie Frankl zauważył, że w gruncie rzeczy ta hierarchia potrzeb niewystarczająco uwzględnia sytuacje, kiedy człowiek swoje poczucie bezpieczeństwa ma zagrożone, ale jednak może się pomimo tego samorealizować. Ba, znamy przypadki, że człowiek samorealizuje się, choć ma problemy z zaspokojeniem swoich potrzeb biologicznych. Tylko że mam wrażenie, że to, co mówił Frankl, bardzo dobrze pokazuje, że jednak zagadnienie to zawsze wymaga indywidualnego podejścia, że to raczej jednostki są zdolne do tworzenia pięknego-życia-pomimo-wszystko, że to nie jest ogólna tendencja. Przeciętny człowiek – w sytuacji, kiedy ma zagrożone poczucie bezpieczeństwa – raczej nie będzie realizował tych wyższych potrzeb. Odnoszę wrażenie, że kiedy w obecnych realiach stwarzanych przez władzę tacy Nauczyciele Roku czy też jacyś inni turbonauczyciele(-ki) odchodzą ze szkół, to wielu dyrektorów z ulgą tych nauczycieli ze szkół wypuszcza. Mam wrażenie, że wielu dyrektorów jest wręcz wdzięcznych, że ci turbonauczyciele odeszli.

Trudno w to uwierzyć.

Tak, natomiast wejście pod taflę potocznych obserwacji z latarką psychologii pomaga to zrozumieć. Widzisz, w dużej mierze to wszystko wynika z tego, że ta władza stworzyła taki poziom lęku, który sprawia, że dla dyrektora szkoły kluczowe jest jednak po prostu zaspokojenie potrzeby bezpieczeństwa. Oni(-e) często nie mają już siły, żeby myśleć o tym, co jest trochę wyżej.

I tu jest sedno porządku etycznego. Każdy dokonuje własnych wyborów

Ale czy ty ich czasem nie usprawiedliwiasz?

Właśnie nie! To jest temat, który poruszam teraz z moimi senior(k)ami (a raczej: silver(k)ami) w sopockim Uniwersytecie Trzeciego Wieku na naszym konwersatorium, które nazywa się – uwaga! – „Myślące Berety". Mamy tutaj różne porządki: 1) porządek opisu i wyjaśniania – czysto psychologiczny i socjologiczny – oraz 2) porządek wartościowania, czyli porządek etyczny. Ja używam teraz aparatu pojęciowego porządku opisu i wyjaśniania. Pokazuję z perspektywy psychologicznej, dlaczego tak jest. To sytuacja analogiczna do tej, w której wyjaśniamy, dlaczego określony morderca zrobił to, co zrobił, co się takiego zadziało w obrębie jego historii życia i konstrukcji osobowości, że zamordował tyle osób. To czysty proces opisu zjawiska oraz próby jego wyjaśnienia, poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Nie ma to nic wspólnego z usprawiedliwianiem, które przynależy do porządku wartościowania.

Spójrzmy na to najpierw z psychologicznej perspektywy. W takiej typowej sytuacji osoba odpowiedzialna za zespół jest cholernie zadowolona z każdego sukcesu członka(-ini) zespołu i *de facto* sukces ten jest przez nią odczuwany jak jej własny. Tak jak dla mnie każdy sukces mojego ucznia czy mojej uczennicy emocjonalnie jest jednocześnie moim sukcesem – tak samo zresztą odczuwa to rodzic cieszący się sukcesami dziecka. Ale dzieje się tak wyłącznie w „normalnych" okolicznościach, a nam, całemu społeczeństwu, do normalności daleko.

Jeśli osoba odpowiedzialna za zespół przez cały czas tak bardzo się boi – a do tego krok po kroku doprowadza obecna władza w każdym obszarze życia społecznego – ta osoba po prostu cały czas jest podporządkowana nierzadko nieuświadomionemu dążeniu do tego, żeby było bezpiecznie. Skutków lęku mojego przełożonego doświadczyłem bardzo mocno, najpierw jako świeżo upieczony Nauczyciel Roku, później w związku z moją aktywnością na rzecz praw człowieka i praw osób LGBT+, i w końcu – hattrick! – ze względu na działalność u boku Szymona Hołowni.

Wiele osób gdzieś tam mówiło i mówi do dziś, że ten mój ówczesny dyrektor to po prostu człowiek, który się bardzo boi. Być może dochodziły też jakieś inne czynniki, na przykład zazdrość, ale tego nie wiem. Być może tak, być może nie, nie ma to już znaczenia. Mam wrażenie, że ten lęk był czynnikiem kluczowym, bo doświadczyłem wielu różnego rodzaju sytuacji, które udowadniały, że on po prostu się bał. Zresztą nierzadko mówił o tym wprost na lekcjach. I teraz uwaga: zostawiamy porządek wyjaśniania, przechodzimy do porządku wartościowania.

Człowiek, który się boi, może dokonywać różnych wyborów. Pamiętam, że dwa dni po tym, gdy zostałem Nauczycielem Roku, Prezydent Sopotu Jacek Karnowski przyszedł wraz z częścią Rady Miasta, by mnie uhonorować przed całą szkołą. Było to dla mnie bardzo wzruszające. Zacytowałem wtedy słowa Dumbledore'a, że nadchodzą czasy, w których będziemy musieli wybierać między tym, co dobre, a tym, co łatwe. Spojrzałem wówczas na mojego dyrektora, bo czułem, że on tego właśnie potrzebuje, takiego przypomnienia, bo przecież wie o tym doskonale. Niestety, ostatecznie jego dążenie do poczucia bezpieczeństwa wygrywało, co samo w sobie było absolutnie jego sprawą, ale gdy

coraz bardziej materializowało się w postaci zachowań godzących we mnie, uświadomiłem sobie: „Ja mam tylko jedno życie". I odszedłem.

I tu jest sedno porządku etycznego. Każdy dokonuje własnych wyborów. Gdy czyjeś wybory zaczynają uderzać w kogoś innego, mamy złamanie tego, o czym pisał Alexis de Tocqueville. Czyli psychologicznie rozumiem, dlaczego ktoś funkcjonuje tak a nie inaczej, ale etycznie nie wyrażam na to zgody, bo godzi to we mnie i/lub kogoś innego.

Trzeba tylko spojrzeć na to z lotu ptaka. Człowiek jest koktajlem tworzących go bardzo wielu elementów. Jest taka świetna grafika w necie, na której jest napisane, że każdy człowiek coś w życiu stracił, z czymś walczy, z czymś się mierzy, o czymś marzy, czegoś się boi. W praktyce czasem trudno oddzielić porządek wyjaśniania i wartościowania. Weźmy za przykład nieheteronormatywne osoby publiczne, które nie dokonały *coming out-u*. Wiem o tym doskonale, że w rozumieniu społecznym najlepiej by było, gdyby każda osoba LGBT+, będąca w jakimś sensie autorytetem (a z reguły każdy jest dla kogoś autorytetem, choćby dla jednej osoby), zakomunikowała światu: „Jestem osobą nieheteronormatywną". Ale czy ja mam prawo oceniać kogoś, kto tego nie robi? I nie mówię o kryptogejach, którzy dyskryminują osoby LGBT+, bo to jest zupełnie inna sprawa, jednoznaczna moralnie i moralnie obrzydliwa. Mówię o tych, których *coming out* byłby dla nas wszystkich na wagę złota. I mimo że chciałbym, by te osoby znalazły w sobie odwagę, mówię sobie: „Przemek, przecież ty sam zrobiłeś publiczny *coming out* dopiero w 2016". To daje mi poczucie pokory. Każdy z nas ma swoją drogę i swój czas, dlatego ja się od tych ocen mimo wszystko powstrzymuję.

Natomiast nie zmienia to faktu, że jeżeli ktoś mnie przypiera do muru i mówi: „No dobrze panie Przemku, ale co pan uważa o wszystkich tych ludziach, którzy milczą w różnych sytuacjach, albo poddają się aparatowi opresji i lęku, który tworzy władza?", to ja i tak nie mówię, że te osoby robią źle, bo w dzisiejszych czasach akt sprzeciwu to często heroizm. A nikt nie przygotował nas do życia, w którym heroizmem musimy się wykazywać codziennie (w przypadku nauczycieli(-ek) jest to pogłębione przez przemoc m.in. ekonomiczną, którą wobec nas praktykuje władza). Dlatego odpowiadam w ten sposób: ja osobiście bym tak nie mógł. W życiu. Ja bym – mówiąc bardzo kolokwialnie – prędzej się zesrał. W drugim tomie swojej książki podsumowuję to, przytaczając wypowiedź pewnego bohatera z jednego z tomów *Smoczej Straży* Brandona Mulla, która jest kontynuacją *Baśnioboru*:

Czym innym jest przymus fizyczny, czym innym psychiczny, natomiast w przypadku tego, o czym rozmawiamy, mam wrażenie, że ten przymus psychiczny jest sednem

„Kiedy pojawiłaś się w zamku jako więźniarka, wiedziałem, że muszę ci pomóc. Zabijałem już w boju i na polowaniu, ale nigdy nie zabiłem nikogo w niewoli, tym bardziej przyjaciółki. Gdybym pozwolił im cię skrzywdzić, umarłoby we mnie to, co najważniejsze. Pewnie na zawsze. To był punkt, z którego nie ma odwrotu. Czułem to. Chciałem być akceptowany przez ojca i inne smoki. Ale nie kosztem tego, kim jestem. Przez jakiś czas myślałem, że mogę

Photo by Tim Mossholder on Unsplash

połączyć jedno z drugim: być sobą i mieć szacunek ojca. Wyobrażałem sobie, że pomogę smokom odzyskać trochę więcej rozsądku. Ja miałem na nie mały wpływ, za to one bardzo mnie zmieniały. W końcu musiałem wybierać: czy być sobą, czy zadowolić ojca. Wybrałem siebie. I lojalność wobec swoich prawdziwych przyjaciół (...) To dobre uczucie (...) Wolę umrzeć w ten sposób niż żyć w tamten. Już dawno nie czułem się lepiej".

A po tej wypowiedzi dopisałem swoje podsumowanie: „Jeśli traficie kiedyś na słowa Sokratesa, że woli umrzeć niż przestać pobudzać innych do bycia mądrymi, na słowa Jezusa, że lepiej, aby człowiek stracił wszystko, niż zatracił siebie, na słowa św. Pawła, że w dobrych zawodach wystąpił, wiary ustrzegł, bieg ukończył, słowa Galadrieli, że zdała test, pozostanie sobą i odejdzie na Zachód, jeśli przyjrzycie się decyzjom Jonasa z *Dark*, Evana z *Efektu motyla* czy Lily Potter, a w końcu ujrzycie samego Harry'ego Pottera idącego do Zakazanego Lasu i poświęcającego swoje życie dla przyjaciół, wiedzcie, że mimo że (...) nie istnieje odpowiedź właściwa, oni wybrali odpowiedź najlepszą z możliwych".

Mi zawsze bliska była koncepcja, aby nie oczyszczać ludzi, którzy biernie dokonują różnych rzeczy pod wpływem jakiejkolwiek władzy

Teraz już chyba weszliśmy na bardzo poważny poziom – na poziom wartości?

Tak, to jest fragment właśnie z rozdziału o wartościach! I to, o czym piszę, to są moje wartości, wśród których wolność wewnętrzna jest jedną z wartości rdzeniowych. Nie wyobrażam sobie, żeby dać się zniszczyć komuś z góry, kto chce niszczyć mnie lękiem. Po prostu sobie tego nie wyobrażam. Z drugiej jednak strony mam w sobie absolutną pokorę i mówię za Szymborską: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono". Dlatego właśnie jest mi tak trudno oceniać innych ludzi. Natomiast mówię jasno: nie wyobrażam sobie, żeby milczeć, kiedy inne osoby są represjonowane i niszczone. Jednak jak sam widzisz, jest to trudne. Dla mnie paradoksalnie dużo łatwiejsze jest wyjaśnienie czegoś psychologicznie niż sformułowanie jednoznacznej oceny moralnej, zwłaszcza dotyczącej działań konkretnych jednostek. I to w takich czasach.

Na pewno, tym bardziej, że tu pojawi się pytanie o to, czy mamy jeszcze do czynienia z wyborem – choćby był to nawet wybór łatwiejszego rozwiązania i prostszej ścieżki – czy może to już jest niewola...

Genialna uwaga. I tutaj trzeba rzec o realnych możliwościach radzenia sobie z pułapkami, jakie zastawiają na nas nasze wybory. Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym na zajęciach z etyki z s. prof. Barbarą Chyrowicz. Ona w ogóle była zajebista, mega się dużo od niej nauczyłem, podobnie jak od s. prof. Beaty Zarzyckiej. Ciekawe, że tyle się nauczyłem od zakonnic *(śmiech)*, ale to kolejny kamyczek do uświadomienia sobie, jak bardzo bezsensowne są stereotypy. Wracając do s. Chyrowicz: kiedyś opowiedziała nam o przeszkodach w realizacji naszych działań. Wtedy skumałem, że przecież tak naprawdę bardzo trudno jest dokonać rzetelnej i obiektywnej oceny odpowiedzialności ze względu na tak wiele czynników, które *de facto* zmniejszają naszą odpowiedzialność za działanie (bądź jego brak, zwany zaniechaniem). Przykładem takiego ograniczenia jest chociażby przymus. Czym innym jest przymus fizyczny, czym innym psychiczny, natomiast w przypadku tego, o czym rozmawiamy, mam wrażenie, że ten przymus psychiczny jest sednem. Dlatego ja, chociażby myśląc o swoich powodach odejścia ze szkoły... ktoś może powiedzieć: „Słuchaj, zrób z tego aferę", a ja mówię: „Po co?". Bo mimo że doświadczyłem bardzo wielu niefajnych rzeczy, to jednocześnie *I know who is the real enemy*. Generalnie wiem, że właśnie metapowodem i tym faktycznym źródłem tego wszystkiego jest Voldemort na samej górze.

Mi zawsze bliska była koncepcja, aby nie oczyszczać ludzi, którzy biernie dokonują różnych rzeczy pod wpływem jakiejkolwiek władzy. Jednak trzeba przecież mieć świadomość, że ostatecznie powodem takiego działania (czy jego braku) jest jakiś ciemięzca i to na nim spoczywa największa odpowiedzialność, bo on wytwarza te warunki lęku i presji. I tak, każdy z nas ma wybór, bez dwóch zdań, tylko że naszą uwagę powinniśmy skupić przede wszystkim na a) własnych wyborach oraz na b) źródle zła. I to źródło zniszczyć. Czyli w rozumieniu meta – skupić się na edukacji ustawicznej, wyskakującej z lodówek. A w rozumieniu obecnej sytuacji społeczno-politycznej: skupić się na tych, który doprowadzają do powstania takich warunków. I to ich trzeba odesłać na śmietnik historii, a nie cały czas się skupiać na tych, którzy są po prostu...

Funkcjonariuszami reżimu.

Dokładnie o to chodzi. A nawet jeśli nie funkcjonariuszami reżimu, to po prostu ludźmi, którzy zostali zatruci złem legitymizowanym na samej górze, bojącymi się sprzeciwiać, gdy łamane są fundamentalne zasady. Róbmy co się da, żeby budzić oddolnie i odgórnie każdą osobę, ale nie zapominajmy, gdzie bije sączące zło źródło. I żeby było jasne: to nie jest tak, że ja nie widzę odpowiedzialności po stronie wymienionych

przed chwilą ludzi. Ja po prostu widzę, kim jest *real enemy*.

A ja w ogóle myślę sobie, że ty i tak w szkole Czarnka byś sobie rady nie dał.

A dlaczego nie? Ja mam wrażenie zupełnie odwrotne.

Tak?

Tak. Z prostej przyczyny. Ja mam bardzo silnie rozwinięty archetyp trickstera. Od momentu kiedy PiS przejął władzę, a tym bardziej odkąd zostałem Nauczycielem Roku, bo między przejęciem władzy przez PiS a tym, jak zostałem Nauczycielem Roku, minęły trzy lata, coraz bardziej czułem, jak aktywuje mi się ten archetyp, jak ożywia się we mnie, jak się coraz bardziej uobecnia. Rok po przejęciu władzy przez PiS zrobiłem *coming out*. Mówiąc krótko, ja w tych bardzo chujowych warunkach, gdy ten powszechny, społeczny, wyindukowany przez władzę lęk, o którym mówiłem, już raczkował, stwierdziłem: „No sorry! Halo! Jestem nauczycielem-gejem, żyję z partnerem, to jestem właśnie ja – a to, co może mi wyrządzić prawdziwą krzywdę, to życie nieautentyczne". Dwa lata później zostałem Nauczycielem Roku. Jak bodaj w 2020 dowiedziałem się, że Czarnek zostanie ministrem, to na metapoziomie miałem chyba największy w życiu *facepalm*. Ale w środku poczułem kolejną aktywację archetypu trickstera, wyrażoną w poczuciu: „zajebiście, dawać go!". Widzisz, Sławku, jestem także trenerem kreatywności. Jedna z rzeczy, która jest fundamentalna dla kreatywności, to przerabianie niemożliwego na możliwe – w twardym murze niemożliwego szukanie szczelin. Kreatywność rozwija się szczególnie wtedy, gdy mamy nieograniczoną wolność, i również szczególnie wtedy, kiedy mamy bardzo ograniczone warunki. Mówiąc krótko, ja właśnie paradoksalnie w warunkach coraz mocniej ograniczanych od 2015 roku coraz częściej widziałem właśnie te szczeliny, za pomocą których można działać i wręcz wysadzać system od środka. Nie ukrywam, że – jakkolwiek to zabrzmi – czasami żałuję, że nie pracuję już w placówce publicznej, bo po prostu mam tyle pomysłów, które bym realizował, które wpisują się w to, co Szymborska pisała w swoim wierszu „Głos w sprawie pornografii"! Wiesz, to taka metoda życia w Hogwarcie za czasów dyrektorowania Umbridge.

Znowu: jakkolwiek to zabrzmi, w momencie kiedy rozpoczął się atak na edukację domową, między innymi na Szkołę w Chmurze, w której obecnie pracuję, dla mnie oczywiście było to skandaliczne, że to się dzieje, ale mój wewnętrzny trickster wołał: „Ha, w końcu jestem w tej szkole, która została bezpośrednio zaatakowana". I już zobaczyłem w swej głowie mnóstwo pomysłów wyrażenia sprzeciwu i oporu. Zresztą sednem tego podejścia jest przypięty na moim wallu na Facebooku post o szczególnym typie tożsamości: #hogwartity.

Nie zmienia to faktu, że to po prostu odczucia oraz metody radzenia sobie, które wynikają z konieczności. Zdecydowanie wolałbym nie żyć w takiej rzeczywistości, w której nasza kreatywność rozwija się z powodu ograniczeń, na które jesteśmy skazani. Wszyscy mamy prawo rozwijać kreatywność dzięki polu maksymalnej możliwej wolności. Natomiast podkreślam nieustannie: dzięki czytaniu Frankla czy Anne Frank bardzo mocno nauczyłem się odnajdywać sens w bezsensie. Problem jednak jest taki, że nie mogę mierzyć swoją miarą innych. Przeciętny człowiek nie jest do tego przygotowany, bo edukacja, której zaznawał w systemie, nie dała mu żadnego przygotowania w zakresie umiejętności radzenia sobie z życiem. I w końcu, podkreślam dobitnie: nikt nie ma prawa wymagać od ludzi na stanowisku pracy heroizmu. A stawanie przed dylematami moralnymi, i to codziennie, i to w warunkach urągających ludzkiej godności począwszy od poziomu ekonomicznego, czyli ta cała rzeczywistość polskiego nauczyciela i polskiej nauczycielki, dyrektora i dyrektorki, a tym samym rodziców, uczniów i uczennic – to jest stan zmuszający do heroizmu.

Nawiązania do *Zakonu Feniksa* są tutaj jak najbardziej na miejscu, choć muszę przyznać, że częściej myślę o innym superbohaterze, o He-Manie. Jestem jego fanem i jako dzieciak, później jako nastolatek, uwielbiałem tę animację. Ten cały He-Man z tym wielkim mieczem, z wojującym dzikim kotem, by się tutaj przydali. Ale przecież nie każdy może być takim He-Manem i nie każdy nim będzie.

Tak, i to jest właśnie *THIS*. Jak starasz się o pracę jako nauczyciel, to przecież nikt ci nie mówi, że w ramach swoich obowiązków będziesz musiał podejmować jakieś heroiczne wybory moralne. A ponadto nikt ci nie płaci za pracę w tak wstrząsających warunkach. I to jest problem. Staram się walczyć za wszystkich, którzy z tego powodu cierpią. Zawsze powtarzam, że siła wspólnoty tkwi w sile najsłabszego jej członka. Zawsze musimy patrzeć na tych, którzy są najsłabsi, którzy najbardziej potrzebują pomocy. Pod tym względem jest mi bliska idea sprawiedliwości Rawlsa i ja w ten sposób właśnie funkcjonuję: „Nie patrz, Przemek, na siebie, patrz na tych, którym jest najtrudniej". Stąd też moje zaangażowanie w naprawę polskiej edukacji, w pomoc osobom z wszelkich mniejszości, i w końcu pomoc osobom pozaludzkim – zwierzętom. A w końcu: całej planecie.

Czy to był właśnie główny bodziec, który popchnął cię do Szymona Hołowni? Chyba wiedziałeś, że nie unikniemy tego tematu. Sądzę, że wielu ludzi chciałoby wiedzieć, co cię do

niego pchnęło, dlaczego Hołownia, dlaczego „żółty ruch”?

Dawno, dawno temu… *(śmiech)*. No dobra, nie aż tak bardzo dawno temu, mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły się rządy PiS, a właściwie jeszcze kilka miesięcy wcześniej, zacząłem uświadamiać ludzi, w którą stronę to idzie. Tłumaczyłem komu się dało, że PiS jest organizacją *de facto* toksyczną. Ja w życiu miałem zawsze taką łatwość widzenia ludzkich intencji i tego, do czego ludzie długofalowo są zdolni. I doskonale wiedziałem, do czego najwięksi działacze PiS-u są zdolni, rozumiałem ten typ organizacji, z tą ich całą mentalnością. Próbowałem uświadamiać ludzi, mówić wprost, że owszem, te lata rządów koalicyjnych PO i PSL-u nie były rajem np. dla edukacji, ale zawsze jednak uprzedzałem, że jeżeli wygra PiS, to będzie masakra. Oni będą wykorzystywali technikę gotowania żaby (mimo że ostatecznie przyrodniczo nie ma to uzasadnienia, bo żaba wyskoczyłaby

Photo by Tim Mossholder on Unsplash

dużo szybciej, ale ta metafora w ostatnich latach stała się niezwykle nośna). I krok po kroku będą rozwalali nam kraj, co widać aż nadto wyraźnie.

Od 2015 roku zastanawiałem się, które metody są najskuteczniejsze, żeby zarówno zakończyć ich rządy, jak i żeby oni czy im podobni już nigdy więcej nie wygrali. Na początku uczestniczyłem w protestach, a kiedy nadszedł rok 2018 i zostałem Nauczycielem Roku, to wówczas starałem się mówić, nazywać to wszystko, co się działo, po imieniu, gdzie się da, gdzie dawano mi mikrofon, a dawano mi chętnie i w największych mediach, dlatego mówiłem o tym serio wszędzie, gdzie się dało, m.in. o ataku na osoby LGBT+, który przecież był atakiem systemowym. I w końcu nadszedł strajk nauczycieli i nauczycielek.

Kreatywność rozwija się szczególnie wtedy, gdy mamy nieograniczoną wolność, i również szczególnie wtedy, kiedy mamy bardzo ograniczone warunki

Mniej więcej w połowie trwania strajku czułem już, że on upadnie. Walczyłem do końca, ale coraz bardziej widziałem, że żadne z działań do tej pory nie powoduje zmiany. Takiej zmiany realnej, widocznej liczbowo zmiany proporcji poparcia dla tej okropnej władzy. Cały czas patrzyłem na to i mówiłem sobie: „Ja pierdolę! Wydarzyło się tyle, a zupełnie nie widać jakiegokolwiek spadku poparcia dla tej władzy”. Będąc najświeższym Nauczycielem Roku, osobą publiczną, zacząłem się zastanawiać, co ja mogę zrobić i jak zdobyć skuteczniejsze narzędzia.

Czyli polityka?

I literatura, czego owocem stały się między innymi moje książki, obydwa tomy „Szkoły bohaterek i bohaterów”, ale o tym w następnym odcinku *(śmiech)*. Wracając do polityki: jako 13-latek walczyłem o województwo środkowopomorskie i pisałem listy do władz, chwilę później rozpocząłem edukację obywatelską dzięki programowi KOSS, jako 15-latek przemawiałem na trybunie obywatelskiej podczas sesji Rady Miasta w Koszalinie, realizując projekty w ramach programów CEO „Młodzi Obywatele Działają” & „Ślady przeszłości”, jako 16-latek opowiadałem o tym w „Rowerze Błażeja”, byłem dwie kadencje przewodniczącym Samorządu Uczniowskiego w moim liceum, słynnym koszalińskim Dibulcu… Co to oznacza? To, że polityka i jej rola od dawna były dla mnie sprawami oczywistymi. Nie

w rozumieniu moich pragnień, tylko w rozumieniu bycia świadomym obszaru, który jest kluczowy dla zmiany.

Strajk nauczycieli(-ek) przypadł na czas, kiedy różne środowiska liberalno-lewicowe traktowały mnie jak swojego pupilka. No to ja się starałem wykorzystywać maksymalnie ten swój głos, żeby im pomagać, żeby uświadamiać, żeby dawać ludziom różne argumenty. Bardzo symbolicznym momentem był ten, kiedy odbierałem nagrodę Człowieka Roku Gazety Wyborczej w kategorii: wzorowe sprawowanie, a główną nagrodę odbierał wtedy Donald Tusk. Gdy Justyna Suchecka wyczytała moje nazwisko, wszedłem na scenę i wygłosiłem krótki spicz, a podczas niego spojrzałem Donaldowi prosto w oczy i zacytowałem kapitan Marvel, były to mniej więcej słowa: „Pomóż nam wygrać. Tylko idźmy właściwą drogą. Drogą najważniejszych wartości. I nie zbaczajmy z niej". Myślałem sobie wtedy, że jeszcze tylko kilka miesięcy do wyborów, Tusk wróci, powie „Dobra, przejmuję stery, żeby uratować ten kraj"... No ale nic takiego się nie stało. Więc dalej apelowałem, apelowałem, apelowałem, działałem, działałem, działałem.

Dla mnie wielkim WOW było to, że pojawiła się Wiosna Roberta Biedronia, i co ciekawe – bardzo szybko dostałem telefon od działaczki z Trójmiasta z propozycją, żebym w najbliższych wyborach europarlamentarnych był na ich listach. Potraktowałem to jako coś bardzo miłego, natomiast powiedziałem jasno: moim celem nie jest bycie zawodowym politykiem. Tzn. właściwie chciałem to powiedzieć, ale nie zdążyłem, bo pani, która ze mną rozmawiała, obecna posłanka, zdążyła powiedzieć w tej rozmowie takie rzeczy, że za głowę się złapałem. Popierałem wszystkie ideały Wiosny, które od lat były mi tak bliskie, a nagle usłyszałem kobietę, mocną w Trójmieście i na całym Pomorzu, kobietę, która reprezentuje tę właśnie Wiosnę, kobietę, która rzekła do mnie: „Na kogo Pan ma zamiar głosować? Chyba nie na tego starucha Lewandowskiego albo na Adamowiczową, która robi sobie karierę na śmierci męża?". Słyszałem to (i nie tylko to) i... dosłownie nie wierzyłem. Byłem w szoku.

Mniej więcej w połowie trwania strajku czułem już, że on upadnie. Walczyłem do końca, ale coraz bardziej widziałem, że żadne z działań do tej pory nie powoduje zmiany

I co jej powiedziałeś?

Powiedziałem: „Wie pani co, chyba nie znajdziemy porozumienia". I wtedy też właśnie – zupełnie abstrahując od tego, że ja nie miałem ochoty być na żadnych listach wyborczych – dowiedziałem się, że byłbym na jakimś dalekim miejscu tej listy, bo to chodzi o to, żebym pomógł podpromować Wiosnę. Muszę przyznać, że jest to jak dla mnie obcy sposób na traktowanie ludzi.

Pomyślałem wtedy: „Dobra, okej, nie będę tutaj robił problemów. Może to po prostu jakaś babka niefajna, ale to przecież nie przekreśla Wiosny". Natomiast było to dla mnie nieco dziwne, że Robert, który jest gejem, ma tutaj świeżego Nauczyciela Roku też geja, i przez tyle miesięcy nie zainicjował w zasadzie żadnego kontaktu. Jedynie dwa dni przed wyborami do europarlamentu, kilka godzin przed ciszą wyborczą, zadzwoniła do mnie asystentka Roberta z pytaniem, czy mógłbym się pojawić na Stadionie Narodowym. Zapytałem ją: „dlaczego?", a ona do mnie, że Robert ma podsumowanie kampanii i fajnie, jakby różne osoby tam były, „no i uświadomiliśmy sobie, że nie mamy nikogo od edukacji, no i pomyśleliśmy, że przecież jest Przemek Staroń". Mówię do niej: „Ale zaraz, zaraz. Czy dobrze rozumiem, że na kilka godzin przed wydarzeniem kończącym kampanię wy dzwonicie do mnie, żebym po prostu przyszedł, pomachał, powiedział: tak, tak, ludzie, głosujcie na Wiosnę? Czy o to chodzi?". I mówię dalej: „Sekundkę, tu jest chyba coś nie tak. Przecież edukacja to fundament. To jest absolutny fundament". Jak oni mogli przez miesiące nie pomyśleć o nikim od edukacji, o realnym(-ej), z krwi i kości, nauczycielu(-ce)? Ja nie mówię już nawet, że musieli pomyśleć o mnie, błagam, choć to był czas, gdy wyskakiwałem z lodówek i kuchenek mikrofalowych, więc dla wielu byłem pierwszym, naturalnym skojarzeniem - ale przecież mogli generalnie nawiązać współpracę ze świetnymi nauczyciel(k)ami. Miałem wrażenie, jakbym miał przyjść na stadion i zareklamować pastę do zębów. Powiedziałem, że niestety nie mogę na tym być, powiedziałem, że bardzo mocno wspieram Wiosnę, ale wspomniałem też wtedy, że bardzo niepokojące są dla mnie te wszystkie sytuacje: rozmowa a propos list wyborczych i choćby ten telefon z prośbą o przybycie na stadion.

Czy już wtedy się ostatecznie rozczarowałeś?

Jeszcze nie, ale w międzyczasie działy się różne rzeczy i zacząłem mówić moim znajomym, którzy również wspierali Wiosnę, że boję się, że cały ten potencjał zostanie zmarnowany. Co ciekawe, asystentka Roberta powiedziała do mnie: „Tak, tak, to po wyborach spotkamy się z Robertem i wszystko mu powiesz". Niestety po wyborach już nic takiego się nie wydarzyło. Robert zapowiedział, że odda mandat prof. Monice Płatek, ale tego nie zrobił. Dla mnie w tym momencie to

była taka kropka nad „i". Przecież jeżeli ktoś ma wartości, które są również moimi wartościami, ale *de facto* ich nie realizuje na poziomie czynów, to o czym my tu mówimy? Wtedy z wielkim bólem serca stwierdziłem: koniec. Nie zmienia to faktu, że przez cały czas miałem bardzo dużo sympatii do tej partii i ludzi w niej działających, bardzo się ucieszyłem, że później Lewica weszła do sejmu, cały czas świetnie współpracuję z różnymi jej działaczami i działaczkami, wszak moje serce bije po lewej stronie, a poza tym generalnie współpraca to coś, co ma największy sens.

Drugim ciekawym obszarem funkcjonowania polityki demokratycznej jest oczywiście Platforma Obywatelska/Koalicja Obywatelska. Ze strony PO pamiętam, jak dostałem jeden telefon pod pewnej posłanki, telefon z pytaniem, czy mógłbym w ramach ich kampanii pojawić się w Warszawie na jakiejś debacie. Odparłem, że niestety nie mogę, bo koliduje mi to z wyjazdem, ale mogę polecić innego świetnego nauczyciela... „Nie, nie, nie, Pan tu jest teraz taki bardzo medialny, nam chodzi o takie najmocniejsze nazwisko". Więc ja znowu myślę sobie: „Aha, czyli nie edukacja was interesuje, tylko marketing". Ale wtedy już niestety wiedziałem, że w dużej mierze tak to funkcjonuje.

Trochę żenada, co nie?

Obserwowałem wtedy, co się dzieje, i powtarzam cały czas, Sławku, że nie miałem i nie mam żadnych ambicji dotyczących zawodowej polityki w rozumieniu pracy parlamentarnej. Ja zawsze miałem po prostu poczucie, że kluczowe jest to, żeby nie być obojętnym na rzeczywistość, żeby reagować, próbować zmieniać, co się da, wykorzystując te narzędzia, którymi człowiek dysponuje.

Bardzo mi się podobało, co zrobił Jacek Karnowski, prezydent Sopotu. Koleś, którego mega lubię i cenię, facet, który po zabójstwie Pawła Adamowicza poprosił, żebym we wszystkich szkołach sopockich zrobił zajęcia z przeciwdziałania mowie nienawiści. To właśnie on był jednym z autorów koncepcji paktu senackiego. Gdy się o niej dowiedziałem, i jeszcze gdy okazała się ona skuteczna, pojawiła się we mnie myśl, że jednak można. Można poszukać skutecznych narzędzi i skutecznie je zastosować. Po raz kolejny zachwyciłem się Karnowskim, mimo że u nas w Sopocie niektórzy go nienawidzą. No ale to przecież tak jak mnie *(śmiech)*.

No ale nie powiesz, że interesowałeś się jedynie polityką samorządową i lokalną? Przecież 2019 to był czas parlamentarnej kampanii wyborczej, a rok później wybory prezydenckie.

Tak, tak, było fajnie, że odbiliśmy Senat, to był naprawdę wielki sukces. Ale dzień po wyborach zaczął rozwijać się we mnie *mindset*, że teraz ważne będzie to, co robimy, żeby tę skuteczność, która została już pokazana i udowodniona, przenieść na kolejny obszar, czyli na zbliżające się wybory prezydenckie. Dziwiła mnie trochę cisza w eterze. Ale dawałem temu czas. Zastanawiałem się wtedy i byłem bardzo ciekaw, kto zostanie wystawiony jako kandydat(ka). Cały czas mówiłem, pisałem w postach, że to powinien być Rafał Trzaskowski, że to jest koleś znany, wykształcony, fajny, przystojny. Mam poczucie, że należało go postawić na czele całego obozu demokratycznego na samym początku. Jednocześnie myślałem też o środowisku lewicy, że może skumają, że te ich wartości pięknie pokaże kobieta kandydatka, szczególnie Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Cisza. No i zacząłem dostawać sygnały, że PO się zdecydowała na Małgorzatę Kidawę-Błońską, którą bardzo lubię i szanuję, tylko miałem poczucie, że ona może być świetną kandydatką na czas pokoju, a nie wojny, którą w tym kraju rozpętano. Lewica milczała. No i w końcu zaczęły do mnie docierać sygnały, że start planuje Szymon Hołownia. Wtedy w mojej głowie od razu pojawiła się myśl: „O, kurde! Ale zajebiście". Facet, który jest obywatelem, niezwiązanym z żadną partią, to jest właśnie to. Koleś, który nie mając żadnego obciążenia partyjnego, może zostać takim obywatelskim kandydatem na prezydenta. Być naprawdę kandydatem wszystkich. Pomyślałem sobie, że jak partie to skumają, to będzie petarda, bo nie dość, że opozycja demokratyczna wokół niego się zjednoczy, to jeszcze na dodatek przyciągnie on wiele osób, które nie zagłosują na kandydata Lewicy czy KO: osób wahających się, do tej pory niegłosujących, może nawet tych, którzy stanowią tzw. soft PiS.

Szymon ma mnóstwo cech, które czynią go świetnym kandydatem. Wtedy wydawało mi się, że teraz to już na pewno Duda zostanie pożegnany i będzie to prosta droga do odbicia tego kraju z rąk Prawa i Sprawiedliwości. Szymon ogłosił swój start w grudniu, w Gdańsku, w Teatrze Szekspirowskim, a ja wtedy napisałem posta, w którym podkreśliłem, że to wspaniała wiadomość.

Znałeś wcześniej Szymona Hołownię?

Tak! Najpierw czytałem to, co on pisał. Z każdym rokiem byłem pod coraz większym wrażeniem jego zmian mentalnych, tego, jak on się staje dojrzały. Później, mając już z nim kontakt, zauważyłem, że on po prostu jest dobrym człowiekiem. No i jak napisałem tego posta, wysypała się lawina komentarzy od ludzi, którzy do tej pory prawili mi czułe słówka i opowiadali, jaki to Przemek jest zajebiście mądry... A tu klops. Podważano moją inteligencję, zdolność trafnego wyboru, intencje... W kolejnych miesiącach ilość komentarzy, które trzeba nazwać hejtem, przebiła skalę. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tak wyraźnego, silnego, zmasowanego hejtu, także z powodu swojej orientacji psychoseksualnej. Na dodatek zacząłem doświadczać go od ludzi, którzy walczą o demokrację, wolność,

równość... Co ważne: nieustannie argumentowałem, dlaczego poparłem Szymona, a pierwszy raz tak obszernie, poruszając też kwestię dzielących nas różnic (czyli np. stanowisko dotyczące małżeństw jednopłciowych), zrobiłem to właśnie w tekście, który ukazał się w Liberté!, tym słynnym tekście założycielskim, który redakcja zatytułowała: „Światem rządzi zmiana". Miałem jednak wrażenie, że część osób nie była w stanie przyjąć żadnej mojej racjonalnej argumentacji, w której jasno zresztą podkreślałem, że moim celem nie jest przekonywanie nikogo do Hołowni. Taką metodę zawsze stosuję na lekcjach etyki: każdy może się wypowiedzieć, tylko ważne jest, aby podał argumenty. Natomiast głównym zadaniem oponentów jest wskazanie, co jest w tych argumentach... cennego. W żadnym wypadku oponenci nie muszą zmieniać swojego poglądu czy stanowiska (chyba że zechcą, wiadomo). To działa niesamowicie i przynosi niesamowite efekty.

Tymczasem po napisaniu tego tekstu oczekiwałem, że ludzie inteligentni pochylą się nad moją argumentacją i po pierwsze zaprzestaną hejtu, a po drugie stwierdzą coś w rodzaju: „Okay, teraz to rozumiem. Mój wybór zapewne będzie inny, ale kumam argumenty Przemka". Owszem, wiele osób tak właśnie zrobiło, część nawet poparła Szymona, natomiast skala osób, które miały opór przed tą argumentacją, nie były gotowe w ogóle *de facto* się nad nią pochylić, no cóż, ta skala była dla mnie powalająca. Bardzo dużo mnie to nauczyło. Skumałem wtedy w pełni bardzo wiele, choćby to, jak Internet spłyca relacje, dialog, stopień rozumienia etc.

Wtedy wydawało mi się, że teraz to już na pewno Duda zostanie pożegnany i będzie to prosta droga do odbicia tego kraju z rąk Prawa i Sprawiedliwości

Tylko w końcu zrozumiałem, że te efekty pojawiają się w przypadku sprzyjającej konstelacji okoliczności. Na przykład właśnie w przypadku ludzi młodych, z którymi ma się realną relację.

Już bodaj w grudniu 2019 przyszła mi pierwszy raz do głowy taka myśl, że problem z PiS-em leży dużo głębiej. Te reakcje, o których mówiłem przed chwilą, pokazały mi to w pełnej skali. Zacząłem mieć poczucie, że większość osób tkwi w mentalności kibicowskiej i sprowadzenie naszego kraju na sensowne tory nie jest dla nich tak ważne jak to, kto się tym zajmie. Mało tego, w wielu osobach zauważyłem postawę pt. „TO MUSI BYĆ KTOŚ, KTO MI PASUJE". A przecież istota kandydata reprezentującego jak najwięcej obywateli i obywatelek wiąże się właśnie z tym, że będzie on oddalony od „idealnego" zestawu cech i poglądów.

Kiedy pojawił się ktoś, kto ogłosił walkę o urząd prezydenta, kandydat obywatelski – czyli zrobić kolejny krok po pakcie senackim – to ze strony opozycyjnej pojawiło się wyszydzanie, często wręcz nienawiść, doprowadzająca do takich absurdów, jak wyśmiewanie się ze wzruszenia Szymona nad konstytucją przez osoby, które na co dzień walczą ze stereotypami płciowymi!

Wtedy właśnie w pełni skumałem, że problem leży dużo głębiej, bo on tkwi w szeroko rozpowszechnionej w społeczeństwie i podgrzewanej przez media oraz social media natychmiastowości formułowania emocjonalnych ocen, niemożności myślenia holistycznego i postformalnego (zwanego też myśleniem kontekstualno-dialektycznym), niezwykle silnej podatności na polaryzację. Te czynniki niestety tkwią w naszych głowach mocniej niż wielu osobom się wydaje i wywołują więcej zła niż osoby walczące z PiS-em często są w stanie zauważyć. PiS jest

Photo by Feliphe Schiarolli on Unsplash

poniekąd właśnie pokłosiem tych cech i niestety - wykorzystał oraz podkręcił je w niewiarygodnym stopniu.

Wiesz, przychodzą mi na myśl słowa Simone Weil. „W naszej nauce, niby w wielkim magazynie, mieszczą się najsubtelniejsze sposoby rozwiązywania najbardziej złożonych problemów, ale jesteśmy prawie niezdolni do zastosowania elementarnych metod rozsądnego myślenia. Wydaje się, że w każdej dziedzinie zagubiliśmy pojęcia świadczące o inteligencji – pojęcia granicy, miary, stopnia, proporcji, zależności, stosunku, związku koniecznego, powiązania między sposobem działania a rezultatem". PiS nie stworzył powszechnego deficytu dojrzałego myślenia, ale wykorzystał go w stopniu, który wcześniej nie mieścił nam się w głowie. Popatrz chociażby na to, jak wiele osób mówi: „No bez kitu, Hołownia zasługuje na szacunek, jedyny ma tak rzetelny, szczegółowy program... Ale mu nie ufam". Kiedy zapytasz dlaczego, usłyszysz na przykład: „Bo jest katolikiem". Powiedz mi, Sławku, co się z nami stało, że człowiek inteligentny i/lub wykształcony ocenia czyjąś skuteczność w oparciu nie o rozumną analizę, ale w oparciu o swoje odczucie, tu: braku zaufania? Co się z nami stało, że taki człowiek legitymizuje w sobie samym myślenie oparte o błąd logiczny, jakim jest *fallacia accidentis*, czyli błąd uwydatniania nieistotnego szczegółu? Dlaczego za istotne uważa to, że ktoś jest katolikiem, skoro jednym z fundamentów edukacji nie tylko logicznej, ale i antydyskryminacyjnej, jest to, że żadne nasze cechy tożsamościowe w żaden sposób nie mają znaczenia w obliczu podejmowanych przez nas wyborów? Dlaczego tak trudno przyjąć nam esencję, którą oddał Albus Dumbledore, że to nasze wybory ukazują to, kim naprawdę jesteśmy, o wiele bardziej niż jakiekolwiek nasze uwarunkowania, zdolności czy aspekty naszej tożsamości? Dlaczego tak trudno nam zobaczyć, że to, skąd pochodzę, gdzie mieszkam, jaką religię wyznaję, jaką mam tożsamość psychoseksualną etc. - nie ma ostatecznie znaczenia, bo ostateczne znaczenie mają podejmowane przez nas wybory, mówiąc metaforycznie: wilk, którego decydujemy się karmić?

Wspomniałem o miejscu zamieszkania i to mi przywołało pewną myśl. Ja mieszkam w Gdańsku i dla mnie nieustannym przykładem, jak bardzo takie myślenie nie ma podstaw, jest postać Pawła Adamowicza. Facet, który deklarował się jako konserwatysta, poszedł na czele Marszu Równości, co zresztą dla osoby, która wie, że to Partia Konserwatywna zalegalizowała w UK małżeństwa jednopłciowe, nie powinno być żadnym zdziwieniem.

Paweł Adamowicz jest zresztą osobą, której tragiczna śmierć ostatecznie popchnęła Szymona do działania w najwyższej możliwej skali i wystartowania w wyborach prezydenckich.

I właśnie z tego kontekstu wyłania się nasze pamiętne spotkanie. Na początku stycznia 2020 Szymon napisał do mnie coś takiego: „Przemek, słuchaj, będę w Gdańsku na uroczystościach związanych z rocznicą śmierci Pawła Adamowicza, możemy się spotkać?". Zgodziłem się. Gdy się spotkaliśmy, podziękował mi za wszystko i powiedział, że jest mu bardzo źle z faktem, czego doświadczam po poparciu go. Podkreślił, że żyjemy na planecie, której grozi katastrofa klimatyczna, i w pierwszej kolejności trzeba ją uratować – a jednocześnie Polskę, która stacza się w otchłań nienawiści, polaryzacji, nieprawidłowości etc. Od razu rzekłem: THIS. I Szymon sam powiedział, że dlatego edukacja jest najważniejsza. Spytał, czy mógłbym mu w tym właśnie pomóc, wesprzeć go, wskazać te kierunki zmian, które powinno się zrealizować. Pokazał mi też to, co sam już wstępnie przygotował o edukacji w zarysie swojego programu. Było to bardzo dobre. Podkreśliłem, że rzeczywiście kluczowe jest to, żeby to uszczegółowić, a także zaznaczyłem, że ja sam nieustannie się edukuję, i od niego oczekuję tego samego, co skonkretyzowałem już wtedy na spotkaniu, polecając mu książkę Simone Veil *O prawo do aborcji*. W ogóle to spotkanie wyzwoliło we mnie taką metarefleksję: „Wow. Ktoś zaprasza mnie na spotkanie, tak dosłownie na spotkanie, i w ogóle nie na zasadzie: o, Przemek, przydałbyś się do promocji, tylko: Przemek, edukacja jest najważniejsza i czy pomożesz coś z tym zrobić". Co ważne: nie ma znaczenia, że zostało to skierowane do mnie. Byłem tylko i aż reprezentantem całego środowiska nauczycielskiego. Dla mnie to był głos skierowany do nas wszystkich, do nauczycieli i nauczycielek *par excellence*. Głos pełen szacunku i podmiotowego traktowania, a nie traktowania nas, nauczycieli i nauczycielek, jak maskotek.

Szymon później oczywiście zapytał, czy zgodzę się na to, aby publicznie powiedział, że będę mu pomagać. Było to dla mnie oczywiste, że może o tym powiedzieć, niemniej znów poczułem w środku po prostu szacunek do niego – za to potraktowanie mnie w sposób całkowicie podmiotowy (dodam, że jest to dla mnie szokujące, że żyjemy w realiach, w których tak fundamentalne sprawy budzą podziw). Potem zapytał, czy mogę zostać jego doradcą. Też się zgodziłem. I kiedy to już w końcu wyszło w pełnej skali, to wtedy również w pełnej skali zaczęły się ataki. Realizowane przez ludzi, którzy do tej pory mnie wspierali. Zaczęły się już naprawdę hejterskie komentarze, a ten hejt, będący zaprzeczeniem jakiejkolwiek konstruktywnej krytyki, udowadniał mi, że idę dobrą drogą. Że to społeczeństwo jest w procesie staczania się w otchłań będącą zaprzeczeniem dojrzałego, demokratycznego funkcjonowania, że trzeba je przede wszystkim pozszywać. Tak jak chirurg zszywa rany, by te mogły się goić.

Jak sądzisz, czym ten hejt był motywowany? Chodziło o to, że nie poszedłeś

w kierunku bardziej mainstreamowej partii politycznej? Czy chodziło o coś innego?

Myślę, że to jest wieloczynnikowe. Na metapoziomie problem pojawił się w tym dokładnie punkcie, o którym mówiłem przed chwilą, czyli w kwestii tej mentalności kibicowskiej, polaryzacji etc. Swego czasu poczytałem o badaniach, które wykazały, że członkowie i członkinie społeczeństwa generalnie mają niską tolerancję na niejednoznaczność. Człowiek upraszcza sobie rzeczywistość, bo inaczej by zwariował. Uświadomiłem sobie, że PiS perfekcyjnie wykorzystał świadomość tego zjawiska. Zaczął je wzmacniać i betonować.

Pokłosiem funkcjonowania w kraju z oświatą, która nie wychowuje ku dojrzałości, pluralizmowi, krytycznemu myśleniu, jest to, że zdecydowana większość społeczeństwa dużo lepiej odnajduje się w kategoriach czarne/białe, nie tolerując żadnych odcieni szarości. Poza tym spójrz: kiedy tak ze sobą rozmawiamy, ty zadajesz świetne pytania, dajesz mi przestrzeń wypowiedzi, ja w sensowny argumentacyjnie sposób tłumaczę swoje stanowisko, ale kiedy przyjdzie do publikacji, nasze wysiłki przegrają z klikbajtowymi nagłówkami. Choć marzę o tym, żeby się mylić.

I tutaj pojawia się kwestia tego, jak wielką rolę w konstrukcji rzeczywistości odgrywają media. Uświadomiłem sobie bardzo szybko, że mediom mainstreamowym (nie mówię oczywiście o publicznych, bo w stosunku do nich mam ziobro oczekiwań), gazetom czy telewizji, z jakiegoś powodu Hołownia był bardzo nie w smak, kiedy rozpoczął starania o urząd prezydencki. Zacząłem sobie wtedy coraz bardziej myśleć, czy te media nie są czasem mniej lub bardziej powiązane z interesami jakichś partii politycznych. Niestety chyba tak właśnie jest. Od kiedy poparłem Szymona, zacząłem się stawać *persona non grata* w tychże mediach – których, podkreślam, byłem niemal pupilkiem. Inni eksperci i ekspertki popierający Szymona doświadczyli(-ły) tego samego. Tomasz Lis zbanował nas na Twitterze na mocy faktu. Zacząłem mieć odwoływane wywiady, np. w TVN24, a gdy pytałem dlaczego, to słyszałem: „Już nie jest pan niezależnym ekspertem". Ja na to: „Słucham? Doradzając MERYTORYCZNIE w tak fundamentalnym obszarze jak EDUKACJA kandydatowi OBYWATELSKIEMU?! Przecież to jest niezależność *par excellence*!" Ci dziennikarze, którzy naprawdę byli w stosunku do mnie fair, mówili krótko i szeptem: „Nie możemy promować Hołowni".

Uznałeś więc, że to właśnie Hołownia i jego ruch będą w stanie tę dziką polaryzację przełamać?

Tak, nie widziałem innej siły, która byłaby zdolna realnie to ogarnąć, zacząć zszywać to, co porozrywane, tak, zacząć, bo ostatecznie to zszycie musi i tak zostać wykonane przez cały obóz demokratyczny. Czyli wykonać zadanie, które jest fundamentem całej reszty. Co ciekawe – pamiętasz, z czego zaczęto bardzo szybko szydzić? Z pojęcia dialogu. Złapałem się za głowę. Robiły to osoby, które nieustannie podkreślały, że walczą o praworządność, demokrację, solidarność, równość, a przecież dialog jest metafundamentem tego wszystkiego.

Generalnie, Sławku, znając Hołownię i również czytając go (uważnie) oraz słuchając tego, co mówi, odnajdywałem tam kluczowe punkty, które *de facto* pokazywały, że on rozumie to, co jest sednem. To, że my jesteśmy w fatalnej kondycji jako wspólnota społeczno-polityczna - i to, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności, to zacząć tę wspólnotę łatać. Trzeba sprawić, żebyśmy jako wspólnota zgodzili się na jakimś fundamentalnym poziomie w sprawach podstawowych, jak chociażby ratowanie Ziemi, praworządność, demokracja, wolne sądy, edukacja, stop dyskryminacji, wolne wybory etc. To, co ja słyszałem od Szymona, i to, co czytałem, zgadzało się totalnie z tym, do czego ja już doszedłem we własnej głowie. Doszedłem do tego zarówno jako psycholog, jak i nauczyciel & trener nieustannie pracujący z grupami, rozumiejący mechanizmy dynamiki grupowej, powstawania konfliktów... oraz świadomy tego, jak je rozwiązywać. Całe moje doświadczenie i wiedza związane z byciem psychologiem, nauczycielem, liderem i założycielem różnych grup, organizacji, to wszystko ja również czułem od Szymona i słyszałem od niego. A co najważniejsze: widziałem to u niego w działaniu. To nie jest tylko tak, że on to mówi. On to robi. Przypominam, że jest to koleś, który założył wielkie i prężnie działające fundacje, facet, który mega przyczynił się do zebrania funduszy dla Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, ziom, który dostał różne nagrody za swoją działalność na rzecz np. ochrony zwierząt. Był bardzo ceniony przez liberalny mainstream, przez wielu wręcz uwielbiany.

Dlaczego tak trudno przyjąć nam esencję, którą oddał Albus Dumbledore, że to nasze wybory ukazują to, kim naprawdę jesteśmy, o wiele bardziej niż jakiekolwiek nasze uwarunkowania, zdolności czy aspekty naszej tożsamości?

Dopóki nie zgłosił się jako kandydat na Prezydenta.

Tak, dopóki nie ogłosił swojej kandydatury, mnóstwo ludzi mówiło, że wow, Hołownia taki nowoczesny, liberał, antyklerykał, co z tego, że katolik, wręcz zajebiście, bo będzie mentalnym mostem tak potrzebnym w polskiej rzeczywistości, no a poza tym nagroda jedna, nagroda druga, Otwarte Klatki i tak dalej. No i właśnie, to wszystko uzasadniało to, że teraz robimy z Szymonem i żółtym ruchem to samo, tylko w większej skali, z dużo większą, coraz większą liczbą ludzi. Niestety okazało się, że ze strony wszystkich tych grup, które wcześniej tak się nim zachwycały, teraz po prostu zaczęło się napierdalanie w niego. To też w ogóle było symptomatyczne niezwykle. I to też był dla mnie dowód, jeden z wielu, jak bardzo potrzebne jest to, co robi Hołownia, i jak bardzo dobrze jest, że go w tym wspieram. Dlaczego? Znów wyjaśnię to, korzystając z aparatu pojęciowego psychologii: jeżeli jest jakiś obszar w czyimś życiu, który wymaga pilnego wyleczenia i naprawy, to kiedy ten ktoś słyszy diagnozę, może reagować emocjonalnie. Kiedy np. zapytamy alkoholika, czy czasem nie pije za dużo, wówczas w tym alkoholiku uruchamia się nierzadko opór, zaprzeczanie, pojawia się jakaś forma agresji. Ta reakcja zawsze jest symptomem, że dotknęliśmy czegoś, co jest prawdą.

Bo łatwo jest przecież powiedzieć, że PiS jest zły czy całe to hasło o odsunięciu PiS-u od władzy, ale przecież PiS nie wziął się znikąd. Sukces tej partii był odpowiedzią Polaków na to, co się w Polsce działo.

Od kiedy poparłem Szymona, zacząłem się stawać *persona non grata* w tychże mediach – których, podkreślam, byłem niemal pupilkiem

Tak! Dokładnie o to chodzi! Muszę powiedzieć, że widząc reakcję salonów, tzw. warszaffki, ale widząc też reakcję środowisk lewicowych na Hołownię, ja dopiero wtedy to skumałem. Wtedy w pełni skumałem, dlaczego PiS wygrał. Pomyślałem sobie, że te ich arogancko-hejterskie reakcje to są zapewne dokładnie te style zachowań, które w coraz większej liczbie osób w latach poprzedzających wybór PiS-u budziły sprzeciw. Ludzie zaczęli po prostu mieć wyrzyg na te wszystkie elity, co zresztą zobaczyliśmy także w USA. Ja to zrozumiałem, ja to poczułem, ja wtedy w pełni też skumałem, że ci wszyscy ludzie, którzy tak zatwardziale chcą obalić PiS, nieświadomie jednak ten PiS cementują.

Ponieważ jestem badaczem, naukowcem w każdym wymiarze, stwierdziłem, że trzeba poszukać na to dowodu. No i rzeczywiście, w znanym artykule pt. *Uprzedzony jak liberał* Michała Płocińskiego w „Rzeczpospolitej" bardzo dobrze pokazano, że ludzie, którzy są po tej liberalno-lewicowej stronie sceny politycznej, bardziej hejtują ludzi po prawej stronie niż na odwrót. I tak samo dzieje się w obrębie samych tych środowisk. To szczególnie boleśnie widać wśród tych, z którymi się identyfikuję – tych, których serce bije po lewej stronie. Powszechność tzw. lewicowych inb, pełnych kanselowania czy *virtue signalling*, czasem wręcz mnie dołuje. Na Twitterze wciąż wisi profil „Czy dzisiaj jest inba na lewicy?".

Twitter coś mi teraz przypomniał – widzisz, Sławku, to nie dotyczy tylko obszaru polityki. To samo dzieje się np. w świecie literatury. Ostatnio promowałem świetną książkę Oli Melcer *Przyciąganie*. Mój tweet był masowo „szerowany" przez osoby deklarujące się jako osoby LGBT+ (albo sojusznicze), i w tych szerach nie dokonywano konstruktywnej krytyki książki Oli, tylko ją wyszydzano, zarówno książkę, jak i Olę.

Photo by Taylor Flowe on Unsplash

Mnie zresztą też. Co ważne, ja o swoich doświadczeniach nie mówię po to, bo tego potrzebuję, wszak od tego mam bliskich oraz psychoterapię, tylko po to, aby pomóc innym zrozumieć to, co opisuję. To jest zresztą różnica między tzw. dzieleniem się krwawiącą raną a dzieleniem się zagojoną blizną, i właśnie w ten sposób tłumaczę, dlaczego np. w „Szkole bohaterek i bohaterów" przywołuję swoje własne trudne doświadczenia. Robię to po to, aby inne osoby mogły to lepiej zrozumieć - i poczuć, że nie są same. Ja często sam siebie traktuję jak coś w rodzaju barometru; doświadczając zachowania innego człowieka, wyobrażam sobie, jak takie jego zachowanie, jeśli występuje powszechnie, może oddziaływać społecznie. Znów użyjmy aparatu psychologii. W psychoterapii występuje zjawisko tak zwanego przeciwprzeniesienia, kiedy to psychoterapeuta poprzez swój kontakt z klientem namacalnie doświadcza, jakie klient może wyzwalać reakcje w innych osobach. I to nie chodzi tylko o intelektualne zrozumienie. W terapeucie pojawiają się emocje. Na tej podstawie, dzięki odczuciu możliwych reakcji otoczenia klienta, udaje mu się zrozumieć, na czym może polegać jego problem.

Jako psycholog i człowiek, który sam zawdzięcza wiele własnej psychoterapii, dobrze rozumiem mechanizm przeciwprzeniesienia. I właśnie to pozwoliło mi w pełni „połączyć kropki" w kontekście współpracy z Szymonem i z hejtem wobec mnie. Zacząłem namacalnie doświadczać pogardy, arogancji, hejtu ze strony tej rzekomo bardziej światłej części społeczeństwa. Wcześniej rozumiałem to, ale poniekąd, i jedynie intelektualnie. Ale ważne, że i tak rozumiałem, a rozumiałem między innymi dzięki słuchaniu i czytaniu różnych ludzi. Pamiętam taki artykuł w Na Temat Radka Szumełdy jeszcze podczas rządów PO-PSL. To był bardzo rzetelny artykuł działacza PO, artykuł, który miał jeden wielki ostrzegający metakomunikat: „Platformo, ogarnij się". Już wtedy racjonalnie to kumałem, ale w wyniku hejtu po wejściu na pokład Hołowni tego doświadczyłem. I wtedy naprawdę zaczynałem rozumieć, dlaczego PiS wygrał. Niektórzy mówią: „Bo dał 500+". Ale chwila. Czy brak jakiejkolwiek formy wsparcia, którą PiS załatało programem 500+ (niezależnie od formy i intencji), nie wziął się właśnie z arogancji salonu?

I widzisz, dlatego jak pojawiło się hasło „Jebać PiS", od razu poczułem, że jest to hasło bardzo niebezpieczne. Co prawda wyraża ono moje emocje w stosunku do rządzących, ale wiem, że ono powoduje, że ludzie, którzy głosują na PiS, także ci, którzy nie są jego betonowym, żelaznym elektoratem, bardzo łatwo odbierają to jako atak na samych siebie. A to jest droga, która ma zero szans powodzenia.

Dokładnie. Poza tym przyjęcie hasła „Jebać PiS" za chwilę sprawi, że legitymizowane będą hasła „Jebać Platformę", „Jebać PSL" czy „Jebać Polskę 2050". Właściwie ktokolwiek będzie rządził, to usprawiedliwione będzie walenie w niego, odczłowieczanie, nienawidzenie. Przecież to nie jest żaden sposób na budowanie nowej Polski, a tym bardziej na odbudowywanie wspólnoty politycznej.

Właśnie o to chodzi. Dlatego ja nieustannie staram się walczyć o poziom debaty publicznej. Stale powtarzam, że mamy prawo czuć wszystko, co czujemy w stosunku do ludzi PiS-u, ale nie mamy prawa ich odczłowieczać. A jeżeli to robimy, jeżeli dodatkowo jeszcze nazywamy ich jakimiś wulgaryzmami publicznie, to przecież tak naprawdę pokazujemy, że wiele się od nich nie różnimy, i w końcu: wtedy legitymizujemy oraz utrwalamy nie tylko podziały, ale i władzę PiS-u. Dla wielu osób jest to wciąż nie do pojęcia: droga do odbudowania świata wiedzie tylko i wyłącznie przez autorefleksję oraz stawanie się mądrzejszą, czulszą i dojrzalszą osobą. Jeżeli ten proces będzie występować w maksymalnej możliwej skali, to mamy to. To jest ten paradoks: oczekujemy, że zmienią się inni, ale to, co faktycznie zmienić trzeba i na co mamy wpływ, to my sami(-e). Wtedy krok po kroku zaczyna dziać się coś arcykluczowego: stajemy się świadkami wartości. A to pociąga za sobą ludzi bardziej niż jakiekolwiek przekonywanie, nie mówiąc już o przekonywaniu ubranym w szaty hejtu.

Zawsze przywołuję Nietzschego, który napisał, że gdy walczymy z potworami, musimy bardzo uważać, aby nie stać się jednym z nich. Tymczasem bardzo często słyszę odpowiedzi sugerujące, że nie ma takiego ryzyka. Wiele osób po prostu to bagatelizuje. Natomiast mówię z całą mocą zarówno jako psycholog, jak i nauczyciel, edukator oraz etyk: Jeśli my zaczniemy stosować te metody walki, z którymi sami walczymy, staniemy się nieodróżnialni od oprawców. W celu tłumaczenia złożoności świata i odszyfrowywania jego niejednokrotnie skomplikowanych aspektów uwielbiam przywoływać dzieła popkultury. Tu idealnie pasują *Igrzyska Śmierci*. Katniss Everdeen widzi, że stojąca na czele rebelii Alma Coin tak naprawdę będzie stosowała podobne metody, co prezydent Snow. Dlatego właśnie Katniss robi coś, czego niemal nikt się nie spodziewa: zamiast wykonać wyrok śmierci na Snowie, wykonuje go na Almie Coin.

My sobie często dajemy przyzwolenie na używanie metod, które nas oburzają w środowiskach prawicowych. Jednak to, że dajemy sobie przyzwolenie, to jest jedna sprawa, etyczna, ale jest jeszcze druga: musimy to wreszcie dostrzec, że taka postawa, takie działanie, są po prostu bezskuteczne. Nie jesteśmy w stanie przekonać nikogo do naszych poglądów, idei, przekonań, jeżeli będziemy tę osobę obrażać. Ta osoba będzie się wtedy tylko bronić i zamykać.

Hołownia od początku wołał po prostu o ten elementarny szacunek, elementarny dialog, elementarne porozumienie. I jak się tylko pojawił na scenie politycznej, zaczęło głośno wybrzmiewać to, co osoby go czytające wiedziały od dawna. Dialog. Co wtedy zaczęły mówić środowiska liberalno-lewicowe? Zaczęły szydzić z Hołowni. Te wszystkie memy, że Szymon chce uprawiać z tobą dialog, ha ha ha, dialog o prawach człowieka, ha ha ha. Co ciekawe, nie robiono czegoś takiego, gdy Adam Bodnar wskazywał problematyczność nazywania prawa do aborcji prawem człowieka. Z różnych względów nie szło to w mainstream. A gdy coś idzie w mainstream, i jest umiejętnie zapodane, staje się klikalne - i staje się trampoliną linczu. Sam tego doświadczyłem, gdy pewne medium z wywiadu ze mną o psychologiczno-kulturowych aspektach kibicowania podczas Euro 2016 wycięło zdanie, które przytoczyłem jako przykład seksistowskiego zachowania podczas oglądania meczu. Ja je podałem jako przykład pewnej mentalności, i bardzo je skrytykowałem. A tymczasem jak przedstawiono je na okładce? „Kobieta podczas Euro jest od podawania piwa – mówi psycholog Przemysław Staroń".

Wracając do tego szydzenia z Szymona Hołowni podkreślającego konieczność odbudowania fundamentów naszej wspólnoty, powiem krótko: za każdym razem łapałem się za głowę.

Słuchając tego wszystkiego też łapałem się za głowę. Kiedy w „Liberté!" opublikowano kilka moich tekstów analizujących przyczyny zwycięstwa PiS-u, usłyszałem, że jestem „pisiorem". Też interpretowałem zwycięstwo PiS-u jako pewien symptom, jako odpowiedź na coś, co się rzeczywiście w społeczeństwie polskim dzieje. Wtedy oczywiście gromada niezastąpionych hejterów po stronie rzekomo liberalnych kolegów czy publicystów odezwała się z przytupem. Ale niestety, z tego, co mówisz, wyciągnąć można pesymistyczny wniosek dotyczący przyszłości. Cały czas mówimy o tym, że ta liberalno-lewicowa strona sceny politycznej po wyborach w 2023 roku będzie musiała się dogadać, prawdopodobnie będzie musiała razem rządzić etc. W tym kontekście chcę zapytać, czy patrzysz optymistycznie na ewentualną współpracę opozycji? Bo jednak to wszystko, co tutaj powiedziałeś, nakazywałoby nam daleko idącą powściągliwość...

Mam tu odpowiedź Schrödingera. Mówiąc krótko – kusi mnie, żeby powiedzieć, że widzę to pesymistycznie, ale kusi mnie też, żeby rzec, że widzę to optymistycznie. Paradoks? Cóż, paradoksy są bezpośrednią drogą do znajdowania rozwiązań, ale wiem, że wymagają objaśniania, dlatego pozwolę sobie to wytłumaczyć.

Mamy około trzech kwartałów do wyborów parlamentarnych. Trzy kwartały w takich czasach, w jakich żyjemy, to jest wieczność. Patrzę na to, jak bardzo nasze społeczeństwo w ciągu tych kilku lat dojrzewa i już w wielu obszarach dojrzało, i widzę, że mimo wszystko jest to postęp wręcz logarytmiczny: mówię tu chociażby o stosunku do osób LGBT+, bo przecież dekadę temu, jak pojawiła się ustawa o związkach partnerskich, i nieustannie się tym zachwycałem, to mnóstwo ludzi ze środowiska liberalnego mówiło, że to jest przesada (!). Teraz po tej opozycyjnej stronie stosunek do osób LGBT+ to jest w zasadzie papierek lakmusowy przyzwoitości. A dokonało się to w ciągu zaledwie (tak, zaledwie) dekady. I tak samo wiele innych obszarów, na przykład kwestia edukacji, po prostu dla wielu ludzi stało się tematami istotnymi, wiele osób skumało, jak bardzo beznadziejny jest polski system oświaty i że edukacja to sprawa literalnie nas wszystkich. To samo dotyczy kwestii zmiany klimatu czy troski o zwierzęta. Z roku na rok przybywa osób jasno podkreślających, i nawołujących do tego innych, aby nie strzelać w noc sylwestrową.

Mimo że wciąż tych osób jest za mało, ja skupiam się na tym, że jest ich coraz więcej, i robię wszystko, aby przybywało ich dosłownie z dnia na dzień. Np. beznadziejne zdanie na temat obecnego systemu edukacji ma już mnóstwo nauczycieli(-ek) i rodziców, i tego zdania gro spośród nich nie waha się wyrażać głośno.

Jak pojawiło się hasło „Jebać PiS", od razu poczułem, że jest to hasło bardzo niebezpieczne. Co prawda wyraża ono moje emocje w stosunku do rządzących, ale wiem, że ono powoduje, że ludzie, którzy głosują na PiS, także ci, którzy nie są jego betonowym, żelaznym elektoratem, bardzo łatwo odbierają to jako atak na samych siebie

Podsumowując: do wyborów parlamentarnych jest jeszcze paradoksalnie sporo czasu, a machina społecznego oświecenia pracuje pełną parą.

I to jest coś, co budzi we mnie ten potocznie rozumiany optymizm. Skąd zatem pesymizm?

Wiesz, odpowiem z pozycji, w której funkcjonuję na co dzień. Jest to pozycja z jednej strony

kreatora rzeczywistości, a z drugiej – obserwatora wszechświata. Otóż wszystko to, co może nam pomóc, leży w naszych rękach. Mogę to uświadamiać na zaspach i rozstajach, ale to nie ja decyduję, czyje ręce co zrobią z tym, co mają.

Z każdym rokiem coraz bardziej intensywnie podkreślam: nie oczekuj, że zmieni się świat, a wtedy zmieni się Twoje życie. Zmieniaj swoje życie, a wtedy będzie zmieniał się świat. Widzisz, Sławku, to, czy wyzwolimy się spod jarzma tej okrutnej władzy oraz uniemożliwimy jej i jej podobnym powrót, i czy pójdziemy w dojrzałą stronę jako społeczeństwo, to wszystko zależy od tego, jak bardzo każdy(-a) z nas w ciągu tego roku będzie podejmował(a) wybory idące w stronę dojrzałości. Mam takie poczucie, że ta wygrana PiS-u w 2015 spowodowała narodzenie się społeczeństwa obywatelskiego. Przez te kilka lat rozwijaliśmy się niczym motyl w kokonie. Pytanie jest takie, czy jako społeczeństwo jesteśmy już gotowi, żeby opuścić ten kokon. Jeśli przez ten rok będziemy dokonywać wyborów nabudowanych na uniwersalnych wartościach, będziemy wybierać nie to, co łatwe, ale to, co słuszne, to wierzę, że kokon pęknie i pofruniemy niczym piękny motyl, a pierwszy ruch naszych skrzydeł będzie zmieceniem obecnej władzy. Postęp w świadomości i dojrzałości obywatelskiej dokonuje się cały czas, rośnie logarytmicznie, niezwykle kluczowe jest tu pokolenie przełomu, Zet - Alfa, w którego metabolizmie płynie już zupełnie co innego, i ono serio chyba najintensywniej zmiata dziadocen.

Może tak być i chyba tutaj nawiążę do twojego ulubionego motywu, że każda z partii opozycyjnych znalazła już którąś część insygniów śmierci, teraz trzeba je zebrać, brzydko mówiąc, do przysłowiowej kupy, zgodzisz się?

Właśnie to jest istota wszystkiego. I tu właśnie wkrada się mój pesymizm. Bo ja nie widzę takiego postępu w dojrzałości w politykach, w tzw. celebrytach, w osobach zarządzających mediami, a już na pewno nie widzę go w takim stopniu. A przecież to wszyscy ci liderzy i te liderki wyznaczają oś funkcjonowania, i to nie tylko *stricte* swoich grup odbiorczych.

Dlatego wracam do optymizmu, ale nie tego potocznie rozumianego, ale tego, który opiera się na znaczeniu słowa *optimus*, i którego jestem wręcz wyznawcą. Jest to poszukiwanie najlepszego, najskuteczniejszego rozwiązania problemu. I w tym przypadku sprawa jest niełatwa, choć prosta. Narzędzia do rozwiązania mają najwięksi. Odpowiedzialność za pójście w stronę dojrzałości spoczywa na liderach i liderkach. Mówię to z całą mocą. Spoczywa ona na wszystkich liderach i liderkach mikro- i makrospołeczności. Na Szymonie Hołowni także.

Na ile dojrzale funkcjonują liderki i liderzy, na tyle dojrzałe stają się ich społeczności, grupy odbiorcze, elektoraty. A kto jest odpowiedzialny w stopniu największym? Ten, kto jest największy.

Moglibyśmy mieć tę sytuację w pewnym sensie rozwiązaną już teraz. Kto jest największym liderem opozycji i jednocześnie najbardziej doświadczonym, również w skali międzynarodowej, polskim politykiem? Donald Tusk. Powtarzam to, co powiedziałem ze sceny do całej sali, jak odbieraliśmy obaj nagrody Człowieka Roku Gazety Wyborczej, co powiedziałem patrząc bezpośrednio Donaldowi w oczy: „Pomóż nam wygrać. Tylko idźmy właściwą drogą. Drogą najważniejszych wartości. I nie zbaczajmy z niej". Cały czas mam poczucie, że on jako lider największej aktualnie partii opozycyjnej ma najwięcej do powiedzenia, jest w stanie najwięcej zamodelować. Tak samo jest zawsze w każdej klasie. Osoba, która jest liderem, nadaje ostatecznie tej klasie charakteru. To od niej zależy, czy klasa będzie zgrana, jak zostaną przyjęte nowe osoby, czy klasa pójdzie na wagary etc.

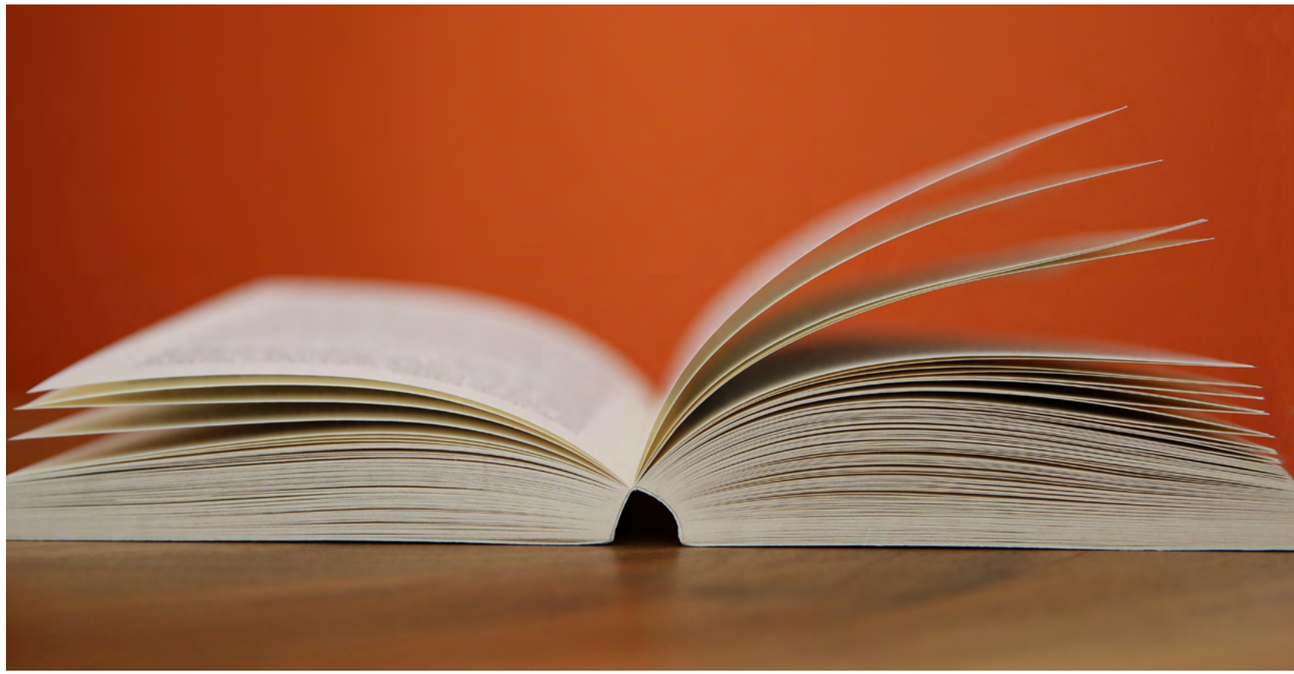

Musiałby nadejść moment, w którym Donald Tusk będzie chciał – jakkolwiek to zabrzmi górnolotnie – żeby wygrała Polska, a nie Platforma.

Dokładnie tak. Pamiętam, jak dokonała się podmianka Kidawy-Błońskiej na Trzaskowskiego. Cała ta podmianka była wydarzeniem żenującym i niestety bardzo obnażającym rzeczywiste intencje Platformy. Gdyby wtedy naprawdę władzom PO zależało na zwycięstwie Polski, żylibyśmy dziś w innej rzeczywistości. Popierając obywatelskiego kandydata, politycy strony opozycyjnej zrobiliby coś, co wydawało się nie tylko zupełnie zdroworozsądkowe, ale też czego skuteczność potwierdzały badania. Mam wrażenie, że teraz dzieje się sytuacja analogiczna. Cały czas odnoszę wrażenie, że pod tymi pięknymi hasłami nie chodzi bynajmniej przede wszystkim o Polskę.

Jeżeli Donald Tusk naprawdę chce wygrać z PiS-em, to może to zrobić. Prawdziwy lider, jeśli jest tym największym, potrafi zgromadzić wokół siebie ludzi. Potrafi zbudować wspólnotę. Cały czas mam takie poczucie, że naprawdę wszystko mogłoby się zmienić, gdyby na samej górze coś takiego nastąpiło. Odnoszę wrażenie, że Donald Tusk mógłby to uporządkować, robiąc coś niełatwego, ale bardzo prostego: realnie jednocząc ludzi. Odnoszę wrażenie, że mógłby to zrobić - zaraz zobaczysz, że nie przez przypadek to określenie - „pstryknięciem palca". Tylko musiałby to zrobić przede wszystkim w sobie samym. On musi chcieć nie tyle medialnego, papierowego, wygłaszanego tonem przypominającym szantaż zjednoczenia, tylko zjednoczenia autentycznego. Musi być też gotowy do odnalezienia najlepszej dla siebie roli w kontekście rzeczywistości, w której żyjemy. Być może musi zmierzyć się z tym, co wedle mistyki żydowskiej wykonał Bóg: dokonał *cimcum*, czyli samoograniczenia się, by oddać miejsce stworzeniu. Chcę rzec jasno: Donaldzie, od lat mam cię za najbardziej doświadczonego, stojącego po stronie demokratycznej, polskiego polityka, a zatem nie mam wątpliwości, że masz wszystkie potrzebne narzędzia, aby zrobić wszystko, co najlepsze.

Mówię z całą mocą zarówno jako psycholog, jak i nauczyciel, edukator oraz etyk: Jeśli my zaczniemy stosować te metody walki, z którymi sami walczymy, staniemy się nieodróżnialni od oprawców

PRZEMYSŁAW STAROŃ

Strona internetowa Szkoła Staronia

Psycholog i kulturoznawca, wykładowca Uniwersytetu SWPS i Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Sopocie oraz współzałożyciel Centrum Rozwoju Jump, w ramach którego wspiera rozwój i stymuluje umiejętność myślenia młodzieży, dorosłych i seniorów.

Nauczyciel dyplomowany, autor książek, twórca Zakonu Feniksa, nagrodzony przez Komisję Europejską orędownik spotkań pokoleń. Wybrany Człowiekiem Roku 2019 w kategorii "Wzorowe sprawowanie" w plebiscycie czytelników "Gazety Wyborczej". Wyróżniony w konkursie im. Ireny Sendlerowej "Za naprawianie świata" i konkursie o Nagrodę im. Janusza Korczaka. Nagrodzony LGBT+ Diamond 2019 Polish Business Award, finalista Nauczycielskiego Nobla - Global Teacher Prize 2020, Digital Shaper 2020, jest na liście 100 osób, które zmieniają Polskę (na lepsze) wg Noizz.pl. Członek Kolegium Ekspertów Instytutu Strategie 2050.

Kiedy była składana moja aplikacja do tzw. „Nauczycielskiego Nobla", czyli Global Teacher Prize, co przyniosło mi jak dotąd najbardziej spektakularny w klasycznym rozumieniu sukces – zostałem jednym z 50 najlepszych nauczycieli na całym świecie – całą część aplikacji z rekomendacjami od kilkuset osób otwierała rekomendacja od Donalda Tuska, ówczesnego *de facto* prezydenta Europy. Donald napisał w niej, że on nie ma wątpliwości, że Przemek Staroń zasługuje na tytuł najlepszego nauczyciela świata. Dlatego chcę podkreślić, że jeżeli kiedykolwiek, Donaldzie, miałeś poczucie, że jestem najlepszym nauczycielem na świecie, to byłoby mi PRZEMiło, gdybyś wsłuchał się w to, co ten nauczyciel nieustannie przekazuje. Bo ten nauczyciel, gdy cokolwiek mówi, do czegokolwiek wzywa, tego samego zawsze w pierwszej kolejności wymaga od samego siebie. Ten nauczyciel nie mówi też *stricte* swoim głosem, tylko realizując archetyp Hermesa, stara się odszyfrowywać to, co zostało zgromadzone przez całą mądrość ludzkości, a co zaczyna się od *nosce te ipsum*, a kończy na *sapere aude*. Ten nauczyciel mówi, że Thanosa mogą pokonać tylko połączone siły Avengers, a każdy ma do odegrania swoją rolę, natomiast Ty jesteś, jak ten nauczyciel przed chwilą wspomniał, najbardziej predysponowany do tego, aby pstryknąć palcem. To właśnie pstryknięcie palcem spowodowało, że Thanos został pokonany i – nie zapominajmy o tym – można było zacząć odbudowywać świat, a tej odbudowy by nie było, gdyby nie to, że Avengersi nauczyli się w czasie wojny ze sobą współpracować. Natomiast podkreślam: pstryknąć palcem mógł tylko ten, który był prawdziwym Człowiekiem z Żelaza. Masz do tego największe predyspozycje, ale jak już wiemy dzięki Dumbledore'owi, to nie Twoje predyspozycje pokażą, czy jesteś Iron Manem, tylko Twoje wybory.

Skutków lęku mojego przełożonego doświadczyłem bardzo mocno, najpierw jako świeżo upieczony Nauczyciel Roku, później w związku z moją aktywnością na rzecz praw człowieka i praw osób LGBT+, i w końcu – hattrick! – ze względu na działalność u boku Szymona Hołowni

Czyli chcesz powiedzieć, że stajesz przed największym liderem – w ogóle przed największymi liderami – i mówisz: „Poznaj samego siebie" oraz „Miej odwagę być mądrym", jeszcze opatrując to odwołaniami do Harry'ego Pottera czy Marvela?

Tak. Bo nie mam żadnej potrzeby kłaniania się możnym tego świata. Jedyny pokłon, który składam, składam przed mądrością. I właśnie w tym pokłonie jest mój i Twój interes. Mój i Twój sens. Moja i Twoja nadzieja. Nas wszystkich. Bo Avengersami możemy być wszyscy. A dodając jeszcze uniwersum Tolkiena, podkreślę za Galadrielą: nawet najmniejsza istota może zmienić bieg dziejów. Mało kto był w stanie sobie wyobrazić, że to Neville zniszczy ostatniego horkruksa, a hobbici Pierścień Władzy. Nauczyciele Einsteina też nie podejrzewali, że siedzi przed nimi człowiek, którego nazwisko stanie się synoniem geniuszu. Dlatego kimkolwiek jesteś, czytająca to Osobo, nie patrz na nikogo, a wykorzystując swoje najlepsze umiejętności, chodź z nami, Wolnymi Plemionani, walczyć o możliwość realizacji tego, co stało się wręcz hasłem LEGO, czyli o możliwość przebudowania tego świata. Mamy wiedzę, mamy doświadczenie, mamy narzędzia, i w końcu mamy najważniejsze: siebie nawzajem, mamy zatem wszystko, aby w końcu ten świat przebudować i wreszcie zrobić to dobrze, mądrze, czule i wspólnie. A nawet jeśli sadząc sadzonki tych drzew nie doczekamy momentu, w którym będziemy mogli położyć się w ich cieniu, to trudno. Bo doświadczymy tego, co jest najważniejsze, i co pozwala widzieć proch tego świata jako gwiezdny pył: będziemy mieli poczucie, że wzięliśmy – i wzięłyśmy! – udział w najpiękniejszej przygodzie, wypełnionej poczuciem najgłębszego sensu i najbardziej autentycznego spełnienia. ●

SŁAWOMIR DRELICH

Politolog i etyk, dr nauk o polityce, wykładowca w Katedrze Myśli Politycznej UMK w Toruniu, wicedyrektor i nauczyciel w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza z Oddziałami Dwujęzycznymi w Inowrocławiu, publicysta i członek redakcji „Liberté", koordynator regionalny Instytutu Strategie 2050 w woj. kujawsko-pomorskim; autor książek i artykułów poświęconych populizmowi, liberalizmowi, libertarianizmowi i polskiemu dyskursowi publicznemu; współautor podręczników do wiedzy o społeczeństwie; ekspert w zakresie edukacji.

PRAWO PRAWEM ALE SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NASZEJ STRONIE...

MACIEJ CHMIELEWSKI

...14 grudnia Anno Domini 2022 zapisze się na kartach historii. Światowej. W biurze komendanta głównego polskiej policji doszło do wybuchu. Huk słychać na Mokotowie, plotka niesie się po Warszawie, policyjny Goebbels Mariusz Ciarka odkopuje instrukcje prasowe z akt Grzegorza Przemyka, a polscy obywatele informacji szukają po mediach zagranicznych. Rzecznika rządu znów przerasta wydanie choćby krótkiego komunikatu, a radio Wolna Europa ponownie żałuje zamknięcia sekcji polskiej.

Bomba myślicie? Zamach może? Cóż... jaka policja taki zamach, chce się rzec – ostrzał komendy z broni przeciwpancernej. Przeprowadził go komendant główny Jarosław Szymczyk w osobie własnej. Wojna dotarła do Warszawy? Trudno bowiem zrozumieć, jakim cudem w jednym z najlepiej chronionych budynków państwowych (a przynajmniej taką mam nadzieję) znalazł się uzbrojony granatnik przeciwpancerny - sprzęt do niszczenia czołgów i bunkrów. Jeszcze trudniej zrozumieć, jak policjant z 30 letnim stażem, najwyższym stopniem generalskim, w towarzystwie równie doświadczonych oficerów, mógł taką broń odpalić. W budynku, wśród ludzi, w centrum miasta. Tylko i wyłącznie opóźnionej aktywacji głowicy bojowej swoje życie zawdzięcza wielu obecnych w budynku. Konstruktorzy granatnika przewidzieli bowiem, że granatnik może się znaleźć w policyjnych dłoniach i głowica musi przelecieć pewien dystans, by się uzbroić. Tak, by nie zabiła samego strzelca - tu na szczęście nie zdążyła.

Rządy Jarosława Szymczyka w policji zapiszą się jako najczarniejszy okres w całej jej historii pod różnym nazewnictwem. Upolitycznienie, bandytyzacja zachowań, bicie dziennikarzy, liczne interwencje kończące się śmiercią obywateli czy kultura osobista policjantów z poziomu najgłębszego rynsztoka. Udział w nielegalnych restrykcjach covidowych czy wysłanie antyterrorystów z pałkami na pokojową demonstrację kobiet to coś, czego nie dopuścili się nawet bandyci Czesława Kiszczaka. Oczywiście wszystko legalizowane przez kontrole wewnętrzne. Policja PiS bardziej przypomina zorganizowaną i umundurowaną grupę przestępczą aniżeli policję państwową. Dziś normalny obywatel ma uzasadnione przekonanie, że kontakt z policją zakończy się pobiciem lub w najlepszym razie niesprawiedliwym mandatem. Gdy są potrzebni, to i tak nie można na nich liczyć. Niedawno sam czekałem na drogówkę do kolizji blisko 4 godziny – w Warszawie, w dzień roboczy.

Odpalenie granatnika jest swoistą wisienką na torcie – PiS z Szymczykiem połączyli brak jakiegokolwiek kręgosłupa moralnego z niekompetencją i brakiem zahamowań

Odpalenie granatnika jest swoistą wisienką na torcie – PiS z Szymczykiem połączyli brak jakiegokolwiek kręgosłupa moralnego z niekompetencją i brakiem zahamowań. Choć Gestapo, SB czy Milicja dopuszczały się podobnych, a nawet

gorszych potworności, to jednak nie umiem sobie wyobrazić, by w najbliższym otoczeniu gen. Jaruzelskiego znalazł się idiota, który bawiłby się sprzętem wojskowym w budynku sztabowym. A nawet gdyby się znalazł, natychmiast zostałby odsunięty od pracy. Jaruzelskiego bowiem otaczali ludzie może i podli, ale na pewno nie głupi.

Tymczasem w PiS takiej refleksji nie ma. Tak jak Czesław Kiszczak spłacał swe długi wobec morderców Grzegorza Przemyka, tak dziś Mariusz Kamiński broni Jarosława Szymczyka. Kto wie, może nawet obaj znajdą się w klubie kolesiowskiego ułaskawienia. To porównanie nie jest ani trochę przesadzone. Tego co zrobił Jarosław Szymczyk, nie da się w żaden sposób usprawiedliwić, swoją dymisję powinien odebrać najpóźniej razem z wypisem ze szpitala. W gruncie rzeczy to nie wybuch jest tu największym problemem. Możemy jedynie wyobrazić sobie atmosferę środowego poranka na komendzie, gdzie 50-letnie dzieci oglądały pamiątki z wycieczki na Ukrainę. „Ale sprzęt, ej daj potrzymać, kamerujesz? Weź wyceluj w TVN...". Niestety te

dzieci w rękach miały nie pistolety na kulki lecz prawdziwie zabójczy sprzęt. Biegając po telewizji z zaklejonym uchem Jarosław Szymczyk nawet nie próbuje wyjaśnić, dlaczego bez zezwolenia przemycił przez granicę państwa sprzęt wojskowy. Broń, na którą nie miał prawa mieć pozwolenia, nawet jako komendant główny policji. Tłumaczenie, że nie wiedział, że miała być zużyta to zwyczajna kpina. Czy komendant główny policji jest tak głupi, że nie umie odróżnić broni zużytej od nabitej lub dać tego do sprawdzenia kompetentnej osobie? Broni jednorazowej, dodajmy. Takie coś wnosi to gabinetu na komendzie? Samo to jest podstawą do dysprawdzony, przedmioty zgłoszone do odprawy celnej. Granatnik to nie jest mała kontrabanda do ukrycia w bieliźnie. Fakt, że delegacja na pewno podróżowała na paszportach dyplomatycznych nic nie wnosi – te paszporty dają immunitet dyplomatyczny w obcym kraju, nie przed polskimi służbami granicznymi. Na polskiej granicy posiadacz takiego paszportu podlega dokładnie tym samym zasadom, co każdy inny obywatel polski. Afera nie przeszła bez echa na świecie, jest tym bardziej kompromitująca dla polskiego państwa w kontekście wojny na Ukrainie. Skutki widzimy już dzisiaj, gdy niedawna wizyta ukraińskiego prezydenta w USA odbyła się z pominięciem polskich

Przykład idzie z góry – skoro komendantowi wolno wysadzić komendę z poklaskiem ministra, to czemu szeregowy krawężnik ma mieć opory przed poznęcaniem się paralizatorem nad zatrzymanym?

misji, a dodatkowo zarzutów karnych i wyroku, mam nadzieję, skazującego na długie więzienie. Telewizyjne występy Szymczyka nie są niczym nowym, od lat kłamie w żywe oczy lepiej niż zawodowi politycy. Tylko teraz nie ma już pola na dyskusję i interpretację. Jeśli jest on czegokolwiek ofiarą, to co najwyżej ofiarą losu.

Kompromitacja Jarosława Szymczyka jest także kompromitacją innych polskich służb. Komendant, nie komendant na granicy powinien zostać

służb. Wołodymyr Zełenski przejechał pociągiem do Rzeszowa, skąd udał się na lotnisko. Niczym w republice bananowej polskie służby nie wiedziały ani kto, ani po co jedzie pociągiem. Jest to wręcz upokorzenie naszego państwa - upokorzenie zafundowane przez PiS na własne życzenie. PiS-owskiego wstawania z kolan ciąg dalszy, na czole brak już miejsca na siniaki.

Skłamałbym mówiąc, że jestem w szoku. Polska policja od lat konsekwentnie dowodzi swej

bezwartościowości. Kobiety spałujemy, mandacik wyślemy, a przed chuligaństwem uciekniemy. Przesadzona brutalność gdy wystarczy zwrócić uwagę, bezsilność wobec prawdziwych przestępców. Tak było od kiedy pamiętam, ostatnie lata to jedynie niespotykana wcześniej eskalacja bezpodstawnej agresji, brutalności i po prostu przestępczości w mundurze. Przestępczości popartej poczuciem bezkarności. Przykład idzie z góry – skoro komendantowi wolno wysadzić komendę z poklaskiem ministra, to czemu szeregowy krawężnik ma mieć opory przed poznęcaniem się paralizatorem nad zatrzymanym? Przeciągnie pałą po nerkach, śladu nie będzie, kamerka niby na mundurze, ale akurat tego dnia się zepsuła. Pacjent zmarł? Sierżancie nie kop, bo się spocisz.

Ojciec porządny, matka porządna, syn policjant. Jednym z haseł PiS było to, by policją kierowali ludzie bez milicyjnego rodowodu. Tamci może zaczynali karierę za komuny, może dzięki temu, może mimo tego - ale wiedzieli jak nie powinna wyglądać policja i czego jej nie wolno robić w państwie prawa. Trudno dziś wskazać rzecz, która państwu polskiemu bardziej by się nie udała niż policja. Dorobiliśmy się tworu, który jest dokładnym przeciwieństwem tego, jak policja powinna wyglądać i działać. Mam jeszcze resztki nadziei, że ktokolwiek w PiS się opamięta i Jarosław Szymczyk zostanie wyrzucony tam, gdzie dawno powinien się znaleźć - na bruk. Potem za kratami na długie lata. Najwyższa pora by polską policją kierował policjant z powołania, nie Kutschera swoich czasów.

PS
Zawiodły mnie sylwestrowe ostrzeżenia przed fajerwerkami. W tym roku mogły być wiarygodne jak nigdy. ●

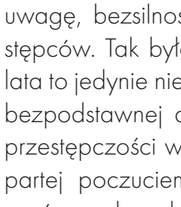

MACIEJ CHMIELEWSKI

Manager specjalizujący się w handlu detalicznym i transformacji biznesu. W dotychczasowej karierze kierował inwestycjami takimi jak uruchomienie nowego centrum logistycznego w Bukareszcie czy budowa dystrybucji ecommerce w kilku miastach w Polsce. Absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, liberał, wolnorynkowiec, a nade wszystko wolnościowiec uznający za najważniejszy obowiązek państwa ochronę obywatela przed samym państwem.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą"? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwiemy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)

Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzeka mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „polemik", które dewastują nasz kraj – oto jedyna droga do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

EUROPA W OBLICZU PIĄTEJ WOLNOŚCI*

IRMA KOZINA

Spostrzeżenia Chomsky'ego wydawały się mało adekwatne do okoliczności panujących w zjednoczonej unią Europie, której obywatele żyli jeszcze do niedawna w przekonaniu o wypracowaniu skutecznych mechanizmów strzegących prawa społeczeństwa do czterech podstawowych wolności wymienionych w przemówieniu Roosevelta. Tymczasem od 24 lutego 2022 roku, w obliczu agresji imperialistycznego państwa rosyjskiego na Ukrainę, spostrzeżenia Chomsky'ego w stopniu większym niż kiedykolwiek zdają się opisywać sytuację, z którą mierzy się obecnie społeczeństwo europejskie.

W okresie nasilającej się nawałnicy niemieckiego nazizmu, 6 stycznia 1941 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt wygłosił przemówienie, w którym zobowiązał światową społeczność do zagwarantowania każdemu człowiekowi na Ziemi czterech – uznanych przez tego polityka za podstawowe – wolności: wolność słowa, wolność wyznania, wolność od niedostatku i wolność od strachu.

Niewiele ponad cztery dekady później Noam Chomsky wydał książkę zatytułowaną Kultura terroryzmu, w której dowodził, że wymienione przez Roosevelta prawa człowieka do wolności nie zostały zagwarantowane po wojnie nawet przez władze USA. Chomsky wręcz określił cele polityczne Stanów Zjednoczonych jako kulturę terroryzmu, w której elity sprawujące rządy, używając jako uzasadnienia rzekome dążenie do osiągnięcia demokracji w imię czterech wolności Roosevelta, dopuszczają się manipulacji zapewniających im potężne przywileje i władzę, podczas gdy większość mieszkańców ziemskiego globu płaci za to wysoką cenę. Amerykański językoznawca i filozof podkreślał, że w celu usprawiedliwienia brutalnego oszustwa, państwowi menedżerowie manipulują opinią publiczną, która wierzy w znaczenie sprawiedliwości i praw człowieka, a zarazem cynicznie uprawiają zabiegi zwane „inżynierią historyczną".

Podobne zarzuty wybrzmiały też w kolejnej publikacji „papieża antyglobalistów", która ukazała się w Polsce w 2005 roku, pod tytułem *O naturze i języku*. Obok wyjaśnienia podstaw swojej teorii lingwistycznej, Chomsky zawarł tam także wiele odniesień do jego poglądów politycznych, m. in. znalazł się w tej publikacji tekst mówiący o celowym zniewalaniu społeczeństwa przez elity rządzące, które próbują odwrócić uwagę ludzi od rzeczywistych wartości społecznych promując globalny konsumeryzm: „Manipulować przekonaniami mają media, czasopisma, szkoły, uczelnie i — mówiąc ogólnie — klasy wykształcone. Do manipulowania obyczajami i nastawieniami służą natomiast sztuki popularne, reklama i potężna branża *public relations*. Ich celem, według wpływowych przedstawicieli świata biznesu, jest „wyparcie obyczajów obowiązujących od stuleci". Tworzy się więc między innymi sztuczne pragnienia i urojone potrzeby. Od

Marek Kamieński, *Afromantic*

początków rewolucji przemysłowej, a później od zniesienia niewolnictwa, wiadomo, że to skuteczna metoda panowania. Od lat dwudziestych XX wieku jest to bardzo ważna dziedzina gospodarki, a w ostatnich latach osiągnęła jeszcze wyższy poziom wyrafinowania. W podręcznikach mówi się, że przemysł powinien propagować „filozofię jałowości" i „braku celu w życiu". Ma to służyć temu, by „skupiać uwagę na towarach spoza grupy najważniejszych, gdyż to one są sporą częścią dóbr nabywanych w wyniku modnej konsumpcji". Być może wtedy ludzie zaakceptują swe bezsensowne życie w poddaństwie, a nawet będą się nim cieszyć. Zapomną też o śmiesznym pomyśle, by samodzielnie kierować własnymi sprawami"[1].

Na początku XXI wieku Chomsky udzielił wywiadu Stephenowi Marshallowii. W rozmowie tej wprost nazwał współczesność okresem dominacji tzw. Piątej Wolności. Wyjaśnił, że w jego rozumieniu Piątą Wolnością, której Roosevelt nie wymienił, a która jest, niestety, kluczowa, jest wolność do rabowania i eksploatowania. Jest to podstawowa zasada krajów prowadzących politykę imperialną. Powszechnie stosowanym narzędziem tej polityki jest rewizjonizm historyczny, w którym spojrzenie na przeszłość zależy od tego,

„czy trzyma się bicz w ręku, czy też jest się narażonym na jego uderzenia”[2].

Spostrzeżenia Chomsky’ego wydawały się mało adekwatne do okoliczności panujących w zjednoczonej unią Europie, której obywatele żyli jeszcze do niedawna w przekonaniu o wypracowaniu skutecznych mechanizmów strzegących prawa społeczeństwa do czterech podstawowych wolności wymienionych w przemówieniu Roosevelta. Tymczasem od 24 lutego 2022 roku, w obliczu agresji imperialistycznego państwa rosyjskiego na Ukrainę, spostrzeżenia Chomsky’ego w stopniu większym niż kiedykolwiek zdają się opisywać sytuację, z którą mierzy się obecnie społeczeństwo europejskie. Nazywany „radykalnym pacyfistą”, a deklarujący się jako wolnościowy socjalista i sympatyk anarchosyndykalizmu Chomsky nie uznaje czasów obowiązywania Piątej Wolności za epokę przegraną. Wręcz przeciwnie, widzi w niej ogromny potencjał, wynikający z faktu, że coraz większe rzesze społeczeństwa nie dają się zwieść narracjom uprawianym przez państwa prowadzące politykę imperialną i jednocześnie wierzy, że jeszcze wciąż mogą nastać czasy niezakłamanej wolności, której nadejście jest jednak warunkowane zaangażowaniem się jak największej ilości ludzi w obronę rzeczywistych wartości. Pogląd ten zaznaczył się już w jego kolejnej publikacji, wydanej w Polsce w 2005 roku pod tytułem „Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji”. Znaleźć w niej można m. in. następujący fragment: „We współczesnej historii rysują się dwie trajektorie: jedna zmierza ku hegemonii, jest racjonalna w ramach obłąkańczej doktryny i zagraża przetrwaniu; druga opiera się na przekonaniu, że „możliwy jest inny świat”, mówiąc słowami, które ożywiają Światowe Forum Społeczne, podważa dominującą ideologię i próbuje znaleźć konstruktywne alternatywy dla myśli, działań i instytucji. Która trajektoria przeważy, nikt nie jest w stanie przewidzieć.”

Uznając Noama Chomsky’ego za niekwestionowany autorytet w zakresie budowania świadomego społeczeństwa obywatelskiego, nowocześnie definiującego koncepcję wolności i demokracji, która w - miejmy nadzieję – niedalekiej przyszłości przyczyni się do skonstruowania nowych relacji ekonomiczno-politycznych, gwarantujących bezwarunkową wolność każdej jednostce, kuratorki wystawy Monika Paca-Bros oraz pisząca te

słowa, zwróciły się do amerykańskiego filozofa z prośbą o sformułowanie myśli przewodniej, służącej jako motto zaproszonym do udziału w tej inicjatywie artystom. Chomsky przekazał nam w odpowiedzi sentencję: „Wolność jest czułą rośliną. Musi się ją stale odżywiać i chronić, w przeciwnym razie nie przetrwa okrutnych ciosów." Postanowiłyśmy wykorzystać ją jako leitmotiv przygotowywanej przez nas ekspozycji. ●

Przypisy

[1]Cyt. za Chomsky N., *O naturze i języku*, przeł. J. Lange, Poznań:"Axis", 2005, s. 181-182.
[2]*The Fifth Freedom. Noam Chomsky interviewed by Stephen Marshall*, Guerrilla News Netwerk, November 2001, https://chomsky.info/200111__04/.

** Wystawa w Galerii Szyb Wilson, 16.12.2022- 31.03.2023 roku*

„Europa w obliczu Piątej Wolności".

Wystawa
w Galerii
Szyb Wilson,
grudzień 2022 r.

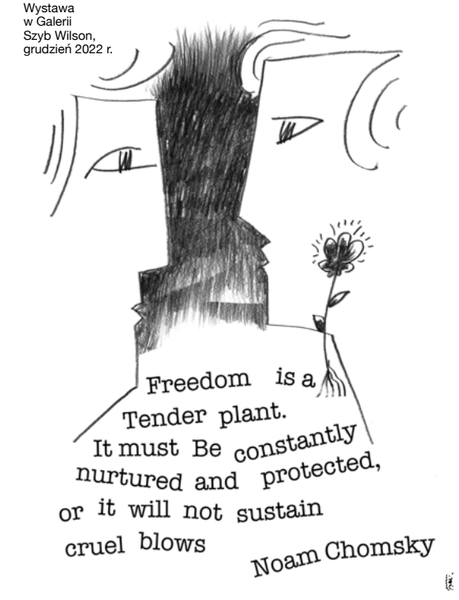

PROF. IRMA KOZINA

Historię sztuki w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie ukończyła w 1988 r. Jako stypendystka Gerda-Henkel Stiftung studiowała na Freie Universität w Berlinie. W 1996 r. obroniła w Uniwersytecie Wrocławskim pracę doktorską o pałacach i zamkach na pruskim Górnym Śląsku w latach 1850-1914. Habilitację uzyskała w Uniwersytecie Warszawskim w 2007 r., na podstawie publikacji pt. Dylematy architektoniczne na przemysłowym Górnym Śląsku w latach 1763-1955. Od 1998 r. prowadzi zajęcia z zakresu historii sztuki i dizajnu w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Jest autorką wielu artykułów oraz książek (m.in. Art Deco, Ikony dizajnu w województwie śląskim, Polski design).

„Antropocen dla początkujących" w Bibliotece Liberté!

Prędzej czy później każdy z nas zmuszony będzie zmierzyć się z pytaniem: czy odnajdę w sobie wystarczająco dużo odwagi i roztropności, by zapobiec ziszczeniu się najczarniejszego scenariusza katastrofy ekologicznej?

„Antropocen dla początkujących" to zbiór literacko-reporterskich rozważań o tym, jak kwestie środowiska naturalnego łączą się z zagadnieniami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. Autor zabiera czytelników w podróż po zmieniającym się świecie epoki człowieka, w sposób wielowymiarowy ukazując skalę wyzwań i problemów, przed jakimi stawia nas postępujący antropocen.

Eseje Juraszka są opowieścią o tym, co bezpowrotnie utraciliśmy, ale również o tym, co wciąż jeszcze zyskać możemy. O zaprzepaszczonych szansach, ale i nadziejach na nowy, lepszy początek.

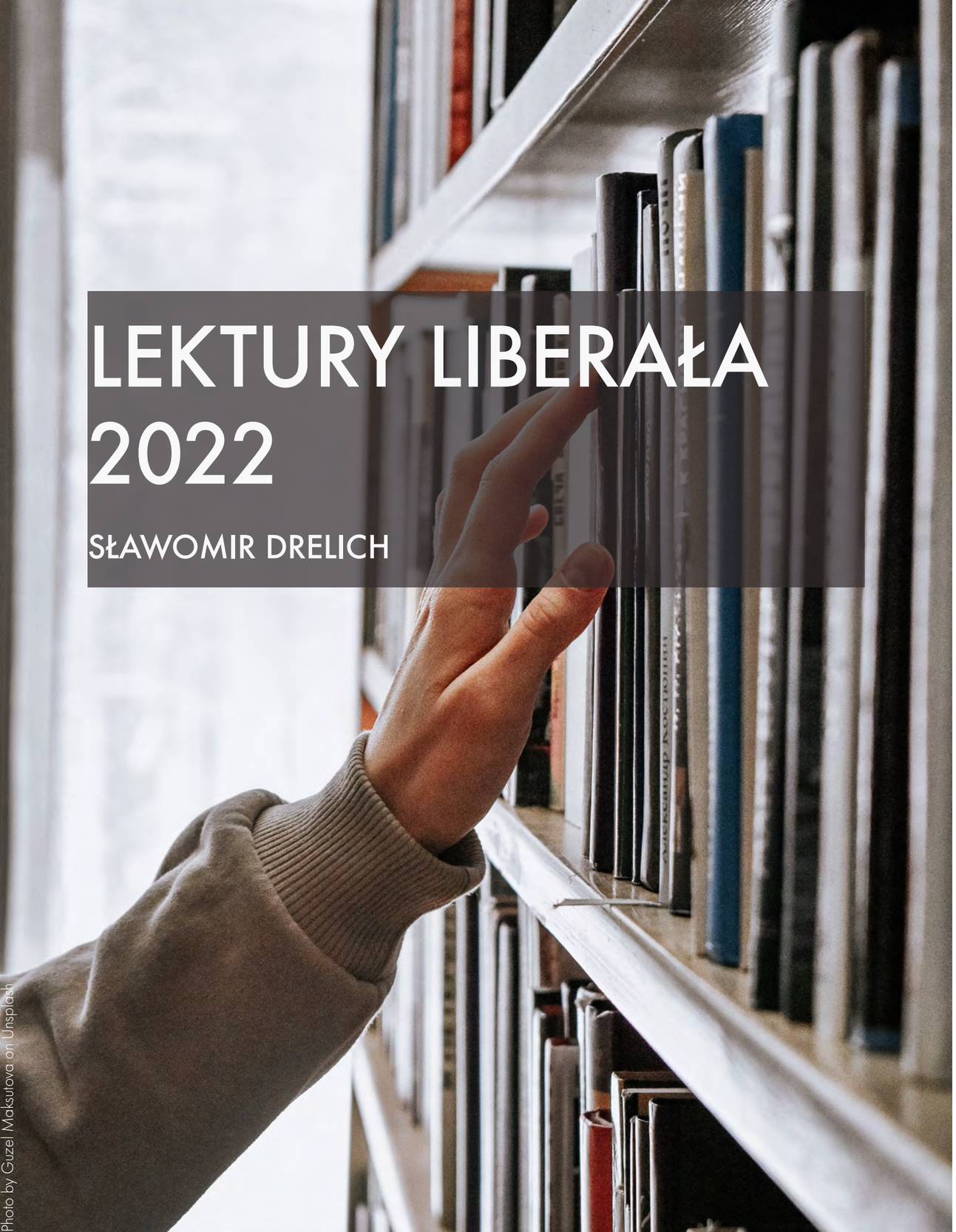

LEKTURY LIBERAŁA 2022

SŁAWOMIR DRELICH

Photo by Guzel Maksutova on Unsplash

Rok 2022 był dla nas wszystkich dotkliwy: wojna w Ukrainie i bezpardonowe łamanie prawa międzynarodowego i praw człowieka przez rosyjski reżim, postpandemiczna drożyzna i szalejąca inflacja, trwale złe relacje polskiego rządu z Unią Europejską i będący tego efektem brak środków z Krajowego Planu Odbudowy dla Polski, postępująca ruina polskiej edukacji dokonywana rękoma ekipy nacjonalistycznej prawicy... Tak, wszystko to zapewne odbije się w książkowej rzeczywistości dopiero w roku 2023, jednakże już rok 2022 bogaty był w literaturę, której lektura może być – przynajmniej w pewnym stopniu – jakąś odpowiedzią na wspomniane problemy Polski, Europy i świata.

W tym roku – podobnie zresztą jak w zestawieniach z lat ubiegłych – prezentuję Państwu katalog dziesięciu naprawdę różnych książek, jednak każda z nich odsłania przed nami inny aspekt refleksji nad współczesnym światem. Ponieważ pozostajemy w sferze „lektur liberała", to z oczywistych względów wątkiem dominującym jest problem wolności. Z konieczności zaś musiał on zostać sprzężony z takimi zagadnieniami, jak: kryzys liberalnej demokracji, populizm, filozofia pragmatyzmu, kapitalizm i problemy wolnego rynku, rządy prawa czy feminizm. Paradoksalnie tematyka zaprezentowanego cyklu idzie w parze z głównymi osiami debat publicystycznych i politycznych w Polsce w 2022 r.

Do ubiegłorocznego cyklu dziesięciu najciekawszych – moim zdaniem – „lektur liberała" dołączyłem jeszcze jedną pozycję anglojęzyczną i jedną antylekturę. Pozycji anglojęzycznej nie wliczyłem do głównej dziesiątki nie ze względu na wątpliwości co do jej wartości, ale ze względu na to, że oczekiwać będę z niecierpliwością polskojęzycznego jej wydania, a wówczas – jestem tego całkowicie pewien! – książka ta będzie na szczycie listy „lektur liberała" w roku wydania jej polskojęzycznej edycji. Musiałem katalog uzupełnić również o antylekturę! Tak, musiałem, bo była to jednak książka, która w 2022 r. wywołała największe i najbardziej burzliwe dyskusje w Polsce. Przyznajmy zaś; rzadko w Polsce tak zacięcie i zażarcie kłócimy się o książki.

Zapraszam więc do mojego cyklu Lektur Liberała 2022! Wierzę, że każdy „miłujący wolność" znajdzie w nim coś dla siebie. Jestem też przekonany, że każda z tych książek nie tylko otwiera nas na kontakt z odmiennym doświadczeniem wolności, ale sprawia, że i my – liberałowie czy też po prostu „ludzie miłujący wolność" – otworzymy się na refleksję niekoniecznie zgodną z tym, co można by nazwać liberalną prawomyślnością. Wreszcie lektury te pokazują nam nie tylko szarą i frustrującą rzeczywistość populistycznych raczkujących dyktatur, ale przede wszystkim przynoszą nam nadzieję.

Numer 1.

Adam Gopnik, *Manifest nosorożca. Rozprawa z liberalizmem*, Fundacja Liberté!, Łódź 2022

Ten niesamowicie wciągający manifest Nowego Liberalizmu w największym stopniu przynosi nam nadzieję, że osiągnięcia liberalnej demokracji nie zostały jeszcze zupełnie zaprzepaszczone i że spisywanie liberalnej demokracji na straty jest daleko idącą przesadą. Gopnik jednakże – nie należy mieć złudzeń – pokazuje nam słabości projektu liberalnego, stąd ten lekkim pesymizmem skażony podtytuł zapowiadający „rozprawę z liberalizmem". Konkluzja jednak każdego liberała powinna napełnić szczątkową przynajmniej radością – autor bowiem broni liberalnych wartości, pokazuje ich ponadczasowość i uniwersalizm, werbalizuje przeświadczenie o konieczności postępowego podejścia do wszystkich liberalnych idei i konceptów, choćby początkowo wydawało się nam, że od niniejszego liberalizmu się oddalamy. Liberalizm nie jest i nie może być niczym tożsamy z zamkniętymi interpretacjami i totalnie wiążącymi wykładniami.

Numer 2.

Marcin Popkiewicz, *Zrozumieć transformację energetyczną. Od depresji do wizji albo jak wykopywać się z dziury, w której jesteśmy*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2022

Z biegiem lat coraz bardziej chyba upewniamy się, jak bardzo liberalizm musi stawać się „zielonym liberalizmem"! Bioróżnorodność, ekologia, zrównoważony rozwój, czy prawa zwierząt, czyli po prostu „zielona polityka", muszą zostać wchłonięte i zestawione z katalogiem tradycyjnych wartości liberalnych. Dlaczego? Dlatego, że jeśli tego nie zrobimy, to nasza wolność staje się iluzją – stanie się iluzją, bo zrujnujemy nasz świat, udusimy się w oparach smogu i zatrujemy tym, co nazywamy jeszcze jedzeniem. Właśnie dlatego tak ważna jest książka Popkiewicza. Dzięki niej możemy wreszcie zrozumieć tę tytułową „transformację energetyczną", jak również przyczyny oraz skutki nadciągającej „katastrofy energetycznej". Jeśli już znajdujemy się w trakcie tej katastrofy, to tym bardziej koniecznym wydaje się zrozumienie jej podstaw oraz uświadomienie sobie, jak możemy ją spowolnić bądź zatrzymać. Książka ta bardziej jest podręcznikiem dla tych liberałów, którzy nie chcą być ignorantami w kwestiach ekologiczno-energetycznych.

Numer 3.

Tomasz Sawczuk, *Pragmatyczny liberalizm*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2022

Gdyby nie osobiste zainteresowania filozoficzno-politologiczne, które z oczywistych względów skłoniły mnie do lektury książki Sawczuka, to „zmusiłaby" mnie zapewne jednoznaczna rekomendacja prof. Andrzeja Szahaja z jego recenzji. Skoro pisze on, że „mamy do czynienia z książką wybitną", to bez najmniejszych wątpliwości trzeba po tę książkę sięgnąć. Mamy do czynienia z pasjonującym studium filozofii politycznej Richarda Rorty'ego, opowiedzianej przez pryzmat teorii i filozofii demokracji. Znajdziemy tutaj klasyczne konteksty liberalne: od Johna Locke'a, przez Monteskiusza, aż po Johna Stuarta Milla; znajdziemy tutaj kontekst sporu liberałów z komunitarystami; znajdziemy wreszcie refleksję na temat kryzysu liberalizmu i jego starcie z lewicową myślą i praktyką polityczną. Z całego tego studium wyłania się wizja liberalizmu pragmatycznego – wizja, która może okazać się niezwykle atrakcyjna nie tylko dla liberałów ślepo wierzących w swoje wartości, ale również dla tych bardziej „letnich", może nieco rozczarowanych, może nawet zdruzgotanych „neoliberalnymi" potknięciami.

Numer 4.

Dominik Héjj, *Węgry na nowo. Jak Viktor Orbán zaprogramował narodową tożsamość*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2022

Ponieważ nie wolno nam – liberałom – nadmiernie ulegać samozadowoleniu, toteż koniecznym wydaje się sięgnięcie do literatury, która w sposób dosadny i dobitny przypomni nam o tym, jak liberalną demokrację rozmontowują nacjonalistyczni populiści współczesnej europejskiej prawicy. Héjj przenosi nas do współczesnych Węgier, które przez Viktora Orbàna i jego partię zostają systematycznie przeobrażane. Autor nie tylko pokazuje nam, co się działo i dzieje w państwie i społeczeństwie węgierskim ostatniego dwudziestolecia, ale wprowadza nas w kulisy tej sytuacji, zarysowuje diagnozę, prezentuje historyczne i socjologiczne konteksty. Okazuje się bowiem, że ślepe i bezrefleksyjne przekładanie na społeczeństwo węgierskie polskich wniosków jest cokolwiek nieuzasadnione. Pomimo tego jednak na każdej niemalże stronie tej analizy znajdziemy myśli i wnioski, które sprowadzać nas jednak będą na polskie podwórko polityczne.

Numer 5.

Renata Grochal, *Zbigniew Ziobro. Prawdziwe oblicze*, Ringier Axel Springer Polska, Warszawa 2022

Nie da się – prezentując katalog „lektur liberała" na 7 lat po przejęciu władzy w Polsce przez nacjonalistyczno-populistyczną prawicę – uniknąć kontekstu *sensu stricto* politycznego. Dlatego właśnie w katalogu tym musiała znaleźć się książka poświęcona człowiekowi, który po 2015 r. okazał się jednym z najbardziej wpływowych polityków tego okresu. Czy nazwiemy go największym politycznym szkodnikiem tego czasu, to już kwestia na inną – czysto polityczną – analizę, jednakże zanim się jej dokona, warto zrobić sobie polityczno-biograficzne wprowadzenie. Taką perspektywę otrzymujemy właśnie w książce Renaty Grochal o Zbigniewie Ziobrze. Czy mamy do czynienia z pisanym nieczułym i sprawozdawczym językiem kalendarium życia aktualnego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego? Zdecydowanie nie. Przedstawiony portret Ziobry daje nam wgląd w kulisy rządów tzw. Zjednoczonej Prawicy, w relacje w obozie władzy i jego związki ze światem zewnętrznym. Nie jest to encyklopedyczna notka o Ziobrze, ale bardziej studium charakteru, wpływów i wojen.

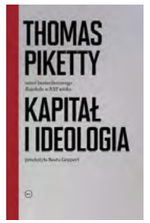

Numer 6.

Thomas Piketty, *Kapitał i ideologia*, przeł. Beata Geppert, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Znajdą się zapewne tacy, którzy uznają umieszczenie tej książki w katalogu „lektur liberała" albo za pomyłkę, albo za przejaw paranoi lub – chyba jeszcze gorzej – publicystycznego pogubienia. Od razu więc mówię expressis verbis: liberałowie muszą czytać Piketty'ego, liberałowie muszą znać Piketty'ego, liberałowie muszą umieć odpowiadać Piketty'emu! I bynajmniej daleki jestem od stwierdzenia, że prawdziwy liberał musi z Pikettym wyłącznie polemizować! Autor *Kapitału i ideologii* bierze nas w podróż po historii cywilizacji. Wędrujemy przez społeczeństwa niewolnicze, społeczeństwo stanowe, społeczeństwa kolonialne, aż wreszcie docieramy do społeczeństwa socjaldemokratycznego, komunistycznego i postkomunistycznego, po czym zderzamy się z erą turbokapitalizmu. Tak, tak, wielbiciele Szkoły Frankfurckiej nie będą rozczarowani, a liberałowie będą musieli przemyśleć, czy szczątki „nowej utopii", jakie zarysowuje Piketty, nie wypływają z realnych mankamentów współczesnych społeczeństw kapitalistyczno-liberalnych i czy to nie tam właśnie rozpoczynają się wszelkie krytyki liberalizmu.

Numer 7.

Timothy Garton Ash, *Obrona liberalizmu. Eseje o wolności, wojnie i Europie*, Fundacja Kultura Liberalna, Warszawa 2022

Po Pikettym najlepiej sięgnąć od razu do Gartona Asha, czyli do prawdziwej „obrony liberalizmu". Choć osoby mające upodobanie do eseistyki autora, zapewne większość zamieszczonych w tym zbiorze tekstów będą kojarzyć z pracy międzynarodowej, to jednak umieszczenie ich w jednym tomie sprawia, że rzeczywiście wydawcom udało się stworzyć nową jakość. Garton Ash zabiera głos w sprawach bieżących: od triumfu populizmów i autorytaryzmów, aż po najświeższą tragedię wojny w Ukrainie. Pytanie, które powraca nieustannie, a jego echo znajdziemy w każdym właściwie z esejów, to pytanie o wolność. Nie zawsze jest to wprost pytanie o kondycję liberalizmu, jak może sugerować tytuł cyklu, bo raczej centralnym motywem rozważań autora jest sama wolność – niekoniecznie zawsze postrzegana z perspektywy liberała i liberalizmu. Ważne jednak, że Garton Ash w swoich tekstach jednak odbudowuje nadzieję, że wolność można ocalić. Nie tylko trzeba ją ocalić, ale rzeczywiście można!

Numer 8.

Luc Boltanski, Ève Chiapello, *Nowy duch kapitalizmu*, przeł. Filip Rogalski, Oficyna Naukowa, Warszawa 2022

Nie da się stworzyć sensownej listy lektur liberała bez Nowego ducha kapitalizmu Boltanskiego i Chiapello. Książka ta ponad dwadzieścia lat czekała na swój polski przekład i możliwość przedostania się do polskiego dyskursu wokół liberalizmu i kapitalizmu. Autorzy prezentują swoją koncepcję trzech duchów kapitalizmu. Pierwszy – mieszczański – ukształtował się w XIX wieku. Drugi – menedżerski – formował się od lat czterdziestych do siedemdziesiątych XX wieku. Trzeci – nowy duch kapitalizmu – pojawia się w latach osiemdziesiątych i jest do dziś dominującą hipostazą tego ustroju społeczno-gospodarczego. Paradoksem nowego ducha kapitalizmu jest to, że choć pobudza on kreatywność i innowacyjność, to jednak przynosi zawężanie się sfery praw społecznych i skutkuje rozwojem prekariatu. Autorzy każą nam otworzyć oczy na mankamenty współczesnego kapitalizmu. Zdają się apelować do współczesnych liberałów, przede wszystkich do tych wciąż zafascynowanych kapitalizmem: „Otwórzcie oczy! Szukajcie człowieka! Szukajcie wolności!".

Numer 9.

Mariusz Surosz, *Ach, te Czeszki*!, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

Żaden katalog lektur liberała nie może obyć się bez tematyki związanej z kobietami! Skoro przez wieki odmawiano paniom pełnego miejsca w społeczeństwie, to teraz nadchodzi czas, żeby ich historie – historie pań – bardziej przedostawały się do narracji i dyskursu publicznego. W 2022 r. najciekawiej bodajże zrobił to Surosz w diabelsko i bezlitośnie wciągającym reportażu historycznym, który z pozoru jest opowieścią o dziejach Czechosłowacji w XX wieku, jednakże w rzeczywistości jest to opowieść o kobietach, które mogłyby żyć wszędzie. Czechosłowackie czy czeskie otoczenie, historia, dziedzictwo czy kultura stanowią pretekst jedynie do tego, żeby zajrzeć do życia tych kilku pań. Notabene – jak zwykle zresztą w tekstach Surosza – znajdujemy tutaj mnóstwo interesujących informacji o naszych południowych sąsiadach. Przestajemy podśmiewać się z nich, a raczej zagłębiamy się w te historie, którymi wciąga nas w swoją narrację autor.

Numer 10.

Piotr Beniuszys, *Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów*, Fundacja Liberté!, Łódź 2022

Last but not least: nie mogło się przecież obyć bez *Barier dla liberalizmu* Beniuszysa! O, tak, bardzo lubię się z nim nie zgadzać i trochę z nim polemizować! W tekstach zawartych w tym zbiorze będzie do tego bardzo dużo okazji. Tym bardziej, że autor mówi nam o liberalizmie z perspektywy największych dla niego zagrożeń: konserwatyzmu, nacjonalizmu i słabości demokracji. Jestem przekonany, że najciekawszymi wątkami dla czytelnika będą te, w których autor pozwala sobie na komentarze dotyczące współczesnej Polski i naszej krajowej sceny politycznej. Przyznaję, że w tegorocznym zestawieniu propozycji książkowych nawiązujących wprost do polskiej polityki jest w istocie mniej, dlatego można się pocieszyć tego typu komentarzami w książce Beniuszysa. Finalna konkluzja autora jest raczej optymistyczna: chyba jednak liczy on na triumf rozumu i rozsądku w polityce, a te z konieczności prowadzić muszą do umiarkowanego liberalizmu i obrony wolności.

Photo by Tom Hermans on Unsplash

Photo by Henry Bé on Unsplash

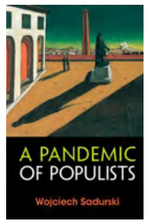

Anglojęzyczna Lektura Roku

Wojciech Sadurski, *A Pandemic of Populists*, Cambridge University Press 2022

Pisałem już o tej książce na łamach „Liberté!", jednakże jestem głęboko przekonany, że nie można jej pominąć w tym zestawieniu! Nie można, bo każda okazja jest dobra, żeby zwerbalizować swoje oczekiwanie, aby książka Sadurskiego jak najszybciej ukazała się w polskim przekładzie, bo przecież jest to również książka o Polsce i Polakach! Jest to jednak przede wszystkim książka o polskiej scenie politycznej, przede wszystkim zaś o rządzących Polską prawicowych populistach. Żeby jednak nikt nie wyrobił sobie przekonania, że Sadurski pisze przede wszystkim czy też tylko o Polsce – nic bardziej mylnego! Pandemia populistów to książka o współczesnych modelach populizmu, jakie występują – i niewątpliwie mają one swój dobry okres – we współczesnym świecie. Sadurski pokazuje cechy typowe współczesnych ruchów populistycznych, ich sposoby zdobywania władzy, a także to, w jaki sposób przy tej władzy się utrzymują. Po przeczytaniu tej książki można zupełnie inaczej spojrzeć na historię rządów populistycznej prawicy w Polsce czy na Węgrzech – na pewno spojrzeć z dużo większym zrozumieniem.

Antylektura Roku

Wojciech Roszkowski, *Historia i teraźniejszość. 1945-1979*, Biały Kruk, Kraków 2022

Wreszcie książka, o której w 2022 r. pisano najwięcej, dyskutowano najwięcej i kłócono się najwięcej. Ba, sam o niej pisałem niejednokrotnie i również na łamach „Liberté!" da się znaleźć więcej niż kilka niezwykle ostrych zdań o tym pseudopodręczniku, napisanym notabene przez akademika o tak znacznym przecież nazwisku. Podręcznik do HiTu napisany przez Roszkowskiego powinien uzyskać oficjalny tytuł Wstydu Roku 2022. Wstyd, bo książkę tę wydano jako podręcznik dla 14- i 15-latków, a tymczasem jej forma i treść niewiele mają wspólnego z współczesnymi podręcznikami. Wstyd, bo coś takiego promowane było przez polskie ministerstwo edukacji, wielu polityków i publicystów. Wstyd wreszcie, bo pseudopodręcznik Roszkowskiego jest kwintesencją zideologizowanej narracji historycznej, manipulacji faktami i prezentowania ich skrzywionych interpretacji. Książka ta jest kwintesencją wszystkiego tego, co tzw. lewactwu zarzucają kręgi polskiej prawicy: indoktrynacja, manipulacja, seksualizacja, epatowanie przemocą i przede wszystkim tworzenie własnej wersji historii. Czy zatem czytać tę książkę? Tak, czytać! Czy się wstydzić? Tak, wstydzić się mocno! ●

SŁAWOMIR DRELICH

Politolog i etyk, dr nauk o polityce, wykładowca w Katedrze Myśli Politycznej UMK w Toruniu, wicedyrektor i nauczyciel w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza z Oddziałami Dwujęzycznymi w Inowrocławiu, publicysta i członek redakcji „Liberté", koordynator regionalny Instytutu Strategie 2050 w woj. kujawsko-pomorskim; autor książek i artykułów poświęconych populizmowi, liberalizmowi, libertarianizmowi i polskiemu dyskursowi publicznemu; współautor podręczników do wiedzy o społeczeństwie; ekspert w zakresie edukacji.

22 LEKCJE...

JAKUB ANDRZEJ LUBER

Myśleliśmy, że gorzej już być nie może. W 2020 roku wybuchła pandemia i nasze życie zmieniło się o 180 stopni. Gdy liczba zachorowań na COVID-19 sięgała już bezpiecznych wyników, uspokajających cały świat, zbrodniarz wojenny – Władimir Putin postawił na wschodniej polskiej granicy nowy żelazny mur. Bezprawny, niemoralny, bestialski atak na naszych braci z Ukrainy zdefiniował 2022. Okazało się, że może być gorzej i śmierć może szerzyć się tuż za naszą granicą.

Co roku odliczając ostatnie sekundy do Nowego Roku spoglądamy twarzą w twarz w perspektywę nowych wyzwań i nowych szans. Wkraczamy na kolejny wierzchołek góry naszego życia, trochę ciesząc się, że tyle już za nami. Trochę jednak zaczynamy się obawiać. Na pierwszych szlakach było płasko i upadek nie byłby bolesny. Patrząc na dół nie czuliśmy więc żadnej obawy. Ta obawa zaczęła teraz narastać. Będąc na kolejnym etapie cieszymy się, że jesteśmy bliżej celu, ale jesteśmy świadomi, że każdy kolejny krok będzie cięższy, bo w grę wchodzi upadek z większej wysokości. Patrząc na coraz bardziej pionowe ściany prowadzące do góry, przeszywa nas coraz większe przerażenie, które zwalczyć możemy jedynie doświadczeniem, zamykając oczy i przypominając sobie, jak poradziliśmy sobie z poprzednimi trudnościami. Tak powinniśmy postąpić w tym nowym, 2023 roku.

Myśleliśmy, że gorzej już być nie może. W 2020 roku wybuchła pandemia i nasze życie zmieniło się o 180 stopni. Gdy liczba zachorowań na COVID-19 sięgała już bezpiecznych wyników, uspokajających cały świat, zbrodniarz wojenny – Władimir Putin postawił na wschodniej polskiej granicy nowy żelazny mur. Bezprawny, niemoralny, bestialski atak na naszych braci z Ukrainy zdefiniował 2022. Okazało się, że może być gorzej i śmierć może szerzyć się tuż za naszą granicą.

Wszystkie te tragiczne wydarzenia w większości powiązane z wojną uświadomiły nam jednak kolejne ważne rzeczy. Na ich podstawie powinniśmy wyciągnąć wnioski, bo kto wie, czy nie przydadzą się w nowym roku. Z tego powodu chciałbym przedstawić Państwu 22 rzeczy, których nauczył nas 2022, a które mogą się później przydać. Niektóre nieco krótsze, niektóre dłuższe, ale wszystkie w mojej skromnej opinii warte uwagi.

1. Sport może i łączy, ale na pewno nie jest już apolityczny – począwszy od Pekinu, skończywszy na Katarze – tegoroczne imprezy sportowe były aż przesycone politycznymi manifestacjami. Na zimowych igrzyskach olimpijskich obserwowaliśmy obrzydliwe próby przepychania swoich zawodników przez gospodarzy. W konkursie skoków narciarskich mieliśmy falę dyskwalifikacji zawodników innych niż chińskich, byle tylko rodzima drużyna dostała się do drugiej serii. Wraz z upływem roku wzrastała temperatura w Katarze. Temperatura sporu. Piłkarze przylecieli do ośmiu zbudowanych na ludzkiej krwi stadionach. Amnesty International propagowało akcję uświadamiającą ludziom skale katarskich zbrodni. Infantino – prezes FIFY zbył ją tak, jak ma to w zwyczaju – infantylnie. Stwierdził, żebyśmy odłożyli prawa człowieka i zajęli się sportem. Za często odkładaliśmy już prawa człowieka na bok w historii...

Na tym jednak się nie skończyły polityczne manifestacje. Zakazano tęczowych opasek

kapitańskich, picia piwa na stadionie i wielu innych rzeczy niezgodnych z katarskim prawem. Odpowiedzieli Amerykanie. Ich związek piłkarski wywiesił w swoim centrum przygotowań w Katarze kolorowe paski jako manifest. Manifestowali także Irańczycy. Milczeli zamiast śpiewać hymn kraju, w którym pomija się prawa kobiet. Wiecie czemu? Bo biada temu, kto prawa człowieka odkłada na później.

2. „War never changes” – wydaje się, że to tylko banalne hasło z jednej z bardziej popularnych wśród młodzieży gier wideo. Tymczasem Wojna w Ukrainie uświadomiła nas, że jest to stwierdzenie aktualne. Oczywiście, Bethesda publikując kolejne wydania gry raczej miała na myśli, że wojna zawsze niesie za sobą to samo – czyli krew i cierpienie. My bardziej dowiedzieliśmy się, że wojna XXI wieku nie różni się wybitnie od tej sprzed wieku. Mieliśmy mieć dwutygodniową cyber operację specjalną, a wyjechała ta sama biedna piechota i szybsze i sprawniejsze maszyny. Równowaga między tymi pierwszymi i drugimi pozostała jednak tak samo zachowana. Wciąż trwają krwawe bitwy żołnierzy o miasta, a na ulicach wciąż widoczne

są pancerne kolumny, a co gorsza – te same zbrodnie, te same rozstrzelania niewinnych ludzi. Żadnej wojny błyskawicznej, wyścigu do przycisków. Wojna nigdy się nie zmienia.

3. Państwo z kartonu, ludzie ze stali – 24 lutego stało się dla wielu Ukraińców jasne, że pora uciekać z kraju. Uciekając przed ciągnącą z Kremla zarazą stanęli przed polską granicą. Ta nie była zamknięta. Rząd wpuszczał uchodźców wojennych, wysyłał zaopatrzenie wojskowe walczącym o swoje państwo sąsiadom i nawoływał do tego inne kraje kontynentu. Pozostał jednak bezradny wobec pomocy już przyjętym uchodźcom. To organizacje pozarządowe ustawiały się ciurkiem na granicy rozdając jedzenie, ubrania, a na dworcach wielkich miast zapewniając im byt i transport. Premier pojawiał się tylko, żeby porobić sobie z tymi ludźmi fotki, jak z maskotkami. Sam pomagałem uchodźcom na dworcu zachodnim. Pomoc była organizowana w ramach współpracy różnych fundacji. Żadnego rządowego autobusu, punktu zaopatrzenia, czy pracownika nie widziałem.

4. Kryzys rządowym paliwem? Na pewno nie odnawialnym – w 2020 roku słupki poparcia PiSu miały spadać. Zaradziła temu pandemia. Zaufanie do rządu, jak zwykle w takich sytuacjach, wzrasta. Na początku 2022 roku PiS uratował jeszcze zbrodniarz wojenny Władimir Putin. Rozpętując wojnę, podwyższył partii Kaczyńskiego zaufanie i wziął współodpowiedzialność za pogarszającą się w kraju sytuację gospodarczą. PiSinflacja dostała miano Putinflacji. I przez kilka miesięcy to działało. Zniszczyło ich to samo, co władze PRL – świąteczne zakupy. Ludzie jednak nie wyszli zastrajkować na ulice, jak w 1970 roku. Po prostu zmienili preferencje wyborcze.

5. Nie wypuszczajmy więcej skrajnej prawicy ze śmietnika polskiej polityki – ten rok przyniósł nam w końcu spadek popularyzacji antyszczepionkowej bandzie, która dla zmylenia przeciwnika nazwała się wolnościową. Zbłaźnili się, podzielili i udowodnili w tym roku swoją antypolskość. Symboliczna była konferencja prasowa o ukrainizacji Polski, na której żaden dziennikarz się nie zjawił. Janusz Korwin- Mikke siał ferment i debilną dezinformację na temat, broniąc swoich ruskich przyjaciół, a Grzegorz Braun krzyczał głośno, że Ukraińcy mają tu za dobrze i nie zasługują na wywieszanie im flagi gdziekolwiek w naszym kraju. Proszę, traktujmy tych dzbanów tak jak to zrobili dziennikarze – dla tych ludzi nie ma miejsca w przestrzeni publicznej.

6. A jednak! Nasz prezydent istnieje! Ten chłoptaś często pokazywany jako długoPiS okazał się prawdziwym prezydentem. W marcu twardo postawił się PiSowi mówiąc, że to nie czas na kłótnie o edukację, bo za granicą mamy wojnę. Zełenski nazwał go przyjacielem, a ten ostrzegł największego zbrodniarza świata przed defekacją słynnym „nie strasz, nie strasz”.

Niedawno po raz drugi pokazał drugą żółtą kartkę Czarnkowi, stwierdzając przy tym, że nie może podpisać ustawy mającej tak dużo sprzeciwu w środowiskach pozarządowych. Nie jestem ekspertem, ale druga żółta kartka chyba równa się czerwonej, nie? Nie zapominajmy jednak o głównych powodach takiego zachowania. Te znajdziecie pod numerem 7 ;)

7. Bardziej zjednoczona od prawicy jest nawet Jugosławia – napięcie w koalicji rządzącej można chyba porównać tylko do takiego w filmie romantycznym. W rządzie jednak zamiast miłości mamy nienawiść. Po wyrzuceniu Jarosława Gowina przyszła pora na pozbycie się Zbigniewa Ziobry. To dzięki jego „polskości" wciąż nie mamy funduszy z KPO. Ten temat wyraźnie podzielił ławy rządowe. Pilnie potrzebujemy pieniędzy, a ZZ nie chce tracić swoich sądowych przywilejów i powołanej przez siebie kasty. PiS jest jednak świadomy konieczności zmiany sądów, bo chce uzyskać środki z KPO. W to wszystko miesza się prezydent, który rządzi ostatnią kadencję. Dla niego najważniejsze jest pozyskiwanie nowych obszarów władzy. Kolejne struktury znajomości i kolesiostwa, które pozwolą mu zwiększyć swoje polityczne możliwości. Kalendarz posiedzeń na 2023 rok pokazuje jasno, że wkrótce zakończy się absurd zatytułowany „zjednoczona prawica", a Ziobryści ostatecznie opuszczą ten piracki okręt pod rządową banderą.

8. Czarnek to krzykacz – tegoroczne występy Ministra Edukacji i Nauki pokazały, że zajmuje to stanowisko tylko po to, żeby robić zamieszanie i przyciągać uwagę. Dwie próby wprowadzenia lex Czarnek zakończyły się masowymi protestami organizacji pozarządowych, uczniów i nauczycieli. Ponadto, Czarnek udowodnił swoje totalne oderwanie od rzeczywistości, zapowiadając sto tysięcy zwolnień nauczycieli, podczas gdy tak naprawdę mamy dzisiaj deficyt, a wielu nauczycieli ciągnie po prostu podwójne etaty.

9. Wszyscy są winni, tylko nie kościół! Polityka naszego episkopatu zaraziła Watykan. Liczne konferencje prasowe, podczas których duchowni mówili, że owszem, dochodziło do przestępstw seksualnych kleru, ale takie wydarzenia miały również miejsce przecież u strażaków i innych grup zawodowych. Papież Franciszek chyba musiał się z naszym klerem konsultować, bo po tym, jak już zrozumiał kto kogo zaatakował i tak wyraził zaskakującą opinię, obwiniając wszystkich o inwazję na Ukrainę. Potem dodał, że atak był spowodowany „szczekaniem Nato pod granicami Rosji". Pamiętajmy, że każdy, kto nie opowiada się po stronie ukraińskiej w tym sporze – opowiada się po stronie ruskich zbrodniarzy. Pewnie dlatego inwazja przebiega pod znakiem „Z" – bo jest ono właśnie zbrodnią na społeczeństwie.

10. Opozycja umie się jakoś dogadać – wątpiliśmy w to przez długi czas. Porozumienie ws.

Photo by Sincerely Media on Unsplash

Obywatelskiej kontroli wyborów i dogadanie wspólnej listy do senatu pokazało jednak, że w kluczowych sprawach opozycja potrafi się porozumieć. Najważniejsze w tej chwili co prawda wciąż pozostaje do umówienia – kształt list sejmowych. Nie będzie to proste i raczej nie ma co liczyć, że wszystkie ugrupowania dadzą się pożreć Platformie, podpisując się pod wspólną listą do sejmu. Pytanie, co stanie się z PSLem? Partia traci poparcie, a po aktywności jej członków na pogrzebach wynika, że ona dosłownie wymiera. W takiej sytuacji trzeba będzie zrobić wszystko, żeby przekroczyli próg, bo Pan D'Hondt zielone mandaty przekaże partii Kaczyńskiego.

11. Nie tylko Donald tęskni za Angelą – Olaf Scholz nie może uznać swojej kadencji kanclerza na razie za udaną. Mimo że udało mu się objąć fotel kanclerza i wyrzucić z fotelów rządowych chadecję. Jego wizerunek będzie kojarzony już zawsze z Nord Stream 2, a w tle będziemy mieli żołnierzy ukraińskich walczących o swój kraj. Poza tym blamaż wsparcia niemieckiej armii

okpił RFN już na długie lata. Najpierw propozycja wysłania hełmów, a później informacja, że możliwości wsparcia właśnie się bundeswehrze skończyły.

12. Polska 2050 chyba dożyje 2050 roku – 2050 chyba, ale najbliższych wyborów prawie na pewno. Gdy żółte słupki sondażowe zaczynały spadać, wszyscy wieszczyli Hołownii podzielenie losów Petru czy Kukiza. Tymczasem trójfilarowość i specyfika całego ruchu pozwoliły utrzymać stabilne 10% w sondażach i sprawić to, co wydaje się niemożliwe: przeżyć 2 lata bez żadnego finansowego wsparcia. Teraz pozostaje wytrzymać już tylko października. Tego października 2050 roku.

13. Przywyknąć można do wszystkiego – przywykliśmy już do wydawanych przez telewizję codziennych statystyk pandemicznych, którymi tak ekscytowaliśmy się podczas pandemii. Jak widać, również wojenne obrazy zrujnowanej Ukrainy przestały wydawać się takie straszne. Przeszliśmy do codzienności, nie zwracając uwagi na szerzącą się za naszą wschodnią granicą śmierć.

14. Jeśli nie pozabijamy się sami, to zabije nas środowisko – w odwecie. Przerażający był lipcowo – sierpniowy widok otrutej Odry, którą płynęła śmierć. Okazało się, że wcale nie musimy czekać do katastrofy klimatycznej i finalnego aktu w repertuarze globalnego ocieplenia. Pewne skutki naszych działań odczuwamy już sami. Zatruliśmy rzekę, a ta w rewanżu odebrała nam wszystko – od jedzenia przez wszystkie inne zyski, na turystyce kończąc. Śnięte ryby są symbolem. Symbolizują cierpienie wszystkich tych, którzy stracili swoje sklepy i hotele.

15. PiS jest do pokonania! Mimo że myśleliśmy tak już w poprzedniej kampanii, to końcowa liczba mandatów koalicji Jarka Kaczyńskiego dużo przewyższyła te sondażowe prognozy. Choć liczba głosów była podobna. Tym razem widzimy ewidentny spadek poparcia PiSu. Nie sięgają już tak często 40%, a Kaczyński nie mówi o większości konstytucyjnej.

16. Prawo prawem, ale kampania kampanią. Choć okres kampanii wyborczej jest precyzyjnie w prawie określony i pozostało do niego dużo czasu, to partie polityczne już ruszyły w Polskę i w wakacje mieliśmy prawdziwe otwarcie kampanii. Kaczyński wyruszył w słynne tournée po Polsce, zwiększając Michałowi Marszałowi z „tygodnika nie" biblioteczkę materiałów do memów. Platforma zjeżdżała się między innymi w Radomiu, Lewica zwiedzała Polskę, a proruska banda pseudowolnościowców z konfederacji rozpoczęła prawybory w okręgach sejmowych.

17. Donald ma jeszcze swój blask - muszę przyznać, że Tusk zrobił swoje w tej kampanii wyborczej. Muszę to przyznać, mimo że nagrodę za wkład w walkę o prawa kobiet uważam za nieśmieszny żart, a jego powrót do polityki wywindował platformę z powrotem do góry stawki i nie pozwolił Polsce 2050 rozkruszyć starego POPiSowego układu. Mimo to Tuskowi należą się brawa za dokładnie jedno zagranie. Jak dotąd to PiS dyktował zasady gry. Opozycja mówiła na tematy, które narzucał rząd. Donald wprowadzając temat czterodniowego tygodnia pracy sam narzucił temat do gadania PiSowi. Choć bądźmy szczerzy. Przecież Donek nie ma najmniejszego zamiaru spełnić tej obietnicy.

18. Jarek natomiast ma tylko polityczny geniusz, nie blask – występy prezesa to prawdziwy koncert. Koncert, w którym prezentował nam zupełnie nowe i nieznane żadnemu profesorowi figury polonistyczne. Walenie w szyję, Włocławek zamiast Inowrocławia i inne, liczne pomyłki prezesa jeszcze długo będą nas bawić. Pokazywały także, jak bardzo odkleili się od rzeczywistości rządzący. Kaczyński tak bardzo zajął się gierkami politycznymi, że zapomniał o życiu poza nimi.

19. Blask bije także od jastrzębia – stand-up stał się w Polsce bardzo popularny. Na tyle popularny, że przeszedł również do polityki. Jak bowiem inaczej nazwać to, co prezentował nam Prezes NBP na konferencjach prasowych? Nazwał się jastrzębiem i zamiast mówić o polskiej sytuacji gospodarczej, opowiadał między innymi o swoich psach, domu, żonie. Z jego występów szybciej napisaliśmy autobiografię,

Photo by Fran Jacquier on Unsplash

niż analizę sytuacji ekonomicznej. Jedno mu natomiast trzeba przyznać – w Sopocie został zaczepiony przez działaczkę Agrounii, której obiecał jedną tylko podwyżkę stóp do końca 2022roku. Uroczyście nazwano to wydarzenie traktatem sopockim i wbrew wszelkim niedowiarkom – Prezes Glapiński wypełnił swoje zobowiązanie z owego traktatu.

20. Polacy potrafią zrobić dobry film/serial! Byłem przerażony, gdy obejrzałem pierwsze 15 minut „365 dni". Jeżeli jest w Polsce popyt na takie produkcje, to faktycznie coś z nami jest nie tak – pomyślałem i wyłączyłem Netflix. Jednak w drugiej połowie roku na tej samej platformie ukazała się inna premiera polskiego pochodzenia. Pięcioodcinkowy serial „Wielka Woda" wybitnie mocno zapisał się w mojej głowie. Polska produkcja przypominająca „Czarnobyl" we wspaniały sposób pokazała niedojrzałość naszej demokracji. Komunistyczne pozostałości, brak zaufania władzy, politykierstwo, kompletny brak polityki informacyjnej, egoistyczna mentalność polskiego społeczeństwa na przykładzie fikcyjnej wsi Kęty, a do tego wpleciony ciekawy wątek walki z uzależnieniem i powrotu do rodziny. To trzeba obejrzeć.

21. Serce sportu bije w Polsce! Na plus możemy zaliczyć w tym roku na pewno wszystkie organizowane przez nasz kraj eventy. Przejęliśmy po Rosji konkurs lekkoatletyczny diamentowej ligi i Mistrzostwa Świata w siatkówce. W obu tych wydarzeniach pokazaliśmy, jak świetny klimat wprowadzają do rywalizacji polscy kibice i jak wiele nasz kraj ma do zaoferowania turystom. Po udanym piłkarskim Euro, dwóch siatkarskich mundialach czy Mistrzostwach Europy w piłce ręcznej w 2023 roku czekają nas Mistrzostwa Świata w piłce ręcznej, które organizujemy wraz z zamorskim sąsiadem – Szwecją. Pozostaje mieć nadzieję, że i tu będziemy mieli co świętować.

22. Media do propagandy, po co rzetelna informacja. Jeszcze w listopadzie cały świat na chwilę przystanął. Pociąg o nazwie „Pokój", który lutym opuścił Ukrainę, dwa miesiące temu na stacji „Polska" kilkukrotnie zawył, strasząc cały dworzec odjazdem. Nie uspokoiły zapowiedzi z głośnika. Tak naprawdę wszystkich informacji dostarczały nam stacje zagraniczne. To z USA przyleciały pierwsze uspokojenia i rzetelniejsze szczegóły odnośnie rakiet, które uderzały w polską ziemię i zabiły dwóch Polaków. W tym czasie słyszeliśmy przerażające nowiny, że Duda ma nawoływać do użycia artykułu 4. NATO, że zbierze się Rada Bezpieczeństwa, a zabrakło uspokojenia. Zabrakło tego, co dostarczyli nam Amerykanie – informacji, że to ukraińska, nie rosyjska rakieta. I jak tu dziwić się tym mieszkańcom „Kętów" z „Wielkiej Wody" i wierzyć naszym informacjom z mediów?

Na zakończenie wszystkim czytelnikom składam życzenia szczęśliwego nowego roku. Niech to będzie rok upadku budowanej za wszelką cenę przez pisowskich aparatczyków od 2015 roku IV RP. Powodzenia przy wspinaczce na szczyt 2023 roku! ●

JAKUB ANDRZEJ LUBER

Student Prawa Uniwersytetu Warszawskiego aktywnie biorący udział w studenckim ruchu naukowym, szczególnie w zakresie karnistycznym. Koordynator kujawsko - pomorskiego Pokolenia 2050. Członek fundacji edukacyjnej "Nowy Głos". Wicemistrz Polski na poziomie licealnym i półfinalista Akademickich Mistrzostw Polski Debat Oksfordzkich. Chrześcijański demokrata marzący o Polsce zielonej, obywatelskiej i sprawiedliwej.

PIOTR BENIUSZYS

„TO PRZECIEŻ FUTBOL”

Matko Święta! Ile to się PiS, a wcześniej jego prawicowe partie-poprzedniczki nagadały o tym, jak zła jest prywatyzacja! Ile razy liberałowie polscy musieli znosić dostawanie od prawicy obuchem po łbie za samą myśl o „wyprzedaży narodowych sreber” obcym właścicielom! Ileż to padło słów o znaczeniu utrzymania strategicznych przedsiębiorstw, newralgicznych branż i krytycznej infrastruktury w polskich rękach dla bezpieczeństwa narodowego! Oczywiście najlepiej w rękach państwa, bo przecież rodzimym Kulczykom czy Gudzowatym też nie wolno było nigdy ufać.

Słuchawszy tej mantry od z górą 30 lat, naiwny i prostolinijny człek miał prawo chyba założyć, że po rządach prawicy spodziewać się może wszelkich plag, takich jak ustanowienie kalifatu *á la polonaise*, wałkowanie narodowo-patriotycznych psychoz, przyjmowanie europejskiego pieniądza tylko z nieskrywanym obrzydzeniem, nieoglądalnej telewizji publicznej, zaoranej do gleby kultury narodowej, szkoły prowadzącej dżihad przeciwko dziecku i rodzicowi oraz tabunów zadowolonych i sytych księży przy okazji każdego większego zbiegowiska.

O co jednak mógł być spokojny, to o to, że „narodowe srebra” pozostaną w narodowych rękach. Owszem, srebra te obsiądą setki partyjnych aparatczyków, które zaczną sobie wypłacać wielkie pensję, odpalając z tego partii władzy procent, ale jednak będą to nasze, rodzime aparatczyki. A tymczasem, borym lasem,... niemała niespodzianka! Polska prawica sprzedała rafinerię Lotos w Gdańsku i wiele innych elementów majątku tak zlikwidowanego koncernu Arabii Saudyjskiej. Ta zaś żadnym zapisem w umowie nie jest skrępowana i może całą tą, dość krytyczną, infrastrukturę odsprzedać Putinowi.

W dodatku Arabowie Lotos biorą za kwotę, którą – zdaniem analityków – odrobią w niecały rok. Naiwny i prostolinijny człowiek szybko bierze się więc do dumania, po co, jak to, dlaczego. Czyżby PiS to jednak była ruska agentura, na co jakoś tam wskazuje m.in. cała polityczna biografia byłego szefa MON? Czyżby prezes Orlenu Obajtek nie mógł zaakceptować jakiegoś drugiego Obajtka na stołku prezesa Lotosu i w tym celu postanowił Lotos zaorać a pustki po nim posypać solą? Wiemy, że prezes Obajtek bywa nerwowy i rzuca wtedy takim mięsem, że tylko Quentin Tarantino by za takim monologiem nadążył. Może więc transakcja ma ukoić jego nerwice?

A może po prostu szef PiS, Jarosław Kaczyński, sprzedaży Lotosu Arabom wcale nie traktuje w kategoriach sprzedaży polskiego majątku obcym? Owszem, Arabowie są obcy i przez granicę z Białorusią wpuszcza ich do kraju dużo mniej chętnie niż przez Gdańsk. Ale czy Gdańszczanie i Pomorzanie – dotychczasowi właściciele Lotosu – to tak do końca Polacy? Wyniki wyborcze PiS w mieście i regionie pozwalają Kaczyńskiemu mocno w to wątpić. A skoro Gdańszczanin to obcy, to co za różnica, czy srebrami władać będzie on czy Arab? Lotos nie jest polski, ale w zasadzie i przedtem nie był...

A może za tym wszystkim stoi futbol? To w końcu sport narodowy i co cztery lata wszystkim w Polsce bardzo zależy na sukcesie reprezentacji. Najbardziej zależy rządowi, bo sportowy wynik ma wpływ na zadowolenie obywatela z życia. Tymczasem jedyny wygrany przez Polskę mecz stoczyła ona z Arabią Saudyjską, która trzy dni wcześniej pokonała mistrza świata. Kto uwierzy w takie cuda? Może dumpingowa transakcja Lotosem była po prostu ceną za pierwsze wyjście Polaków z grupy na mundialu od 36 lat? Ha, piłkarski poker w wersji uber!

No, sami powiedzcie: Czyż nie było warto?

L!

„Bariery dla liberalizmu” Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Spoiwem dla 27 esejów zawartych w książce jest naświetlenie współczesnych realiów percepcji liberalizmu w jego zderzaniu się z różnorakimi myślowymi czy mentalnościowymi barierami, często głęboko zakodowanymi w człowieku, które utrudniają – od zawsze lub we wzmożony sposób ostatnio – umacnianie liberalnych postaw i odnoszenie przez ideę kolejnych sukcesów w politycznych starciach z konkurencyjnymi sposobami myślenia.

Kluczem do przezwyciężenia kryzysu liberalizmu może się okazać nie zmiana idei liberalnej na chwilowo bardziej modną, lecz zmiana mentalności ludzi, wraz z przetaczaniem się jednych kryzysów, pojawianiem innych, zmianami pokoleniowymi. Wydaje się, że liberałowie potrzebują odwagi. Po to, aby z większą determinacją bronić własnych wartości przed nacjonalistami, socjalistami, klerykałami i populistami. Ale potrzebują także odzyskać zdolność wle- wania w serca ludzi otuchy, odwagi i optymizmu. Zebrane w tej książce teksty mogą pomóc tej odwagi poszukiwać.

COLD WAR LIBERALS

Prezentuje:
PIOTR BENIUSZYS

„Cold War Liberals" jest rubryką biograficzną. Od maja 2022 do grudnia 2023 przedstawiamy w niej pokrótce sylwetki 20 znaczących polityków liberalnych z zachodniej strony „żelaznej kurtyny", których szczyt działalności publicznej przypadł na lata zimnej wojny.

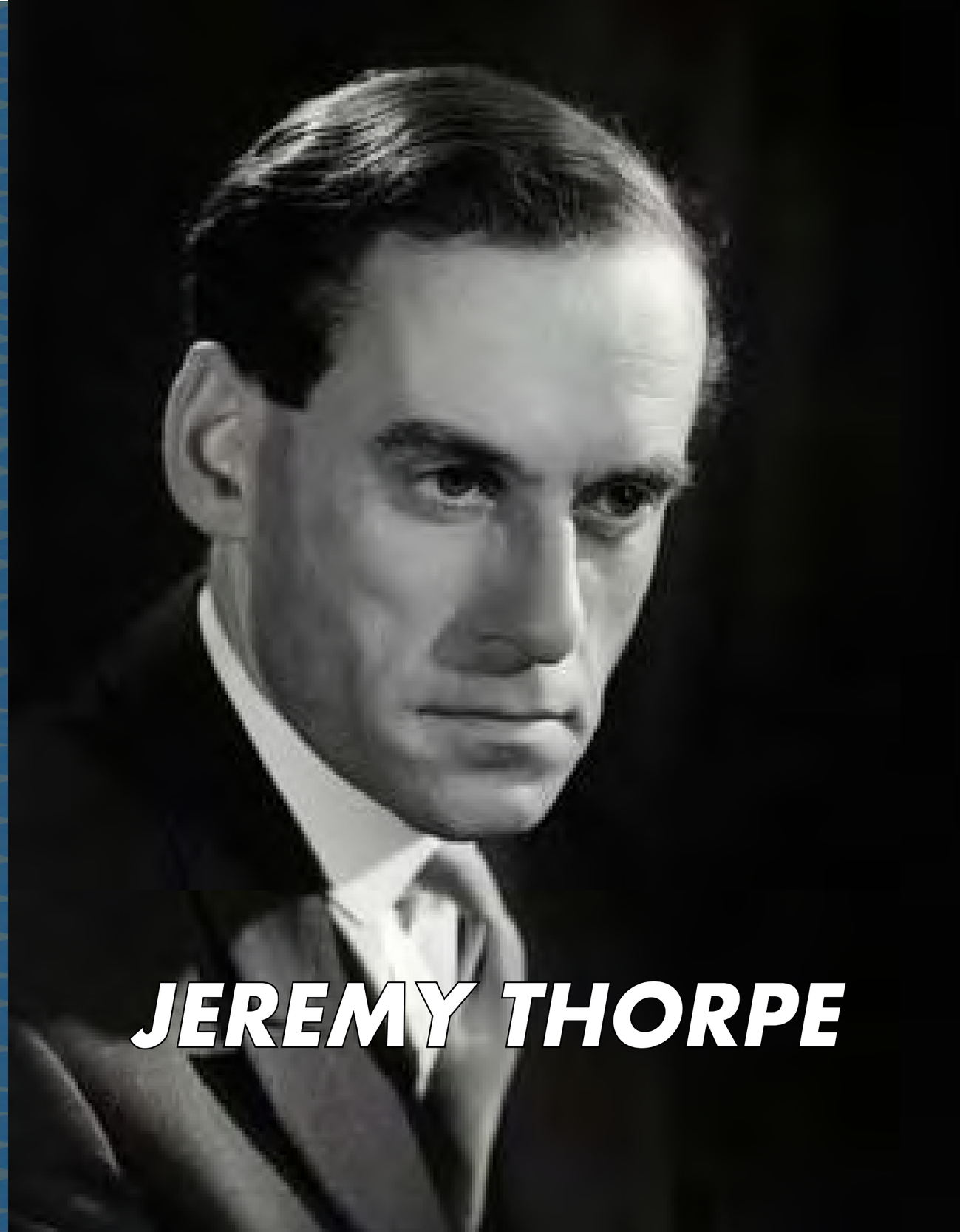

JEREMY THORPE

Jeremy Thorpe był niewątpliwie jedną z najbardziej barwnych postaci brytyjskiego liberalnego ruchu politycznego drugiej połowy XX w. Lider Partii Liberalnej w latach 1967-76, zapisał się w jej dziejach jako propagator nowatorskiego podejścia do uprawiania polityki wyborczej przez trzecią siłę w realiach niesprawiedliwej ordynacji większościowej, ale kojarzony jest przede wszystkim ze skandalem sądowym, który jego karierę przedwcześnie zakończył. Trudno jednoznacznie używać w odniesieniu do Thorpe'a słowa „ofiara", bo chyba tylko za sprawą zasady domniemania niewinności należy uchylić się od użycia wobec niego słowa „sprawca". Niewątpliwie był jednak Thorpe ofiarą kultury dyskryminacji i ucisku (a w ówczesnej Anglii nawet karania) wobec osób homoseksualnych i to ona ostatecznie pchnęła go – być może – w uwikłanie się w zbrodniczy spisek. Ostatecznie Thorpe, przecież uniewinniony i uwolniony od wszystkich zarzutów, został objęty czymś w stylu cancel culture i wypchnięty z życia politycznego, na kilka dekad zanim media społecznościowe i lewicowa wrażliwość pokolenia Z uczyniła ową cancel culture „modną".

Thorpe urodził się w 1929 r. w dobrze sytuowanej, londyńskiej rodzinie jako syn prawnika i polityka Partii Konserwatywnej Johna H. Thorpe'a (jego dziad ze strony matki był znanym imperialistą i także reprezentował torysów w Izbie Gmin). Liczne koneksje rodziny w świecie polityki obejmowały jednak także eks-premiera Davida Lloyda George'a i to on został kimś w stylu „politycznego bohatera" Jeremy'ego. Zapewne dlatego młodzieniec złamał rodzinną tradycję i już w wieku szkolno-studenckim związał się ze strukturami Partii Liberalnej.

Aby uchronić Jeremy'ego przed ryzykiem zostania dosięgniętym przez nazistowskie bomby, jego wpływowa rodzina wysłała go na cztery lata do USA, skąd wrócił w roku 1943, aby kolejno pobierać wykształcenie na najbardziej prestiżowych placówkach brytyjskich – w Eton i na Oxfordzie. W obu tych miejscach Thorpe „robił wrażenie". Dał się poznać jako wygadany i równocześnie zdystansowany ekscentryk, podburzający do wszelkich rebelii wobec tradycji i autorytetów, ale także jako arogant chętnie obnoszący się znajomościami ze sławnymi osobistościami ze świata polityki i koneksjami rodziny. Uwagę zwracała jego powierzchowność: jeden z jego biografów donosił, że czarne włosy i ciemne oczy, połączone z bladą cerą i ostrym obrysem twarzy wydawały się rozmówcom „mesmeryzujące" i dawały efekt „niemalże diaboliczny". Dostrzeżony został niewątpliwie już wtedy brak zainteresowania Thorpe'a towarzystwem przedstawicielek płci przeciwnej, co ten jednak usiłował tłumaczyć zaangażowaniem całych swoich emocji w życie polityczne i brakiem seksualnych potrzeb.

Zaangażowany w politykę rzeczywiście był. Od razu po ukończeniu 21 lat Thorpe złożył wniosek do centrali Partii Liberalnej o włączenie go na listę potencjalnych kandydatów do parlamentu. Przewodził Uniwersyteckiemu Klubowi Liberałów na Oxfordzie, który był wielką, złożoną z niemal tysiąca członków strukturą, jako że nawet w okresach

największej słabości liberałowie mieli na uczelniach swoje absolutne bastiony. Angażował się w kampanie wyborcze liberalnych kandydatów i zdobył z ramienia partii przewodnictwo studenckiej Unii Oxfordzkiej.

Do pracy partyjnej przystąpił z ideą zdynamizowania wizerunku i profilu programowego liberałów, nieco inercyjnie staczających się w dół w okresie przywództwa niemłodego Clementa Daviesa. Razem z kilkoma kolegami ze swojego pokolenia założył strukturę poziomą o nazwie Radical Reform Group i nawoływał do pozycjonowania partii jako „radykalnej i niesocjalistycznej alternatywy dla rządu torysów".

Jeszcze większe wrażenie zrobił jako nowoczesny i zręczny autor kampanii wyborczych. Od roku 1952 związał się z okręgiem wyborczym Devon-Północ, w którym przy pierwszej próbie ściął przewagę konserwatywnego posła o połowę, a przy trzeciej (w 1959 r.) zdobył ten okręg dla liberałów większością 362 głosów (później miał wygrywać tam już z komfortową przewagą), choć wybory te były triumfem konserwatystów i na rzecz liberałów stracili oni wtedy tylko ten jeden okręg.

Zdolności kampanijne Thorpe zbudował dzięki pracy w mającej coraz większe znaczenie telewizji. Zanim zdobył mandal parlamentarny pracował jako dziennikarz-reportażysta, przygotowywał materiały newsowe zza granicy, prowadził wywiady i program w formacie debaty na tematy naukowe. Potrafił pobudzać emocje – mawiano, że jego przemówienia jako kandydata „do łez rozbawiały zwolenników, wywołując u przeciwników istną furię".

W Izbie Thorpe dał się poznać jako polityk żywo zainteresowany polityką globalną w kontekście praw człowieka i wolnościami obywatelskimi. Był zdecydowanym zwolennikiem dekolonizacji, zadeklarowanym wrogiem opresyjnych reżimów na całym świecie, w tym zwłaszcza południowoafrykańskiego apartheidu. Promował integrację europejską oraz otwieranie granic dla imigrantów i uchodźców, walczył o zniesienie kary śmierci w Wielkiej Brytanii. Równocześnie jednak Thorpe był pragmatykiem, który dostrzegł bezsens położenia trzeciej partii w realiach systemu jednomandatowych okręgów wyborczych. Jeszcze zanim przejął lejce w Partii Liberalnej, wraz ze swoim poprzednikiem i również nietuzinkowym reformatorem, Jo Grimondem, promował „strategię wygrywalnych okręgów", czyli metodę stopniowego zwiększania liczebności liberalnych posłów w Izbie Gmin poprzez precyzyjne identyfikowanie okręgów wyborczych dających liberalnemu kandydatowi realistyczną perspektywę wygranej, a następnie kierowanie do tamtejszych wyborców oferty wolnej od ideologii i tematów „wielkiej polityki", a skupionej na problemach lokalnych, na realnym i praktycznym polepszeniu jakości życia na miejscu. Chodziło więc o to, aby na liście priorytetów w kampanii wyżej stawiać remont szpitala i nową trasę autobusu dowożącego dzieci do szkoły niż cięcia w budżecie obronnym lub geopolityczne dywagacje. Przez kilkanaście lat to „usamorządowienie" wizerunku stało się znakiem

firmowym liberałów i co najmniej pomogło im uniknąć eliminacji ze sceny politycznej.

Umocniwszy pozycję partii w systemie tak dla niej nieprzyjaznym jak JOW-y, Thorpe dwukrotnie miał sposobność odegrać kluczową rolę w polityce krajowej. W roku 1972 Izba Gmin miała głosować ustawę o akcesji kraju do Wspólnot Europejskich. Torysowski rząd Heatha nie miał własnej większości do jej poparcia ze względu na opór niektórych posłów prawicy. Partia Pracy była zaś całkowicie przeciwko akcesji do EWG. Tylko i wyłącznie dzięki głosom frakcji liberalnej ustawa uzyskała większość ośmiu głosów. „Użyczenie" głosów słaniającej się większości nastąpiło wskutek perswazji Thorpe'a, który interes kraju i Europy postawił wyżej od interesu partii.

Z kolei w wyborach w roku 1974 Edward Heath stracił większość, ale nie zdobyła jej także Labour. Thorpe stanął przed perspektywą wprowadzenia liberałów do koalicyjnego rządu. Jednak jego wstępny warunek – reforma systemu wyborczego – został przez Heatha odrzucony ze względu na brak perspektyw poparcia przez większość posłów torysów. Thorpe wtedy jednak odetchnął z ulgą: wiedział, że taka koalicja rozdarłaby Partię Liberalną w zasadzie na pół.

Co najmniej od lat 50-tych Thorpe prowadził w ukryciu drugie życie, życie osoby homoseksualnej. Ryzykował poważnymi sankcjami karnymi i oczywiście natychmiastowym końcem kariery politycznej w wypadku zdemaskowania. Pomimo tego w północnym Devon, a także w kręgach kierowniczych jego partii sekret ten był tolerowaną powszechnie tajemnicą poliszynela. Realia szerszego życia publicznego skłaniały Thorpe'a jednak do zachowywania pozorów. Miał on więc dwie żony, z których pierwsza urodziła mu syna, po czym zginęła w tragicznym wypadku samochodowym po zaledwie dwóch latach małżeństwa, zaś z drugą miał się zestarzeć i być przez nią pielęgnowany przez wiele lat powolnego odchodzenia z powodu choroby Parkinsona.

Homoseksualna aktywność Thorpe'a od czasu do czasu zapewne była przedmiotem zainteresowania policji, ale za samą nią nigdy żadne inne nieprzyjemności go nie spotkały. Najbardziej nieszczęsnym dniem w życiu polityka był ten, w którym poznał on nieustannie przeżywającego problemy finansowe niedoszłego modela Normana Scotta. Thorpe zawsze zaprzeczał jakimkolwiek intymnym kontaktom z nim, ale przez kilka lat wielokrotnie pomagał mu finansowo, wikłając się w toksyczną relację. Po około 10 latach takich kontaktów, w 1971 r. Scott zaczął grozić Thorpe'owi wyoutowaniem, w końcu oskarżył o molestowanie. Jednak ani partyjna komisja etyki, ani nawet media sensacyjne nie dały mu wiary.

W trakcie późniejszego dochodzenia i procesu niektórzy świadkowie twierdzili, że mimo to Thorpe miał coraz bardziej obawiać się szkód, które Scott może spowodować dla jego społecznego odbioru i pozycji politycznej. Miał więc rzekomo postanowić „uciszyć" Scotta i za pośrednictwem swojego bliskiego przyjaciela i świadka na ślubie najął zabójcę, byłego pilota Andrew Newtona, który zobowiązał się wykonać zlecenie za 10.000 funtów. Thorpe miał pozyskać pieniądze od donatora partii, sugerując że są potrzebne na wydatki związane z wyborami.

Wszystkie te wydarzenia idealnie nadają się na scenariusz filmu? Dalej było coraz „lepiej". Newtonowi zamach się nie udał – zamiast Scotta postrzelił śmiertelnie inną osobę. Został oczywiście skazany, ale nie obciążył niczym Thorpe'a w swoich zeznaniach. Thorpe musiał zrezygnować ze stanowiska lidera partii – stał się naturalnie postacią zbyt kontrowersyjną, ale nadal pracował jako poseł, zajmując się sprawami ordynacji w wyborach do Parlamentu Europejskiego czy autonomią Szkocji i Walii. Jego sytuacja pogorszyła się, gdy jeden z byłych posłów liberałów, dotąd broniący Thorpe'a, zaczął sugerować jego udział w spisku. Poszlaki się mnożyły, aczkolwiek wiarygodność wielu świadków zmniejszał fakt, że mogli liczyć na wyższe apanaże od kolorowej prasy, jeśli Thorpe rzeczywiście zostałby skazany. W końcu do grona obwiniających Thorpe'a dołączył Newton. Były lider liberałów musiał całkowicie odejść z życia publicznego.

W efekcie więc Thorpe stanął w 1979 r. przed sądem oskarżony o udział w spisku i podżeganie do zabójstwa. Zadeklarował niewinność, lecz za radą adwokata zdecydował się nie zeznawać w procesie i nie wzywać żadnych świadków. Adwokat – słusznie, jak się okazało – założył, że prokuratura nie ma wystarczających do skazania dowodów, a wszelkie zeznania własne mogły na pierwszy plan przywieźć seksualną orientację oskarżonego, a więc coś, co wtedy nadal stawiało automatycznie w złym świetle.

Ława przysięgłych szybko uwolniła Thorpe'a od wszystkich zarzutów, w słowie podsumowującym sędzia zdewastował konstrukcję aktu oskarżenia i wiarygodność jego świadków, ze Scottem na czele. Jednak Thorpe uznał, że nie ma przyszłości w partii i polityce. Zetknął się z cancel culture: nie chciano dać mu żadnego angażu w telewizji, jego nominacja na szefa brytyjskiego biura Amnesty International spowodowała protesty, wobec których zdecydował się wycofać po miesiącu od objęcia funkcji. Wraz z postępującą chorobą wycofał się w 1985 r. z życia publicznego, choć miał żyć jeszcze prawie 20 lat.

Jeśli w jakimś sensie dzisiejszy świat jest lepszy od ówczesnego, to na pewno w tym, że teraz homoseksualny polityk nie musi się ukrywać, więc tego rodzaju szantaż i przerwanie obiecującej wiele więcej kariery już by nie nastąpiło. Przynajmniej nie w zachodniej Europie. Wtedy jednak Thorpe nie mógł wyjść z przysłowiowej „szafy", nawet gdyby chciał.

Thorpe był zręcznym strategiem i oportunistą, bardziej idealistą niż ideologiem. Krótko po śmierci tak opisał go dziennikarz Andrew Rawnsley: „dandys, ekshibicjonista, wyśmienity showman, płytki myśliciel, pełen humoru i z dużym repertuarem mimicznym, bezwzględny oportunista, złowrogi intrygant, idealistyczny internacjonał oraz człowiek prowadzący w ukryciu drugie, homoseksualne życie". ●

GABRIEL FLESZAR

HYDROPLAN – INTERFERENCJA

rybko, ptaszku

taki rozkołys – rozwijanie map i bermudzkich żagli. przeprawa przez
morze, wyprowadzanie w pole. końskie szerokości i mechanizm zapadni:
w kameralnej źrenicy, na granicy aluzji, czai się cięty urok transpiracji.

mieczyk dwukropek lub karzełek parański? kto zatańczy z grzebieniem
gdy zwariuje wariometr – lodówka? deltoid? pasterz na tle tarczy?
kto poderwie kopciuszka i poleci podpowiedź w przeramowania, solitony, nutacje.

ten język ględzi ze względu na pewność: samotnik, pustynnik, inkantacje światła.
nad zatoką mrówki bielą ośle szczątki, a kadry ścierają się w strzępy, w namiastki
jak zapalczywe ciernie nabijane w butelki. przetraw to, przełknij i pakuj manatki.

przecież wtapiasz się świetnie, asymilujesz. skręcasz przypadkiem
z niewytłumaczalną gracją w peryferia instynktów, orientacji, zagadnień.
parostatkiem? w tej wodzie nurkuje wysoki żaglowiec, a ty zawsze byłaś

odbiciem na tafli;

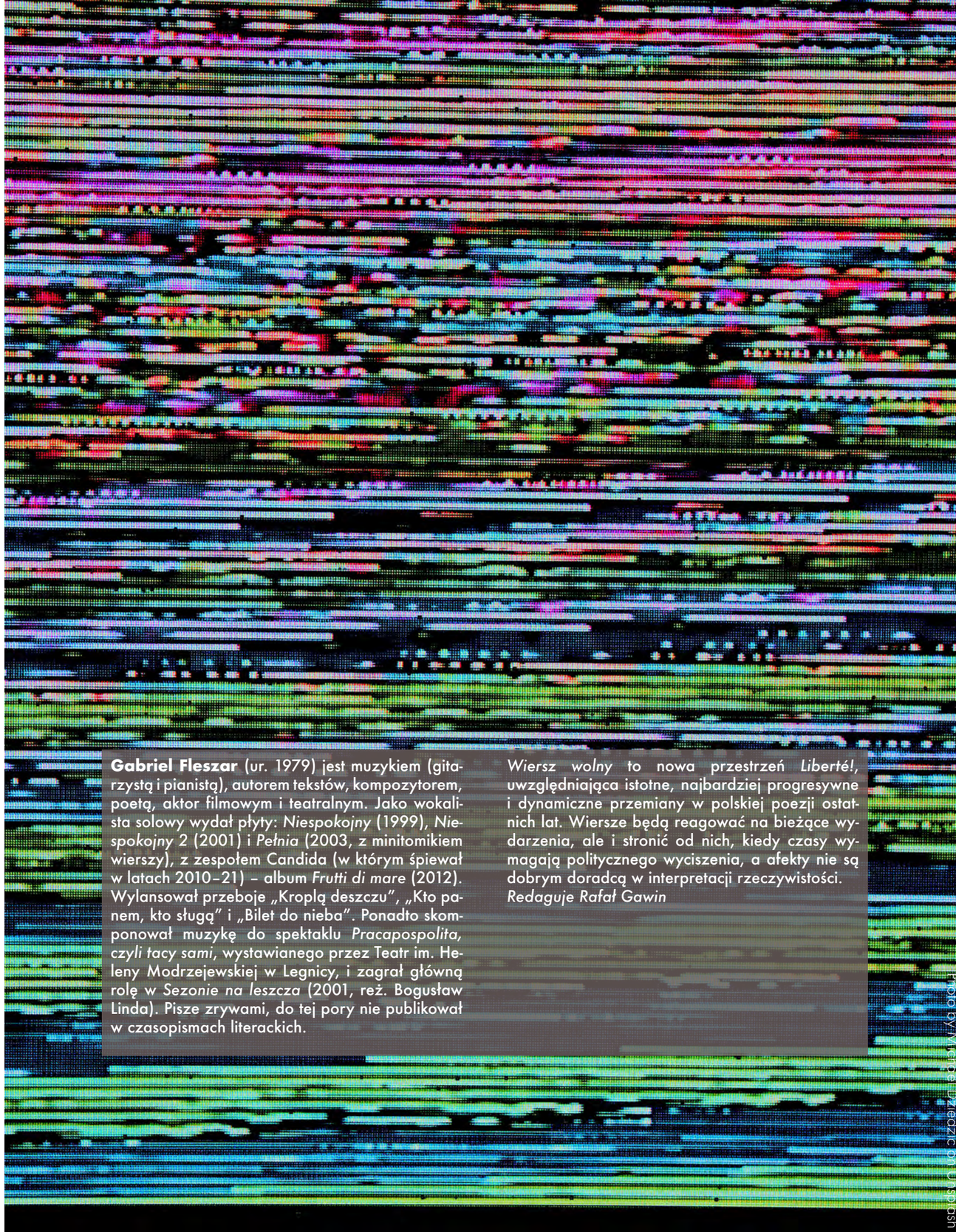

Gabriel Fleszar (ur. 1979) jest muzykiem (gitarzystą i pianistą), autorem tekstów, kompozytorem, poetą, aktor filmowym i teatralnym. Jako wokalista solowy wydał płyty: *Niespokojny* (1999), *Niespokojny 2* (2001) i *Pełnia* (2003, z minitomikiem wierszy), z zespołem Candida (w którym śpiewał w latach 2010–21) – album *Frutti di mare* (2012). Wylansował przeboje „Kroplą deszczu", „Kto panem, kto sługą" i „Bilet do nieba". Ponadto skomponował muzykę do spektaklu *Pracapospolita, czyli tacy sami*, wystawianego przez Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, i zagrał główną rolę w *Sezonie na leszcza* (2001, reż. Bogusław Linda). Pisze zrywami, do tej pory nie publikował w czasopismach literackich.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin

photo by Wojciech Wilczyk / Unsplash

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:
Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników.

Zespół *Liberté!*:
Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Joanna Ellmann
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat
Magda Melnyk
Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia i współpraca zagraniczna:
Olga Łabendowicz

Koordynacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:
Joanna Głodek

Redaktor prowadząca liberte.pl:
Magda Melnyk
redakcja@liberte.pl

Koordynacja 6. dzielnicy:
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
Lotokot Studio

Korekta:
Piotr Beniuszys
Sylwia Dziemińska

Ilustracje:
- Zdjęcia na licencji CC
- Photo by Viktor Talashuk on Unsplash
- Zdjęcie Pawła Passiniego: fot. Michał Jadczak
- Zdjęcie Tomasza Stawiszyńskiego: fot. Karol Paciorek
- Zdjęcia z archiwum Roberta Latosia

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326